

ESEJ PIOTRA SEMKI

Czy w przypadku agresji Rosji
Polska mogłaby liczyć na Niemcy?



Znaleźliśmy autorów
Polskiego Ładu

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 04/460 24-30 STYCZNIA 2022



Skąd się wzięły
aż tak wysokie ceny gazu

ALFABET OBŁĘDU

Co COVID-19 zrobił z naszymi głowami



ADAM NIEDZIELSKI



ANDRZEJ HORECKI



KRZYSZTOF SIMON





Ochrona polskiej granicy wschodniej

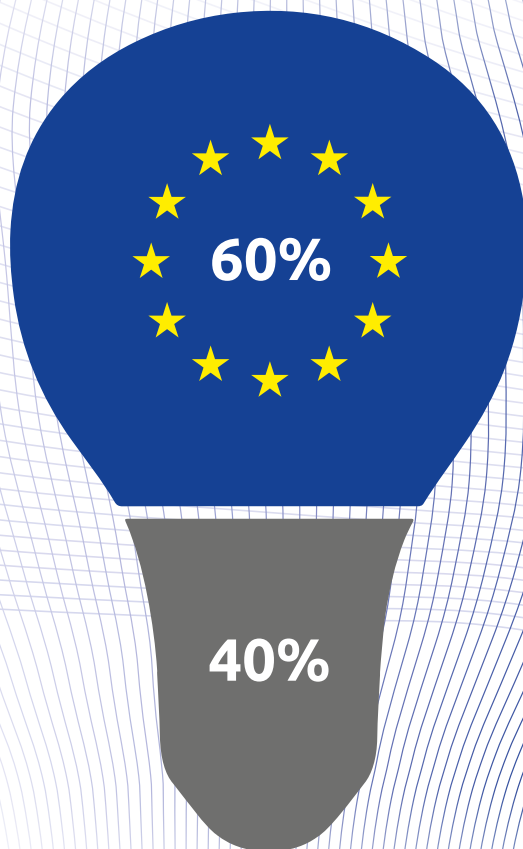
MONETA KOLEKCJONERSKA NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „Ochrona polskiej granicy wschodniej”.

Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej oraz policjantom i żołnierzom, którzy strzegąc naszego terytorium – w obliczu działań o charakterze wojny hybrydowej – dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 27 stycznia 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl



**Opłata klimatyczna Unii Europejskiej
to aż 60% kosztów produkcji energii**

**POLITYKA KLIMATYCZNA UE = DROGA ENERGIA
WYSOKIE CENY**

Macron i polskie złudzenia



PAWEŁ LISICKI

Kto chce zrozumieć, na czym polega obecna definicja europejskości, mógł wysłuchać wystąpienia prezydenta Emmanuela Macrona w Parlamencie Europejskim w związku z przejęciem przez Francję przewodnictwa nad pracami Unii. Poza ogólnymi banałami i retoryczną watą, tak typową dla współczesnych polityków, znalazło się tam nieco bardziej pożywnych treści.

„Nasz projekt europejski opiera się na trzech wielkich obietnicach. Obietnicy demokracji, która powstała na naszym kontynencie, została na nim odnowiona i została na nim również zmieniona przed 70 laty. Na obietnicy postępu, z którą się wszyscy zgadzamy. I obietnicy pokoju. Europie udało się w ciągu ostatnich dziesięcioleci te obietnice spełnić”. Demokracja, postęp i pokój – brzmi znajomo? Owszem, to charakterystyczny styl liberalnych postępowców. I jak zawsze za hasłami tymi kryją się hipokryzja i dwulicowość.

O demokracji mówi człowiek, który najpierw obiecywał, że we Francji nie będzie przymusu szczepień, a po kilku miesiącach zmienił swoje państwo w zamknięty oddział szpitala covidowego. Tenże obrońca demokracji ogłosił, że „niezaszczepieni to nie są obywatele”. Czekam tylko, kiedy odbierze im prawa wyborcze. W imię demokracji, rozumie się.

Na razie jednak francuski obrońca demokracji zamierza zająć się obroną europejskiej praworządności. „Niektórzy uważają, że dla skuteczności warto zakwestionować praworządność” – mówił w PE, ale „koniec praworządności oznacza koniec niezależności i powrót reżimów autorytarnych, od których zaczęła się nasza

historia”. Łatwo zauważyć, że choć podczas wystąpienia nie padły konkretne nazwy państw, „obrona praworządności” będzie odnosić się zapewne do Polski i Węgier. Doprawdy, koń by się uśmieł. Macron, doskonały wykwit autorytarnej oligarchii, występuje w obronie demokracji – toż to tragifarsa!

Jeszcze bardziej groteskowe były jego konkretne projekty zmian, do których zamierza dążyć Francja, by pogłębić proces integracji europejskiej. Otóż według niego należy „odnowić” Kartę praw podstawowych UE tak, by „jaśniej mówiła o ochronie środowiska czy też uznawała prawo do aborcji”. Dla przypomnienia: Karta praw podstawowych Unii Europejskiej to dokument przyjęty i uroczystie ogłoszony na szczycie w Nicei w grudniu 2000 r., określający katalog podstawowych praw i wolności obywatela Unii Europejskiej. Zamiast obrony praw człowieka od poczęcia do śmierci Macron proponuje prawo do jego zabijania, co ma być... elementem praw podstawowych. Zamiast zdrowego rozsądku głosi oszałały ekologizm, stąd słowa o – cokolwiek by to znaczyło – „suwerenności ekologicznej”.

Dla znawców polityki francuskiej nie jest to żadne zaskoczenie. Prezydent Francji jest zaciekle aborcjonistą i równie bezkompromisowym wyznawcą religii klimatycznej. To jego rząd nie tylko rozszerzył tzw. prawo do zabijania nienarodzonych, lecz także prześladowa obrońców życia. To on uwielbia opowiadać o ratowaniu Ziemi, czego jedynym sposobem ma być ograniczenie emisji CO₂.

Oczywiście wystąpienie na forum Parlamentu Europejskiego było częścią francuskiej kampanii wyborczej, w której to Macron

chce przedstawić siebie jako najbardziej stanowczego obrońcę masońskiej, humanitarnej, lewicowej ideologii. Ale z polskiego punktu widzenia jego wystąpienie to kolejny dowód na to, jak bardzo rozmiągają się wrażliwość i podstawowe przekonania polskiego społeczeństwa i tego, co dominuje w Unii. I mam na myśli nie tylko ideologię. W dyskusjach na temat przynależności Polski do Unii wspomina się o „bezpieczeństwie” wobec Rosji, które to rzekomo zapewnia nam członkostwo. Otóż według prezydenta Francji nie należy występować z NATO przeciw Rosji, przeciwnie – trzeba z nią prowadzić dialog, szukać ciągle porozumienia, a najlepiej do tego nadają się oprócz Francuzów Niemcy.

Wszystko to razem wróży jak najgorzej. Chcąc występować w roli oświeconego lidera i zapewnić sobie poparcie lewicowo-liberalnego establishmentu, prezydent Macron będzie radykalizował krytykę Polski. Zaraz po swoim wystąpieniu dodał, w rozmowie z dziennikarzami, że Europa działa „zbyt wolno” w stosunku do Polski i Węgier. Dlatego podczas jego prezydentury dojdzie do „konsultacji w lutym dla Polski i w marcu dla Węgier”. Co ciekawe, jeszcze niedawno czytałem, że to prezydent Macron doprowadzi do porozumienia Warszawy z Brukselą. Wolne żarty.

Jedyną szansą na zmiany była by jego sromotna porażka, której mu szczerze życzę, choć na nią się nie zanoszę. Nie mam wątpliwości, że zachowanie polskiej suwerenności w Unii zdominowanej przez ludzi pokroju prezydenta Macrona jest praktycznie niemożliwe. Dobrze, że tak wyrażnie on sam o tym mówi. Ale czy Polacy potrafią wyzbyć się złudzeń? ©

TEMAT TYGODNIA

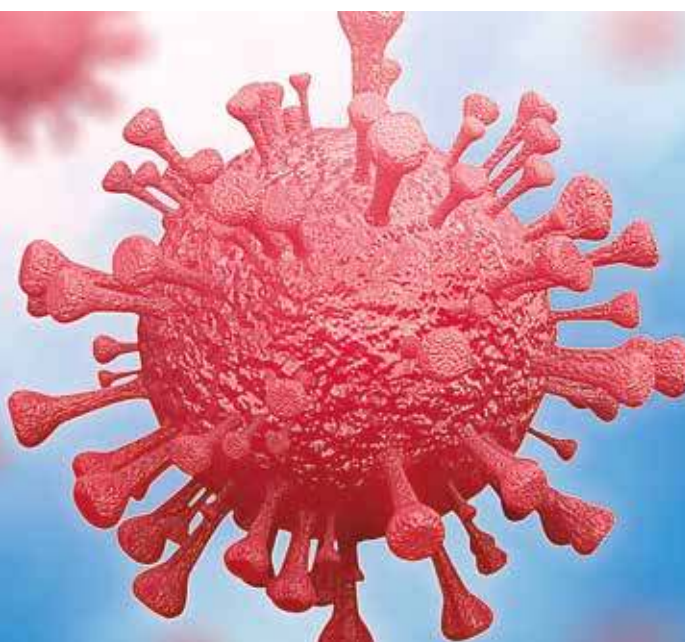
18 JERZY KARWELIS

COVIDOWY ALFABET

Prerażająca pandemiczna wyliczanka

24 ŁUKASZ WARZECHA

COVIDOWY ZAWRÓT GŁOWY



KRAJ

26 PIOTR SEMKA

BIEDNI POLACY PATRZĄ NA NIEMCY

Zadziwiająca bierność RFN

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PEGASUS ZAMIAST ZJEDNOCZENIA

32 JAKUB WOZINSKI

DEMIURDZY CHAOSU

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

„FAKTY” KONTRA „WIADOMOŚCI”

38 PAWEŁ ZDZIARSKI

KONSERWATYŚCI KONTRA CENZURA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

TOPNIEJĄCY JEDEN PROCENT?

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

RODY NOWEGO JORKU

„Połączany wiek” – premiera HBO

44 DARIUSZ WIEROMIJCZYK

O WANDZIE, KTÓRA (BARDZO) CHCIAŁA NIEMCA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 JAN PARYS

KRYZYS PO KATOLICKU

Problem na wschodniej granicy

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI

POBOŻNOŚĆ ŹŁE WIDZIANA

60 TOMASZ ROWIŃSKI

WATYKAŃSKA KONCENTRACJA WŁADZY

HISTORIA

62 TOMASZ LENCEWSKI

ARYSTOKRATKA PONAD WSZYSTKO

Maria z Branickich Radziwiłłowa (1863–1941)

66 PIOTR TYLUS

ODNOWICIEL I MĘCZENNIK

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z MICHAIELEM KRETSCHMEREM

BRONIĄCYM GRANIC TRZEBA POMÓC

Polska wyświadcza Unii przysługę

72 JACEK PRZYBYLSKI

100 SEKUND DO ZAGŁADY



76 DOMINIKA ĆOŚĆ

NOLE

78 ROZMOWA Z BRADLEYEM HOPE'EM

ROPA, KREW I GNIEW

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK

NASZ (BARDZO) DROGI GAZ

Globalny problem wysokich cen

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

DANIEL OBAJTEK, PREZES PKN ORLEN:
NASZYM CELEM JEST ENERGIA
PRZYJAZNA ŚRODOWISKU str. 6

Daniel Obajtek, prezes zarządu PKN Orlen:

Nasz cel to zapewnienie klientom przyjaznej środowisku energii



rzy przed nami nowe możliwości rozwoju za granicą, na rynkach, które są kluczowe z punktu widzenia strategii całej Grupy Orlen. Będziemy jednym z głównych graczy rynku paliwowego na Węgrzech i wzmocnimy swoją pozycję na Słowacji.

Wybraliśmy partnerów do realizacji środków zaradczych wynegocjowanych z Komisją Europejską. W przypadku rafinerii, PKN Orlen zachowuje 70 proc. udziałów w wydzielonej spółce, której będzie operatorem i którą będzie mógł skutecznie zarządzać. W ten sposób zrealizujemy synergię wynikającą z włączenia gdańskiej rafinerii do systemu Grupy Orlen. Dalszy rozwój aktywów rafineryjnych na Pomorzu będziemy realizować wspólnie z partnerem – Saudi Aramco, największą firmą energetyczno-chemiczną na świecie. Zachowanie kontroli operacyjnej nad Rafinerią Gdańską przez PKN Orlen było dla nas kluczowe i to się udało. Dzięki temu sprzedaż mniejszościowego udziału w gdańskiej rafinerii jest neutralna z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego Polski i długoterminowej pozycji Grupy Orlen w regionie.

Od początku procesu przejęcia Grupy Lotos zapowiadaliśmy, że jest on realną szansą na dywersyfikację dostaw surowców. Wywiązujemy się z naszych deklaracji. Dlatego nierozłącznym elementem oferty Saudi Aramco jest podpisanie długoterminowej umowy na dostawy ropy naftowej. Dostawy z kierunku arabskiego, już po połączeniu z Grupą Lotos, mogą sięgnąć aż 45 proc. łącznego zapotrzebowania nowej Grupy Orlen. Dla koncernu to pewne źródło stabilnej jakościowo ropy naftowej, a z punktu widzenia polskiej gospodarki dalsza dywersyfikacja kierunków dostaw.

W ramach partnerstwa przy środkach zaradczych z Saudi Aramco będziemy też rozmawiać o wspólnych inwestycjach w zaawansowany i wysokomarżowy sektor petrochemiczny. Nawiązanie takiego

strategicznego partnerstwa oznacza też bliską współpracę z podmiotem posiadającym dostęp do technologii, mocno zaawansowanym w obszarze badań i rozwoju.

Realizacja środków zaradczych umocni też pozycję Grupy Orlen w obszarze sprzedaży detalicznej w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. W wyniku transakcji z MOL powiększymy naszą sieć detaliczną o blisko 300 nowych stacji i otwieramy drogę do przejęcia kolejnych 100. Łącznie zatem będzie to prawie 400 nowych stacji wspierających sprzedaż i wzmacniających rozpoznawalność marki Orlen na kilku kluczowych rynkach. Równolegle planujemy dalszą ekspansję, tak aby zgodnie ze strategią do 2030 r. w regionie pod polską marką Orlen działało co najmniej 3,5 tys. stacji.

W związku z polityką klimatyczną prowadzoną przez Unię Europejską widoczny jest trend odchodzenia od tradycyjnych paliw, co skutkuje systematycznym zamykaniem rafinerii. W takich realiach sprzedaż rafinerii stanowi dziś dla koncernów paliwowych duże wyzwanie. PKN Orlen temu wyzwaniu sprostał z korzyścią dla obu firm, akcjonariuszy, pracowników i klientów. To był skomplikowany proces, nad którym prace trwały od czterech lat, a struktura transakcji została potwierdzona już w maju 2021 r. w porozumieniu z Ministerstwem Aktywów Państwowych, którego udział w akcjonariacie rozszerzonego koncernu zostanie zwiększony.

Stabilność gospodarki i regionu wymaga więc od nas otwarcia na niestandardowe rozwiązania i gotowości do podejmowania ważnych, czasem trudnych, decyzji. To nie tylko biznes, lecz także bezpieczeństwo gospodarcze Polski. Dlatego cały czas idziemy do przodu. Sfinalizuj proces połączenia Orlenu z Lotosem i PGNiG. Stworzę silny koncern z przychodami na poziomie 220 mld zł, o łącznej kapitalizacji ok. 80 mld zł. Z korzyścią dla zaangażowanych firm, ich akcjonariuszy i klientów.

Połączenie PKN Orlen i Grupy Lotos weszło w decydującą fazę. Fuzja to strategiczny projekt dla polskiej branży paliwowej, krajowej gospodarki i regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Skutecznie realizujemy budowę silnego koncernu multienenergetycznego. Ten proces wymaga konsolidacji polskich spółek paliwowo-energetycznych oraz ekspansji geograficznej i te elementy uwzględniliśmy w naszej strategii ORLEN2030. Z determinacją pracujemy nad finalizacją połączenia, bo to przełoży się na wzrost wyników finansowych zaangażowanych spółek oraz zagwarantuje bezpieczeństwo energetyczne Polski, a także stabilne i atrakcyjne ceny energii dla klientów. Co więcej, transakcja ta otwo-



Umowa PKN Orlen z Saudi Aramco zwiększy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Dywersyfikacja dostaw ropy naftowej i zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego zarówno Polski, jak i regionu to kluczowe założenie strategii realizowanej przez PKN Orlen. Partnerstwo z Saudi Aramco, największą firmą energetyczno-chemiczną na świecie, to gwarancja stałych dostaw wysokiej jakości surowca z pewnego źródła

Porozumienie z Saudi Aramco zawarte przy okazji realizacji środków zaradczych w związku z planowaną fuzją Orlenu z Lotosem oznacza zwiększenie importu ropy naftowej. To zagwarantuje pewność i bezpieczeństwo dostaw. Zgodnie z umową Saudi Aramco ma dostarczać do systemu Orlen od 200 do 400 tys. baryłek ropy dziennie – co pokryje prawie połowę zapotrzebowania na ropę całej Grupy Orlen zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Czechach.

NIEZALEŻNOŚĆ = BEZPIECZEŃSTWO

Zapewnienie stałych dostaw ropy z niezależnych źródeł nie jest jedynie obietnicą, a konkretnym celem, nad którego realizacją PKN Orlen pracuje od sześciu lat. Takie działanie nie tylko zwiększa bez-

pieczeństwo energetyczne, lecz także stabilność dostaw, co przekłada się na płynność pracy rafinerii należących do Orlenu. Jak istotne i potrzebne jest zapewnienie dostaw z kilku niezależnych źródeł, pokazała sytuacja z 2019 r., kiedy to w związku

z zanieczyszczeniem surowca na 46 dni zostały wstrzymane dostawy rosyjskiej ropy z rurociągu „Przyjaźń”. Mimo to, dzięki procesowi dywersyfikacji, rafinerie w Płocku i w Czechach mogły pracować bez zakłóceń i bez konieczności redukcji wykorzystania mocy przerobowych. PKN Orlen wykorzystuje każdą możliwość podjęcia szerszej współpracy z nowymi dostawcami spoza Europy, w tym z Afryki czy Zatoki Perskiej. Od 2018 r. do Polski dociera ropa naftowa z Angoli, Nigerii, ze Stanów Zjednoczonych czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

KALENDARIUM:

- **styczeń 2022:** zawarcie strategicznego porozumienia z Saudi Aramco w związku z planowaną fuzją Orlenu z Lotosem na zwiększenie importu ropy naftowej (do 400 tys. baryłek dziennie)
- **marzec 2021:** pierwszy w historii kontrakt terminowy z Exxon Mobil – jedną z największych spółek paliwowych – na dostawę amerykańskiej ropy
- **2020:** PKN Orlen zwiększa comiesięczne dostawy ropy naftowej z Saudi Aramco
- **luty 2019:** do gdańskiego Naftoportu trafia ładunek ropy naftowej z Angoli
- **styczeń 2019:** do rafinerii w Czechach i na Litwie zostaje dostarczona ropa ze Stanów Zjednoczonych
- **październik 2018:** do płockiej rafinerii trafia ładunek ropy naftowej z Nigerii
- **kwiecień 2018:** zostaje podpisany aneks do zawartej w 2016 r. umowy z Saudi Aramco zwiększający miesięczny wolumen dostaw

Orlen zachowuje kontrolę nad rafinerią w Gdańsku

PKN Orlen, finalizując proces przejęcia Grupy Lotos, wchodzi w kluczowy etap budowy silnego koncernu multienergetycznego, który będzie gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski. I właśnie z takiej perspektywy należy patrzeć na jeden z najważniejszych projektów biznesowych w historii polskiej gospodarki. Zwłaszcza w obliczu polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Zakłada ona walkę ze zmianami klimatu poprzez rozwój odnawialnych źródeł energii i paliw alternatywnych, co nie pozostaje bez wpływu na przemysł rafineryjny

Trend przechodzenia na paliwa alternatywne jest widoczny od kilku lat coraz bardziej. Od 2008 r. w Europie zamkniętych zostało ponad 30 rafinerii, w tym pięć od 2020 r. Na unijną politykę klimatyczną nałożyła się bowiem dodatkowo trudna sytuacja związana z globalną pandemią, która w pierwszym okresie spowodowała zatrzymanie światowych gospodarek i spadek popytu na paliwa płynne.

Transakcję, której dokonał PKN Orlen w ramach realizacji środków zaradczych przy przejęciu Grupy Lotos, należy więc postrzegać jako duży sukces. Mimo tak trudnych warunków Orlen pozyskał inwestora, który jest zainteresowany współpracą nie tylko w obszarze rafineryjnym, lecz także znacznie szerzej. Rafineria Gdańska będzie miała istotne znaczenie również dla intensyfikacji działań w segmencie petrochemii.

Strategicznym partnerem PKN Orlen został koncern Saudi Aramco, największy światowy producent ropy naftowej i lider rozwoju nowoczesnej petrochemii, z którym Orlen współpracuje już od dawna w zakresie dostaw ropy naftowej. Teraz ta współpraca zacieśni się jeszcze bardziej.

Rozszerzenie współpracy ze sprawdzonym partnerem to dla PKN Orlen korzystne rozwiązanie. Od początku procesu przejęcia Grupy Lotos, ze względu na skalę i skomplikowanie tej transakcji, Komisja Europejska oczekiwała bowiem sprzedaży całej gdańskiej rafinerii. Początkowo PKN Orlen miał oddać także rafinerię w czeskich Kralupach.

W wyniku negocjacji z Komisją Europejską koncern utrzymał jednak pełną kontrolę nad rafinerią w Kralupach. Przede wszystkim jednak zachował 70 proc. udziałów w wydzielonej spółce, która będzie zarządzać Rafinerią Gdańską.

Z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego Polski i długoterminowej pozycji Grupy Orlen w Polsce oraz Europie przekazanie mniejszościowego udziału w rafinerii w Gdańsku, przy zachowaniu kontroli operacyjnej, należy postrzegać więc nie jako zagrożenie, lecz otwarcie na nowe możliwości rozwoju. Współpraca PKN Orlen z saudyjskim koncernem będzie bowiem obejmowała nie tylko obszar rafineryjny, lecz także petrochemiczny i badawczo-rozwojowy, w tym w ramach technologii zrównoważonego rozwoju.

Co więcej, zgodnie z umową z PKN Orlen, Saudi Aramco zagwarantuje dostawy do Polski w granicach od 200 do 400 tys. baryłek dziennie. Saudyjski koncern plasuje się w czołówce najbardziej dochodowych przedsiębiorstw na świecie.

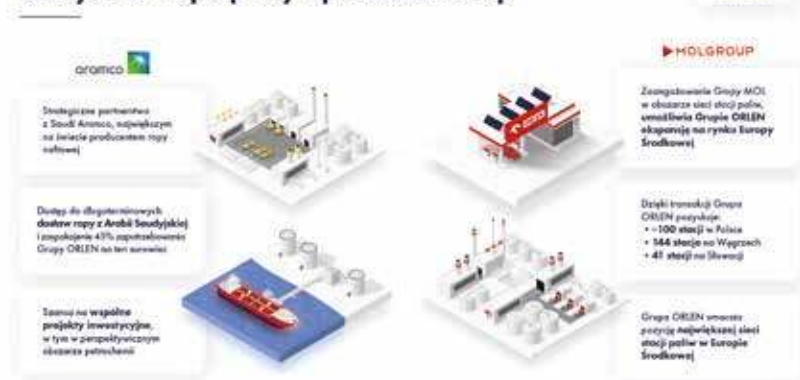
Szacuje się, że dostawy od saudyjskiego partnera, już po połączeniu Orłenu z Lotosem, mogą zaspokajać do 45 proc. łącznego zapotrzebowania całej Grupy Orlen zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Czechach.

PKN Orlen ma ogromne doświadczenie w przejmowaniu spółek i fuzji z Grupą Lotos z pewnością dobrze wykorzysta do budowania swojej wartości również poza Polską. Warto przypomnieć, że to właśnie polski koncern przez wiele lat, wspólnie z włoskim Eni i brytyjsko-holenderskim Shellem, był udziałowcem rafinerii w Czechach, operacyjnie kontrolowanych przez Unipetrol.

Na uwagę trzeba mieć także to, że model współpracy PKN Orlen z Saudi Aramco, czyli w formie joint venture, jest powszechnie stosowany w Europie i na świecie. Orlen nie jest tu wyjątkiem. Takie rozwiązanie umożliwia bowiem korzystną wymianę aktywów, a także wzmocnienie swoich kompetencji i możliwość wykorzystania najlepszych praktyk obu stron. Orlen dostrzega te szanse. Wspólny podmiot utworzony przez obie firmy na rafinerii, a docelowo budowa partnerstwa w zakresie petrochemii oznacza skokowy rozwój polskiego koncernu, a tym samym polskiej gospodarki.

Korzyści ze współpracy z partnerami fuzji

#PKNLTS





Klienci na Węgrzech zatankują na Orlenie

Segment detaliczny to jeden z kluczowych obszarów dalszego wzmocnienia pozycji Grupy Orlen w Polsce i za granicą. W ostatnich latach notuje rekordowe wyniki. Strategia Orlen 2030 zakłada jego dalsze wzmocnienie, m.in. poprzez rozbudowanie sieci stacji paliw. Do końca tej dekady w regionie pod polską marką Orlen ma działać co najmniej 3,5 tys. stacji, w tym udział stacji zagranicznych w całej sieci ma wzrosnąć z 37 proc. do 45 proc.

istotną rolę w osiągnięciu założonego celu odgrywa przejęcie Grupy Lotos. Transakcja ta otworzy bowiem przed PKN Orlen nowe możliwości rozwoju za granicą. Podczas negocjacji środków zaradczych w obszarze detalu od samego początku priorytetem PKN Orlen pozostawała gwarancja ekspansji geograficznej. I to się udało.

Koncern, podejmując współpracę z firmą Mol, zyskać może wiele. Wymiana aktywów z węgierską spółką oznacza dla PKN Orlen silną pozycję na rynkach, które są kluczowe z punktu widzenia strategii całej Grupy Orlen. Dzięki transakcji koncern stanie się właścicielem 144 stacji paliw na Węgrzech, co przybliży go do realizacji założeń strategicznych i ułatwi ekspansję na kolejne rynki Europy Środkowo-Wschodniej. W ramach jednej transakcji wymiany aktywów PKN Orlen stanie się czwartym koncernem na rynku węgierskim pod względem liczby stacji.

Koncern poszerzy również o 41 nowych obiektów sieć na Słowacji, gdzie ma 16 stacji. Dodatkowo sieć Orlen zasili

ok. 100 stacji pod marką Lotos, które nie zostaną włączone w pakiet środków zaradczych wymaganych przez Komisję Europejską. Ponadto, część funduszy ze sprzedaży stacji paliw przeznaczona zostanie na akwizycję kolejnych 100 stacji w regionie. Łącznie zatem będzie to prawie 400 nowych obiektów wspierających sprzedaż i wzmocniających rozpoznawalność marki Orlen na kilku kluczowych rynkach.

Efekty tych działań bezpośrednio przełożą się na wyniki finansowe koncernu. Szacuje się, że w obszarze detalicznym do 2030 r. EBITDA wzrośnie półtorakrotnie, czyli do ok. 5 mld zł.

Wejście na węgierski rynek i wzmocnienie obecności na Słowacji to kontynuacja skutecznych działań koncernu w obszarze detalicznym za granicą. Szczególnie w ostatnich latach bardzo mocno inwestuje on na sąsiednich rynkach. W Niemczech, Czechach, na Litwie i Słowacji Orlen ma łącznie już ponad tysiąc stacji. Od zeszłego roku funkcjonują one nie tylko pod lokalną marką, lecz

także mają w nazwie Orlen. Co więcej, w 2020 r. w Niemczech, a w 2021 r. w Czechach otwarte zostały pierwsze stacje wyłącznie pod marką Orlen.

O tym, że była to trafna decyzja, świadczy popularność tych stacji. Klienci bardzo chętnie je wybierają, ponieważ kojarzą Orlen z profesjonalizmem, wysoką jakością usług i produktów. Co ważne, w coraz większej mierze pochodzących od polskich producentów. Potwierdzeniem tego są osiągnięte wyniki finansowe. Dla przykładu w Niemczech, w których działa 586 stacji koncernu, Orlen Deutschland wypracował w 2020 r. 131 mln euro zysku operacyjnego.

W Polsce Orlen to niekwestionowany lider wśród sieci stacji paliw. Według badań przeprowadzonych m.in. przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS Polacy oceniają Orlen jako najbardziej rozpoznawalną markę stacji paliw, którą darzą także największym zaufaniem i sympatią. Wpływ na to ma z pewnością najwyższa jakość paliwa, na którą wskazało aż 80 proc. ankietowanych, i wysoka jakość obsługi, którą doceniło niemal 90 proc. osób.

Najwyższą jakość, którą gwarantuje marka Orlen, teraz będą mieli okazję poznać także klienci na Węgrzech. Natomiast PKN Orlen dzięki prowadzonym działaniom, w tym obecności na kolejnym zagranicznym rynku, dołączy do grona najbardziej liczących się koncernów paliwowo-energetycznych w Europie.

TYGODNIK LIŚKIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

 Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliwicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwels,
Jackie Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewska, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torzański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyńska, Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło

 Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (kierownik),

Jakub Tański, Jackie Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

 Fotoedyta: **Edyta Bortnowska, Przemysław Trzycyk**

 Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**

 Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**

 Okładka: **Piotr Mołęcki/East News, Maksymilian Rigamonti/Forum,**
Marek M. Berezowski/Reporter, Adobe Stock
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kierownik); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Mackiewicz odmłodzony

Mój ulubiony felietonista, Krzysztof Masłoń, odmłodził mego ulubionego pisarza, Józefa Mackiewicza, o całe 20 lat, pisząc: „od którego urodzin minie za cztery miesiące sto lat”. Mackiewicza miałem zaszczyt poznać jako świeży emigrant z PRL „na Zachodzie” w roku 1979. Byłem wtedy freelancerem w kolońskim Radiu Deutschlandfunk i Karl Hartmann zaproponował mi wiosną przeprowadzenie wywiadu z mieszkającym wówczas w Monachium polskim pisarzem na temat zbrodni katyńskiej, której to rocznica właśnie się zbliżała.



Józef Mackiewicz (skazany zresztą z inicjatywy polskich komunistów kolaborujących ze Stalinem we wschodniej Polsce, okupowanej przez Sowiety, przez sąd podziemny AK na karę śmierci za rzekomą kolaborację z Niemcami w Wilnie; wyrok na szczęście uchylono) za zgodą władz Polski podziemnej wziął udział w kwietniu 1943 r. w wyjeździe do Katynia w grupie dziennikarzy, którym to niemieccy okupanci pokazali przebieg prac ekshumacyjnych. Mackiewicz udzielił po podróży do Katynia (do objęcia władzy przez bolszewików był to majątek Aleksandra Lednickiego, polskiego prawnika i polityka) wywiadu o sowieckim ludobójstwie wileńskiej gazecie „Goniec Codzienny”.

Największy pisarz polski XX w. mieszkał wraz z żoną, także pisarką, Barbarą Toporską, w skromnej dzielnicy Monachium, Hadern, w starym budynku, różniącym się chyba, o ile dobrze pamiętam, od domu stojącego tam dzisiaj pod numerem 21

przy Windeckstrasse. Mieszkanie Mackiewicza mieściło się na parterze tego domu. Z klatki schodowej wchodziło się na lewo; od razu do kuchni; za zastoną mieściło się łóżko. Przez kuchnię przechodziło się do pokoju pełnego regałów uginających się pod ciężarem książek, z kanapą i ze stołem. Na jednej z półek stał gąsiorek ze smorodinówką. Mieszkanie Mackiewicza było bardziej niż skromne. Pisarz, zresztą kandydat do Literackiej Nagrody Nobla, żył wyłącznie z niewysokich honorariów, nie przyjmując jakiegokolwiek pomocy finansowej. Piszę o tym tylko dlatego, by o tym nie zapomniano.

Rozmowa z Mackiewiczem początkowo się nie kleiła. Pisarz nie dowierzał dziennikarzom, który w przeszłości go odwiedzali i często przekreślali jego wypowiedzi, uderzając w antykomunistyczną postawę pisarza. Epoka nie sprzyjała już krytykom Kremla. Odpowiedzi na pierwsze pytania, które zadałem Mistrzowi, brzmiały „tak” lub „nie”. Dla radiowca to kłeska! Wyłączyłem magnetofon, taki wielki i ciężki reporterski UHER, wówczas szczyt radiowej techniki, i zaczęliśmy rozmawiać o Wileńszczyźnie i Wilnie, gdzie przez wiele pokoleń mieszkała moja rodzina. Może mieliśmy wspólnych znajomych? Potem – jeszcze nie włączając sprzętu – o Katyniu, w którym zginął mój stryj Kazimierz. I o ucieczce mego ojca z sowieckiej niewoli, który z pewnością podzieliłby los swego brata. Wtedy nie rozmawiałbym z nim. Kieliszek smorodinówki rozluźnił wreszcie atmosferę spotkania. Wywiad – jak oceniono w radiu – bardzo się udał.

Jan Bogatko

SPROSTOWANIE

W związku z opublikowaniem w dniu 17.01.2022 r. artykułu pt. „Barbarzyńca w katedrze”, autorstwa Elżbiety Morawiec („Do Rzeczy”), Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że Teatr Nowy Proxima nie otrzymuje finansowania ani jako państwowa, ani jako współprowadzona przez MKiDN instytucja kultury. Ministerstwo nie zamyka też oczu na „profanację świętości czy kulturowe barbarzyństwo”. Ponadto Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie sprawowało patronatu nad Teatrem im. Słowackiego w Krakowie, wobec czego nie mogło się z niego wycofać.

Anna Pawłowska-Pojawa,
Dyrektor Centrum Informacyjnego,
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kto kogo?

Każdy, kto zamarzył o własnej siedzibie, zna przysłowie: Kto buduje dom, ten rzadko się śmieje. Teraz można to powiedzenie strawestować w odniesieniu do polskiej polityki: Kto nie ma solidnej większości sejmowej, ten rzadko się śmieje.

PiS ma problem z Pawłem Kukizem, który właśnie postanowił zademonstrować niezależność od swojego sojusznika Jarosława Kaczyńskiego. Były rockman zaproponował powołanie komisji ds. wyjaśnienia zarzutów o inwigilację za pomocą Pegasusa. Symboliczne zdjęcie Kukiza z Donaldem Tuskiem, które ilustrowało ten temat w magazynie informacyjnym TVN „Fakty”, pokazało, że Kukiz ma już szansę na awans z pozycji politycznego niegodziwca do roli zbawcy polskiej demokracji. Wszystko dlatego, że Tusk uznał, iż sprawa może zaszkodzić PiS, i w imię tej wyższej racji poparł ideę Kukiza. Ba, nawet zgodził się, by komisja zajmowała się także epoką rządów Platformy. Teraz PiS musi

zadecydować, czy będzie sprawę odwlekał i upychał projekt o powołaniu komisji w tzw. sejmowej zamrażarce czy też rozpocznie na arenie speckomisji bój o swoje dobre imię.

Czy w ogóle zwolennicy komisji uzyskają większość? Na dziś stosunek sił w tej sprawie obliczany jest dokładnie lustrzaną liczbą głosów 230 do 230. Obie strony będą więc próbowały przeciągnąć w swoim kierunku wszystkich niezdecydowanych lub wyjąć z obozu przeciwnika jakąś poselską duszyczkę.

Minister Mariusz Kamiński wyraża się w bardzo zwięzły sposób: żadnej nielegalnej inwigilacji nie było i rząd Morawieckiego nie ma sobie nic do zarzucenia. Jednak jeśli powstanie komisja, to diabeł będzie tkwił w szczegółach – PO jest przekonana, że jest w stanie przeprowadzić show, który odegra podobną rolę jak sprawa Rywina. Wtedy to okazało się, że logika politycznego teatru śledzonego przez miliony Polaków na dłuższą metę doprowadziła do porażki postkomunistycznej

lewicy. Teraz w wypowiedziach polityków opozycji takich jak Marcin Kierwiński czy „Miś” Kamiński wyczuć można nadzieję, że będzie to gwóźdź do politycznej trumny dla PiS.

Rządząca partia, jak się zdaje, zlekceważyła znaczenie całej sprawy. Wypowiedzi ministra Michała Wosia o tym, że nic nie wie o istnieniu Pegasusa, nie były najmądrzejsze. Tak samo nieprzemyślane chyba były stanowcze deklaracje, że zwykłych ludzi ta sprawa w ogóle nie interesuje. Teraz jednak PiS musi podjąć decyzję. Czy zdoła zorganizować większość zdolną do odrzucenia wniosku o powołanie komisji? A jeśli to się nie uda, to czy obie strony wystawią odpowiednio sprawnych gladiatorów, którzy będą się spierać przed kamerami mediów?

Paweł Kukiz przedstawia się jako jedyny gwarant wyjaśnienia sprawy. Niedwuznacznie daje do zrozumienia, że to on mógłby być najlepszym przewodniczącym komisji. Wszystko jednak zależy od tego, czy komisja w ogóle powstanie. ©



FOT. NICHOLAS KAMM/AP/EAST NEWS

NOWY AMBASADOR
USA W POLSCE

Mark Brzezinski został zaprzysiężony przez wiceprezydent Kamalę Harris (pierwsza z prawej) na ambasadora USA w Polsce. Uroczyste zaprzysiężenie odbyło się prawie dokładnie rok po ustąpieniu z funkcji George'a Mosbachera. To już druga misja Brzezinskiego jako ambasadora. Wcześniej, za rządów Baracka Obamy, pełnił on tę funkcję w Szwecji. Biegle mówiący po polsku Mark Brzezinski, syn szanowanego Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Jimmy'ego Cartera to również ceniony ekspert ds. Rosji. (jap) ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Unia właśnie

Wskutek covidowych restrykcji i strachu w Europie bardzo zmalała – omalże do zera – liczba pasażerów linii lotniczych. Same loty jednak odbywają się z niewiele mniejszym natężeniem, tyle że bez pasażerów – jedna tylko Lufthansa przyznała się do 18 tys. takich „pustych” lotów w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, a nie ma powodu sądzić, żeby inne linie lotnicze postępowały inaczej niż ona. Dlatego że zgodnie z unijnymi regulacjami linia, która nie wykorzystuje przyznaných jej tzw. slotów, czyli prawa do startów i lądowań w określonych godzinach, traci je. A to dla wielkiej linii lotniczej byłoby prawdziwą katastrofą i bankructwem. Bardziej już opłaca się dokładać do lotów na pusto – w końcu w ten czy inny

sposób każdemu z przewoźników zwrócić poniesione straty podatnicy jego kraju.

Mniejsza jednak o ekonomiczny wymiar absurdu. W imię ideologicznej paranoi walki z emisją dwutlenku węgla Europa zakłada sobie przecież na szyję jedną pętlę za drugą: zamyka kopalnie i elektrownie, oddając się na łaskę i niełaskę Gazpromu, zabrania produkcji żywności i uzależnia się od jej importu, snuje absurdalne plany przeniesienia całej trakcji na pojazdy elektryczne (absurdalne, bo nieuwzględniające np. możliwości surowcowych), właśnie zapowiedziała kolejną ofensywę przeciwko budownictwu... Unijni urzędnicy wyliczają obsesyjnie „ślady węglowe” każdego produktu, przygotowując obłożenie

ich wysokimi cłami i podatkami, omalże jesteśmy już o włos od dyrektywy nakazującej wszystkim oddychać tylko co drugi raz. Jednocześnie mocą unijnych zarządzeń produkuje się tony CO₂ zupełnie bez sensu – a byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie to, że UE usunęła ze swych wyliczeń dwutlenek produkowany przez odrzutowce prywatne (no, ale wiecie, kto nimi lata).

Oczywiście europejskie komisje pracują już pełną parą nad problemem, ale „wyników ich nikt nie uzgodni, bo ileż by zajęło to dni! – zresztą odnośni referenci stale czym innym są zajęci”, jak to pisał Szpot w wiecznie aktualnym „Towarzystwie Szmaciaku”. Chce się rzecz za innym wieszczem: „A to Unia Europejska właśnie!”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ksiądz za kratami

Cóż takiego złego zrobił ks. Łukasz Sztylowski, że siedzi w poznańskim więzieniu? Oskarżają go o pomoc w podrabianiu paszportów covidowych. Jakież ksiądz ma możliwości podrabiania elektronicznych dokumentów? W Polsce nie obowiązują, wolność od segregacji sanitarnej ciągle pozostaje jedną z naszych swobód. A jeśli ksiądz ułatwiał wyjazdy zagranicze ludziom, którzy muszą jechać do rodziny czy do pracy – to bronił ich praw, których i za granicą domagają się miliony ludzi. Swoboda poruszania się zdrowych nie podważa przecież obowiązku kwarantanny zarażonych.

Skrupuły wobec preparatów budzących wątpliwości moralne, ze względu na wykorzystywanie do ich produkcji szczątek dzieci zgłodzonych w tzw. aborcji, są zupełnie naturalne. W Sejmie RP padały w tej sprawie pytania, a rząd nie udzielał logicznej odpowiedzi. Zasada nieprzykładania ręki do zła jest fundamentem ludzkiej wolności. Czy wszystkie dostępne szczepionki są takie same? Czy w żadnych warunkach żadnych nie można przyjąć? Odpowiadając na te pytania, kard. Eijk zwrócił uwagę, że choć „wierzący katolicy znają i identyfikują się z absolutnymi normami nauczania Kościoła, często nie znają kazuistyki klasycznej teologii moralnej”. To są pytania, na które musimy

szukać odpowiedzi. Ale warunkiem ich rozważania jest wolność, wsadzanie ludzi do więzienia refleksję i dyskusję przekreśla.

Ksiądz Sztylowski stał się znany szerszej opinii, gdy bronił kościołów jesienią 2020 r. Nie tylko bronił, lecz także rozmawiał z atakującymi. Być może wtedy naraził się władzy, skoro mówił, że broni świątyń i praw nienarodzonych, a nie rządzącej partii. Dziś siedzi w więzieniu, choć przecież na stawiane mu zarzuty mógłby odpowiadać z wolnej stopy. Jako ksiądz katolicki i jako tradycjonalista na kozła ofiarnego jednak się świetnie nadaje. Tym bardziej winni mu jesteśmy modlitwę i wszyscy odpowiadamy za jego wolność. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

„Nie będziemy umierać za Ukrainę”

Tego rodzaju hasło, z pewnością dość nieprzyjemnie kojarzące się Polakom, trafiło na łamy włoskiego prawicowego dziennika „Libero”, zbliżonego do Matteo Salviniego, byłego wicepremiera, szefa Ligi, partii prawicowo-liberalnej (20 proc. w sondażach, a było i 33 proc.).

W dzienniku 18 stycznia ukazał się duży artykuł pt. „Ryzykujemy wojnę za skorumpowaną Ukrainę”. Autor Mirko Molteni retorycznie pyta: „Czy Zachodowi opłaca się ryzykować wojnę o przyłączenie do NATO i Unii Europejskiej narodu chronicznej korupcji i chwiejnego wymiaru sprawiedliwości?”. Następnie cytuje opinię unijnego Trybunału Obrachunkowego z września

ubiegłego roku: „Na Ukrainie korupcja obecna jest na każdym poziomie władzy państwowej”. Dalej mowa jest o oligarchach, którzy stanowią zagrożenie dla wymiaru sprawiedliwości i funkcjonowania prawa. Molteni wśród najbardziej skorumpowanych wymienia Julię Tymoszenko. Wskazuje, że unijne subwencje, które miały pomóc Ukrainie w opracowaniu programów antykorupcyjnych, były pieniędzmi wyrzuconymi w błoto. Sugestia, żeby oddać Putinowi Ukrainę, nie pada wprost, ale jest wyraźnie suflowana.

Znajdujemy też ciekawą uwagę, że „Ukraina obecnie przypomina Rosję lat 90., zanim Putin nie podporządkował sobie skorumpowanych kreuzów, którzy wzrosli

i zakwitli na gruzach komunizmu”. Kilkanaście dni temu w tym samym „Libero” znalazł się tekst, w którym tłumaczono, że Putin i Rosja nie są winni gwałtownej podwyżki cen energii, usprawniającej przy tym rosyjską politykę prowadzoną kurkiem od gazu.

Gdy wezmą Państwo do ręki ten numer „Do Rzeczy”, w Rzymie rozpoczną się w parlamencie wybory nowego prezydenta. Nie jest w tej chwili jasne, czy Berlusconi zgodnie z zapowiedziami będzie w nich kandydatem centroprawicy. Ale są szanse, choć szczęściem nikłe, że prezydentem Italii, trzeciego kraju Unii, zostanie osobisty przyjaciel Władimira Putina. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

LUDZIE CIĘŻKIEJ PRACY

W tym samym czasie, gdy Donald Tusk ruszył w objazd po Polsce, by rozmawiać ze zwykłymi wyborcami, „ludźmi ciężkiej pracy”, jak ich określił, o podwyżkach rachunków za gaz i energię, o szalejącej drożyznie i o tym, że za wszystko to odpowiada PiS, jego córka Katarzyna, znana blogerka modowa, wrzuciła na swojego bloga uroczę zdjęcie luksusowej, markowej torebki, którą dostała w prezencie od męża. Jak szybko wyliczyły portale plotkarskie, ten model torebki kosztuje jakieś 30 tys. zł. Nie pomagasz, Katarzyno, ojcu, no nie pomagasz!

BARDZO NISKIE WIBRACJE

Celebrytka i prezenterka telewizyjna Anna Wendzikowska co chwila wrzuca zdjęcia z kolejnych egzotycznych wakacji, na które jeździ wraz ze swoimi córkami. Nie kryje zresztą, że uwielbia podróżować i w ten sposób się odstresowuje. Ostatnio, będąc znów na wakacjach, została zapytana na Instagramie przez jedną z fanek, czy nie boi się tak latać po świecie sama z córkami. Odparła, że nie, bo jest odważna, a lęk to „niska vibracja”. – Nie boję się, mam głębokie przekonanie (tak generalnie), że zawsze ze wszystkim sobie poradzę... – wyznała. – Ale nawet jeśli bym się bała, to by mnie to nie powstrzymało. Bo dlaczego lęk (który z założenia jest projekcją umysłu, projekcją



FOT. MATEUSZ GROCHOCKI / DDTV, EAST NEWS



FOT. PAWEŁ CROWADA

czegoś, czego nie ma, bo boimy się jakichś potencjalnych rzeczy, które zwykle przecież się nie dzieją) miałyby kontrolować moje działania? Lęk to bardzo niska vibracja. Zawsze wybieram zaufanie. Mówię sobie: Wszechświat mnie ogarnie – stwierdziła. Czy wszechświat w ramach ogarniania mógłby jej odciąć Internet? Może wtedy by się ogarnęła.

TAKA ŻONA TO SKARB!

Prezenterka i celebrytka Agnieszka Hyży, która niedawno została mamą, wyznała w wywiadzie dla „Twojego Imperium”, jakim ojcem jest jej mąż, muzyk Grzegorz Hyży, który ma już dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa. – Bardzo dobrym, o czym wiedziałam od naszego pierwszego spotkania – oświadczyła. – Byłam pewna, że po raz kolejny wejdzie w tę rolę z pełnym zaangażowaniem, miłością i troską. Ale to, jak się zachowuje, przerosło moje oczekiwania. Mam poczucie, że jesteśmy rodzicami na równych zasadach i współpracujemy, dzieląc się wszystkimi obowiązkami – dodała. Podkreśliła też, że jej mąż nie chwali się swoim ojcostwem w Internetach, ale „to nie oznacza, że nie jest oddanym ojcem, obecnym w ich życiu”. – Mój mąż nie opowiada o dzieciach, nie relacjonuje w mediach czasu, który z nimi spędza – wylicza. Dlatego robi to za niego żona. Ktoś przecież musi!

JAK BIEDA, TO NA WAKACJE

Krystyna Janda jest niepowtarzalna i absolutnie niepodrabialna. Gdyby nie istniała, prawica musiałaby ją sobie wymyślić. Otóż ta znana aktorka jeszcze w grudniu w głośnym wywiadzie dla „Newsweeka” żaliła się, jak uderzyły w nią podwyżki i drożyzna w sklepach. Do tego stopnia, że musiała zacząć oszczędzać. I to – uwaga! – nawet na chlebie. – Mało jem ostatnio. Ktoś mi wytłumaczył, że głodówka jest bardzo zdrowa, i miał rację. Nawet na poprawę nastroju. Jak kupię bochenek chleba, to go dzielę i zamrażam. Na tydzień wystarczy. Ale ceny rosną – oznajmiała, a wizja Jandy mrożącej z biedy chleb na cały tydzień mogła wywołać w niektórych nawet współczucie. Do czasu. Bo oto kilka dni temu Janda wrzuciła na Insta fotkę, jak beztrudnie wypoczywa sobie w słonecznej Hiszpanii. „Jutro wracam do Polski, tam 500 zgonów dziennie i uchodźcy, dzieci umierają na granicy, ja uciekam na pięć dni, bo straciłam wszelki sens. Wracam go odzyskać” – napisała. Tylko zanim się weźmie do szukania sensu, niech nie zapomni chleba rozmrozić! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, od zawsze spoglądamy z zazdrością w kierunku Warszawy. Wiadomo, stolica, ale też bardziej postępowe, większe miasto, z fajniejszym osoboprezydentem, nie tak wąskie, zatęchłe i nudne jak ten Kraków. Po prostu bardziej europejskie i kolorowe.

A teraz jeszcze dowiedzieliśmy się, iż Warszawa dogoniła Europę. Co prawda, na razie tylko pod względem cen mieszkań, ale i tak wow i zazdro.

Otóż cena to 12 koła za metr kwadratowy, czyli mniej więcej tyle, ile w Madrycie i Rzymie. Co prawda, wciąż nie równamy do Berlina i Amsterdamu, ale i tak nieźle.

W dodatku przeciętny warszawianin może kupić za swoją pensję prawie pół metra takiego mieszkania, a więc w ciągu całego zawodowego życia byłby może w stanie odłożyć na 17-metrowy mikroapartament na strzeżonym i grodzonym osiedlu. Pod warunkiem że w tym czasie wciąż jeździłby do małego ośrodka po słoiki.

Posłowie Platformy Obywatelskiej wpadli na jeden genialny sposób, jak zniechęcić ludzi do starych lub zajeżdżanych samochodów. Otóż ich zdaniem pojazdy, które mają na liczniku więcej niż 160 tys. km, powinny przechodzić dodatkowy przegląd techniczny, a zatem łącznie dwa tego rodzaju badania w ciągu roku.

Pochwalamy, iż każdy sposób na motywowanie wásatych januszów z podkarpacia, iżby porzucili swoje kopące diesle i polonezy zasilane chyba nawet olejem słonecznikowym, na rzecz nowoczesnych samochodów elektrycznych, a jeszcze lepiej – hulajnóg, rowerów czy własnych nóg. Chociaż

Kompletuje trzeźwego Bartłomieja Siemkiewicza
wyprowadza z Sejmu Botys Wódka...



...tfu! Z naczy - Budka

Oczywiście nie jesteśmy jakimiś tam szurami z ciemnogrodu i jak najbardziej w imię wolności osób zaszczepionych popieramy wszelkie ograniczenia i delikatne środki przymusu, jakie miałyby spaść na tę ciemniejszą stronę społeczeństwa, łącznie z zakazem wychodzenia na ulice, kamerami w mieszkaniach, odbieraniem osobodzieci i przekazywaniem parom zaszczepionym itd.

Natomiast obawiamy się jednego: zakazu sprzedaży alkoholu osobom, które nie przyjęły jeszcze szczepienia. Sami np. mamy w kolektywie frendów, którzy mają problemy mentalne z podjęciem decyzji o szczepieniu, ale of kors nie są szurami – więc dlaczego nie mieliby kupić sobie piwka do sprajta albo raczej DDH West Coast Triple Imperial Pastry Stouta?

A druga sprawa, że spowodowałoby to bunt wásatych januszów na niespotykaną wcześniej skalę i eksplozję popularności bimbrownictwa. Wyobrażacie sobie wściekłość takiego podkarpacia, kiedy nie będzie mogło sobie kupić wódki? Przecież to się skończyłoby jakimś marszem na Warszawę, a my w Warszawie, mimo iż jesteśmy z Krakowa, Podkarpacia nie chcemy. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Mała biała kropka

Panie Pawle, no co pan tam sobie z tymi podsłuchami najlepszego wymyślił...

Ha, panie Ryszardzie, bo ja wiem przecież, że wy mnie też podsłuchiwałeś, jeszcze do niedawna.

Ale co, skąd, jak?

No normalnie, Pegasusem.

Skąd pan to niby wie?

Bo mi Brejza powiedział, jak sprawdzić.

No niby jak?

Pan weźmie swój telefon i powtórza za mną. Tu naciskamy trzy razy, potem tutaj robimy po ekranie taki znaczek palcem, potem wchodzimy tutaj, wpisujemy „RATATA-TA345”, pięć razy stukamy w ekran,

włączamy dzwonek „cosmic bell”, teraz z telefonem w rękę obracamy się cztery razy na lewej nodze... Pan uważa, pan się nie przewróci. I teraz trzeba trzy razy krzyknąć: „Hoc, hoc, hoc!” – i patrzy pan w lewy dolny róg. Jak tam jest taka mała biała kropka, to ma pan Pegasusa.

A niech to... Jest!

Ciszej!

Wszystko słyszą! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Senacka Komisja ds. Pegasusa już wywołała popłoch w szeregach władzy, a to dopiero początek demontażu Państwa PiS”.

KLAUDIA JACHIRA, posłanka Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze

Uwaga, uwaga! Już niebawem słynny Pegasus okaże swoją moc! Prokuratorzy właśnie kończą pisać zarzuty i wnioski o zatrzymanie, które wstrząsną światem polskiej polityki. Dodajmy, że wstrząsną w miarę równomiernie opozycją i koalicją. Sprawy Bartka Misiewicza czy Sławku Nowaku to przy tym popierdółki. Wołanie opozycji o powołanie komisji śledczej niebawem może się okazać błaganiem karpia o przyspieszenie Wigilii.

Głupia sprawa z tym Pegasusem i pomysłem na komisję śledczą. Otóż doniesienia dotyczące paniki przy Nowogrodzkiej są grubo przesadzone. Panuje tam raczej pełen zrozumienia sceptycyzm. Sceptycyzm dotyczy tego, czy Eine Totalopposition uda się uskładać głosy nawet z Kukizem. Ponadto silna jest frakcja mówiąca: „Chcą wojny? No to niech ją mają!”.

Widzicie, na wszystko są bowiem dwa punkty widzenia. Gdyby komisja zaczęła teraz, i to w ramach zakreślonych przez naczelnego kukistę, to najpierw z rok zajmowałaby się rządami PeŁo. A dopiero potem, w roku wyborczym, rządami PiS. Czyli niby groźnie. No i tu jest ta rozterka, bo silna frakcja, o której wspomnieliśmy wyżej, sugeruje, że w sumie czemu nie, jeśli się ma opozycja kompromitować, to niech się kompromituje jak najbliżej wyborów.

Na razie z zainteresowaniem obserwujemy prace niby-komisji, którą sobie w Senacie powołali totalni. Udały się jej już epokowe rzeczy. Ustalić, że system Pegasus istnieje (cóż za zaskoczenie). Że ma go Polska – o czym wprost mówił Jarosław Kaczyński, a faktura znana jest od 2019 r. I że wedle amerykańskiego eksperta Rosjanie stoją za aferą e-mailową Dworczyka. Obiecujące, nieprawdaż? Komisja dowodzona przez, powiedzmy, Suskiego, lepiej by tego nie ułożyła.

Mamy swój wniosek do wszystkich szanownych komisji w tej sprawie – dętych, prawdziwych, istniejących i potencjalnych. Jako goście, którzy w sprawie podsłuchiwania dziennikarzy w czasach PeŁo zeznawali grubo w prokuraturze, czujemy tęsknotę za chwytliwą nazwą oddającą specyfikę tamtych czasów. Jak wiadomo, do szpie-



FOT. ROBERT CAROŹIŃSKI

dwaj panowie **g**

gowania w czasach PeŁo używano systemu RCS – Remote Control System. To brzmi mało sexy. Proponujemy, by w mowie potocznej używać określenia „Platformus”.

Mówi wam coś nazwisko Michał Ostrowski? Pewnie nie. Nam mówi, ale to z racji obowiązków zawodowych. W tej chwili człowiek ów stoi na czele departamentu ds. przestępczości gospodarczej i nadzoruje najważniejsze śledztwa w sprawie przekrętów na masową skalę. Jednak niebawem to nazwisko może wam powiedzieć więcej. Bo Ostrowski jest aktualnie faworytem do objęcia stanowiska szefa Prokuratury Krajowej.

Oj, nie ma szczęścia ta nasza dyplomacja. Ledwie prof. Rau został postawiony na nogi po hercklekotach, a już dopadł go COVID-19. I to mimo trzech dawek szczepionki. Pocięszające jest, że minister nie zdążył zarazić nikogo ważnego. Smutniejszy jest fakt, że jakiś wirus eliminuje nas z największej rozgrywki dyplomatycznej tych dni, którą jest kryzys rosyjsko-ukraiński. Bo przecież to Polska stoi teraz na czele OBWE.

Jednak nie czarujmy. MSZ w sprawie ukraińskiej nie przejawia zbytnej aktywności. Niektórzy złośliwcy mówią nawet, że w ten trudny czas MSZ de facto przeniosło się do dużego pałacu, a Andrzej Sebastian przejawia

wielką aktywność. Pojawiły się więc sugestie, by główny prezydencki spec od dyplomacji, czyli Jakub Kumoch, przeprowadził się na Szucha, do ministerstwa. Uspokajamy: Kubę, owszem, lubimy, ale grono ludzi, którzy go nie lubią, jest większe. Zapewne zazdrościsz mu wielkiej zręczności w poznawaniu nowych języków. My też. Bawiąc w Bernie, z prawdziwym podziwem słuchaliśmy, jak zasuwał po szwajcarsku. I zapewniamy was – to nie jest to samo co po niemiecku.

Zwielkim zainteresowaniem przyjęliśmy propozycję Donalda Tuska, by on sam do planowanej debaty liderów opozycji przystąpił w pozycji klęczącej, błagając o zjednoczenie. Uważamy bowiem, że mógłby od razu błagać o wybaczenie za kilka rzeczy. Państwo sami wiedzą, za które.

Reszta liderów Eine Totalopposition też właściwie mogłaby paść na kolana. Jest okazja. Debata, przypomnijmy, planowana jest na 21 marca. Właściwą, pełną oddania pozycją uczestnicy uświetniliby urodziny Siergieja Ławrowa, które przypadają akurat tego dnia. Świecką ceremonię urodzinową dla szefa MSZ powinien, naszym zdaniem, poprowadzić Waldemar Pawlak, znany miłośnik Gazpromu i przeciwnik Baltic Pipe.

Może ktoś pamięta, że tydzień temu obchodziliśmy 50. urodziny nadziei młodych – Rafcia Trzaskowskiego. Warszawski ratusz też świętował. Z tej okazji od podwładnych Rafcio dostał bukiet 50 czerwonych róż. Przypominamy kwiatowy savoir-vivre: tulipany lub goździki dajemy w Dniu Kobiet. A czerwone róże, symbol miłości, w walentynki. Podwładni Rafcia tak go kochają, że nie chcieli czekać aż do 14 lutego.

Wiadomości nieistotne zostawiamy na koniec. Roberta Metsola została nową szefową Parlamentu Europejskiego. Pochodzi z Malty, ale ma męża Fina. I pięciu synów Finów. To tyle, jeśli chodzi o ciekawe informacje na jej temat. Prywatnie jest przeciw aborcji, publicznie za LGBT+. Idealna konserwatystka bezobjawowa. Coś jak skrzyżowanie Buzka z Komorowskim, ale w garsonce. ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
 STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)



**PARTNER
STRATEGICZNY**

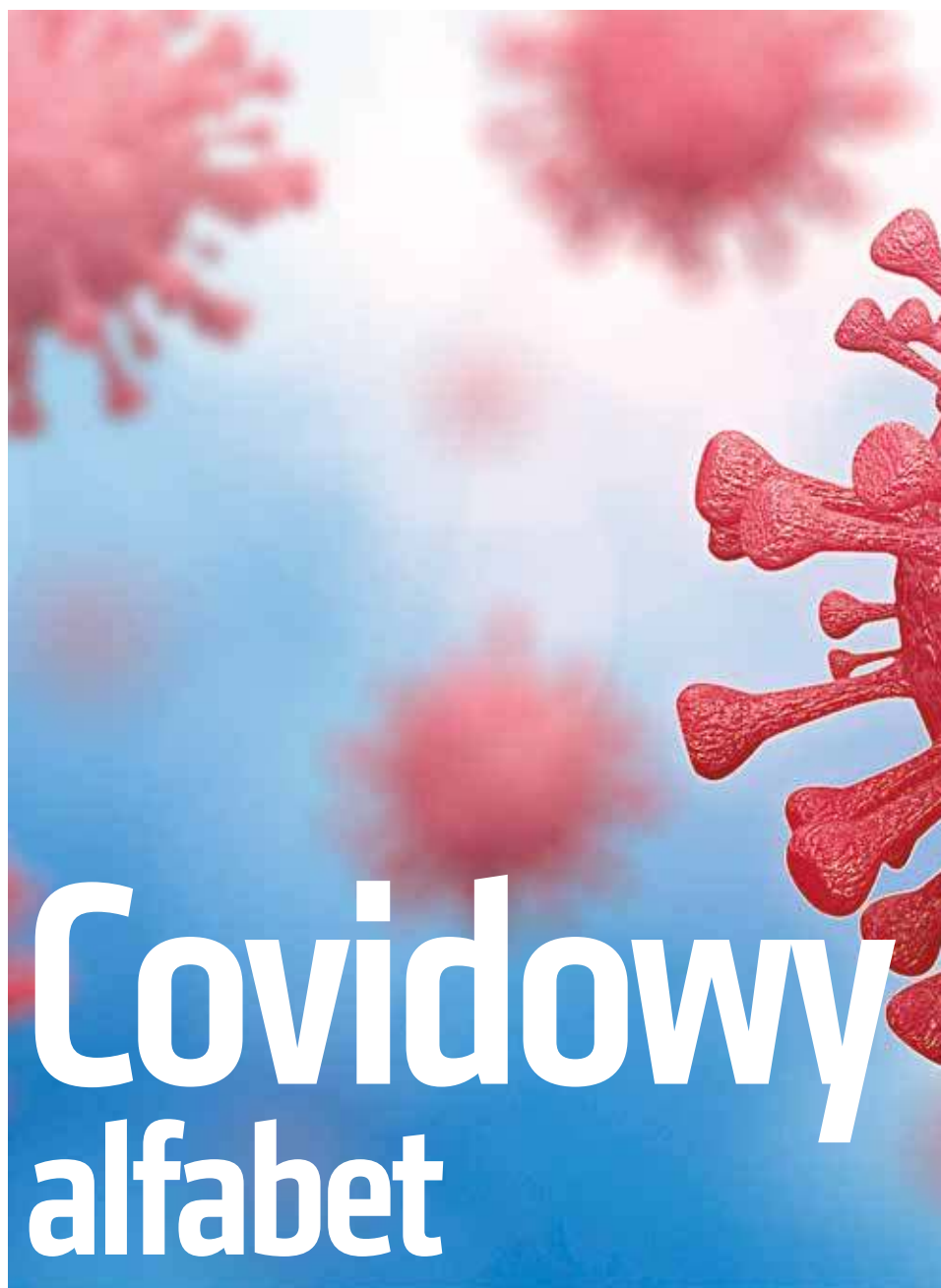


Jerzy Karwelis

Przedstawiam alfabet covidowy. Robi się go bardzo prosto. Co prawda, początek nie jest prosty, bo trzeba napisać ponad 600 wpisów o pandemii, ale potem to już z górki: wpisujesz w wyszukiwarkę swego bloga Dziennikzarazy.pl podejrzane o popularność słowa czy pojęcia i patrzysz, jak często się pojawiają w zbiorze wpisów o covidowej pandemii. Tak to się robi. A co z tego wynika? Oprócz tego, co poniżej, wychodzi, że pojawiły się nowe pojęcia, a niektóre stare nabrały nowych znaczeń w ramach językowej dekonstrukcji covidowej. Teraz do dzieła, czyli do alfabetu

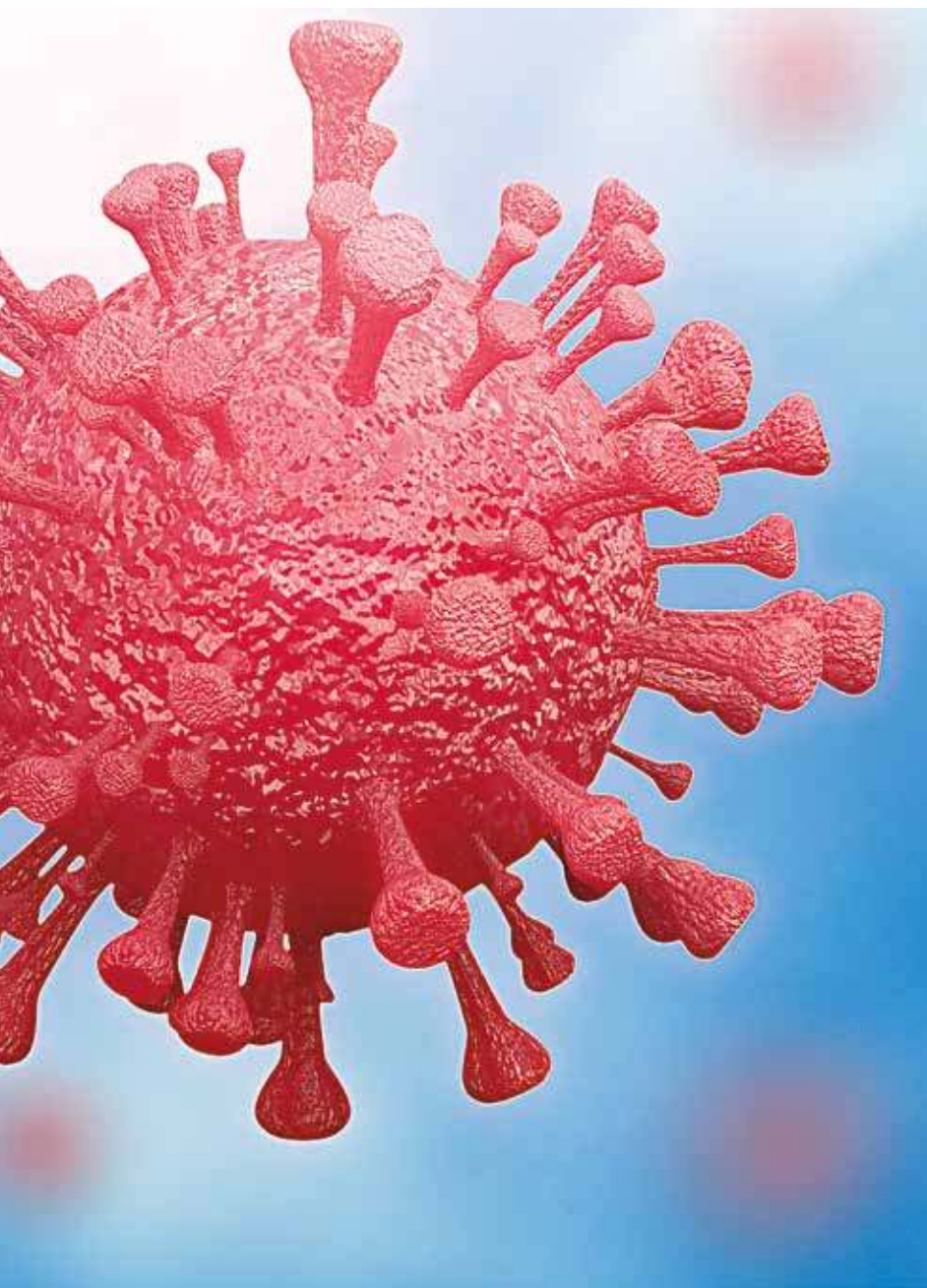
A **BSURD** – kontekst przewijający się przez całą pandemię (patrz: epidemia) polegający na przyzwyczajaniu się do nielogicznych (kiedyś) sytuacji, reguł i zachowań, które w ramach postępu koronawirusa (patrz: koronawirus) i siania paniki (patrz: media) stały się powszechnie akceptowalne. Na chwilę obecną (jeszcze) na absurdalne wyglądają nakazy noszenia maseczek (patrz: maseczki) w domach (Austria) czy zamykania na kwarantanny całych miast po wykryciu trzech zakażonych osób (australijskie Brisbane).

BESTII ZNAK – wyśmiewana przepowiednia płaskoziemców (patrz: foliarze) z początków pandemii, że jak tak dalej pójdzie, to bez znaku na prawym ramieniu: „Nikt nie może kupić ni sprzedać” (Apokalipsa św. Jana 13, 16–17). Obecnie są wprowadzane różne oznakowania dla różnych poziomów zaszczepienia i aktualności poświadczeń szczepiennych (patrz: paszporty) umożliwiające dostęp do sklepów (strategia 3G). Temat jest rozwijany na plany przeniesienia tych coraz bardziej zagmatwanych informacji na różne sposoby znakowania statusu szczepiennego (opaski, chipy).



COVID-ZERO – nowo powstała religia, połączona z szerokim stosowaniem względów epidemiologicznych do oceny świata post(?)covidowego (patrz: sanitaryzm). Polega ona na tym, że wierzy się, iż pandemię da się pokonać dopiero po zniknięciu (sposoby osiągnięcia tego stanu są już pomijalne) ostatniego zakażonego, dodajmy: testami (patrz: testy). Religia nie posiada boga, ale ma wielu kapłanów (patrz: ultrasi). Zapowiada się na wieczną albo co najmniej długotrwałą, bo będzie trwała do końca ostatniego zakażonego albo go tropiącego.

CHOROBA – (patrz: absurd). Stan organizmu, który eliminuje cię z kontaktu ze służbą zdrowia. Trzeba być zdrowym, żeby się leczyć. Logiczne zapętlenie, którego nie da się rozwikłać, chyba że sposobami bezwzględными (patrz: teleporada). Właściwie wszelkie choroby zniknęły, przykryte COVID (patrz: grypa). Nie bardzo wiadomo, po co dziś istnieją inni medyczni specjaliści. Nie wiadomo też, po co istnieją zakaźnicy, pulmonolodzy czy interniści, skoro tej jedynej choroby nie leczy się (patrz: iwermektyna), tylko czeka, często w domu, na to, czy odporność „zaskoczy”. W razie



jąca epidemią (WHO), która stwierdziła, że dla niej jest to masowe występowanie w wielu miejscach tej samej choroby zakaźnej. Ta definicja spełnia w całości znamiona grypy, z której nikt dotąd nie robił takiego światowego halo, ale takie porównanie nie jest dozwolone (patrz: media), bo zestawianie COVID z gripą to grzech główny i ostracyzmnie śmiertelny (patrz znowu: media).

FOLIA – przed COVID beztroscy debile, wierzący, że warstwa folii w czapeczce na głowie uchroni ich od szkodliwego promieniowania słonecznego padającego na Ziemię, która wedle ich wierzeń jest płaska i spoczywa na grzbiecie żółwi (na temat liczby tych gadów trwają w tej sekcji przezabawne spory). W czasach COVID – główni siewcy pandemii, bo to to się nie maskowało i przytulało w tramwaju. Po wynalezieniu szczepionek – główni winowajcy utrzymywania się zakażeń mimo akcji typu „ostatnia prosta”. Jest to pierwszy przypadek (patrz: absurd, uprzedziłem, że będzie wszędzie), w którym winą za nieskuteczność jakiegoś medycznego preparatu obarcza się tych, którzy go nie zastosowali. Obecnie jest to obelżywy wór, do którego wrzuca się w celach defamacyjnych wszystkich, którzy wątpią choć o milimetr w oficjalny przekaz medialno-sanitarny. Robi się to po to, by „pobrudzić” z oszołomstwem jakiekolwiek racjonalne argumenty dotyczące tego, że może by zawrócić z tej drogi (patrz: absurd). Głównie po to, by nie trudzić się odpieraniem niewygodnych pytań i argumentów.

GRYP – fenomen znikania. Otóż w roku „owym” kompletnie zniknęła i proces ten przedłuża się na grypowy sezon 2021–2022, w którym wykryto jeden (słownie: jeden) przypadek grypy. Chodzi o to, że dotąd (przed COVID) te 2–4 mln grypowiczów było diagnozowanych „organoleptycznie” i nikt tam nikomu niczego do nosa nie pchał. A teraz pchają. I wychodzi COVID na testach PCR. Sprawa tego fenomenu jest opisana gdzie indziej (patrz: testy), ale COVID „zamordował” wiele innych chorób. Na przykład „spadła” (diagnozowana) zachorowalność na raka, o 25–30 proc. mniej wydano tzw. kart DİLO, co nie znaczy, że ludzie z powodu COVID chorują mniej onkologicznie, tylko że brak dostępu do służby zdrowia (patrz: teleporady) powoduje niediagnozowanie wielu chorób, które, odłożone, wracają jako tzw. dług

czego leczy się respiratorem, który daje 10–20 proc. przeżywalności.

DAWKA – przedmiot sporów. Chodzi o dawki szczepienne, których najpierw miało być góra dwie na całe życie, potem już trzy i cztery (w Holandii skokowo wspominają już o szóstej), i dozowane chyba co pół roku najmniej, żeby białka kolcowe generowane przez szczepionki „zaskoczyły” (chyba optymistów). Mamy cały ranking, który spowodował dyskusję, czym różni się dawka uzupełniająca od przypominającej. Nie mogą sobie tego przypomnieć najtęższe głowy. Liczba dawek reguluje kwestie społeczne

(patrz: paszport), gdyż od ich (aktualnej) ważności, opartej na kolejnych dawkach, zależy twój los: od pracy, przez zakupy, aż do robienia interesów (i będzie zależeć coraz bardziej) wedle tego, ile masz za sobą dawek.

EPIDEMIA – przedmiot sporów definicyjnych. Dziś po początkowych sporach lingwistyczno-prawnych mówimy już o pandemii. W obiegu publicznym pandemia to było masowe umieranie, trupy na ulicach i ściąganie bosakami ludzi do rowów z wapnem. Tyle język. W kwestiach prawnych zdecydowała międzynarodowa organizacja zawiadu-

■ zdrowotny w postaci wysypu ostrych stanów i wzrostu liczby zgonów (patrz: zgony).

HOSPITALIZACJA – znak upadku służby zdrowia. W covidowym roku 2020 służba zdrowia wykonała ok. jednej trzeciej hospitalizacji mniej, czyli ok. 2 mln przyjęć. Nie było to spowodowane zatkanie się szpitali z powodu fali chorych na COVID (w niektórych miesiącach początku pandemii za jedno covidowe łóżko „płaciło się” likwidacją... 200 standardowych), tylko zamykaniem szpitali, które czekały na chorych na COVID, i wywalaniem, a zwłaszcza nieprzyjmowaniem chorych na inne choroby do szpitala (patrz: jednoimienne). Szokuje obecna „strategia” obsługi strumienia hospitalizacji. Ewidentnie chorych na choroby istotne najpierw się testuje (ze szczególnym uwzględnieniem niezaszczepionych, by wykazać ich „chorowitość” i „zatykalność” szpitali), potem pozytywnych chorych na konkretne choroby wymagające specjalistycznej interwencji kieruje się na oddziały covidowe, bez kontaktu ze specjalistą, gdzie ich covidowe losy zazwyczaj rozstrzygają się tragicznie, skąd bierze się nasz numer jeden w nadmiarowych zgonach (patrz: zgony) na świecie.

IWERMEKTyna – (patrz: absurd, mówiłem...). Przykład wielu z lekarstw, które miały mieć dobroczynny wpływ na leczenie koronawirusa. Sekowanie w mediach i w praktykach medycznych procedur, z wyjątkiem remdesiviru, który miał żenująco słabe wyniki, nawet kwestionowane przez WHO. Okazuje się, że z pominięciem Big Pharmacy nie wolno leczyć chorych, chyba że szczepionkami, w ostateczności respiratorem. Iwermektyna czy amantadyna miały kilka „wad” w praktyce covidowej: były lekami istniejącymi, w których odkryto dobroczynne skutki (nie wymagały więc badań), i były... tanie. Miały więc wszelkie wady. Leki istniejące na rynku od kilkudziesięciu lat zablokowano długimi procedurami sprawdzającymi, szczepionki zaś weszły do powszechnego użycia nieprzebadane i jeszcze w fazie nieukończonych badań klinicznych. Na lekarzy leczących (patrz: choroba) tymi specyfikami przypuszczono miażdżące ataki ze strony mediów i organizacji lekarskich.

JEDNOIMIENNE SZPITALA – akcja zamieniania sieci specjalistycznych szpitali w jednoimienne, covidowe, zapoczątkowana w październiku 2020 r. Miało to być przygotowanie na napływ covidowych pacien-

Media to główny dystrybutor paniki i straszenia społeczeństw. Rozsądnik hiobowych wieści z całego świata

tów, które skutkowało zamianą szpitali na covidowe, wywalaniem pacjentów z oddziałów specjalistycznych, przerywaniem procedur oraz nieprzyjmowaniem na zaplanowane operacje. Ujednolicienie szpitalnictwa było główną przyczyną gwałtownego wzrostu niecovidowych ponadnormatywnych zgonów, których naliczono do tej pory ponad 140 tys. Są to ofiary nie COVID, tylko administracyjnych decyzji. Ten proceder stoi u podstaw długu zdrowotnego, którego rozmiarów wciąż nie znamy, a który nas na pewno jeszcze zaskoczy, bo będzie do nas wracał do spłacenia nie jako COVID, ale wszelkie inne choroby i schorzenia.

KORONAWIRUS – bohater. Jeden z wielu typów wirusów wywołujących zakażenie dolnych dróg oddechowych. Znany od wielu lat, odkryty na nowo z powodu dziwnych objawów w chińskim Wuhan i możliwy do „wykrycia” dzięki testom PCR (patrz: testy). Sprawca wszystkiego – pandemii, nadreakcji władz, kwarantann, lockdownów, czyli działań rządów, by zrobić „coś”. Na początku, choć o tym zapomniano, uznany za szybko rozprzestrzeniający się i słabo śmiertelny. Dziwny, bo raz sezonowy, a raz niesezonowy, w zależności od krajów. Mutujący, jak każdy wirus, w kolejne warianty pochodzące z różnych miejsc na świecie. Ostatnio atakujący szczególnie zaszczepionych, co stanowi kolejny asumpt do absurdu, bo wiele władz uważa, że skoro szczepionki na niego nie działają, to trzeba... jeszcze częściej się szczepić. Wirus do tej pory nie został wyodrębniony, na grafikach zaś jest pokazywany jako kuleczka wypełniona albo zabawnymi przyssawkami, albo groźnymi kolcami.

LOCKDOWN – podstawowa forma walki z COVID. Nie bardzo wiadomo dlaczego, skoro od dawna wiadomo, że ta strategia nie działa. Miała ona hamować transmisję wirusa poprzez ograniczanie kontaktu społecznego, żeby ludzie nie mieli powodu wychodzić z domu i nie zakażali się w miejscach spotkań, szczególnie w branżach z dużym kontaktem osobistym.

A więc – głównie usługi. I te, matecznik przedsiębiorczości niekorporacyjnej oraz klasy średniej, straciły najbardziej. Obecnie lockdown jest niemodny, nie mówi się o nim, skoro od niego się odeszło, bo wiadomo, że nie działa. Obecnie mamy do czynienia z lockdownem pełzającym, to znaczy nieogłaszanym. U podstaw tej formy lockdownu stoi testowa loteria kwarantannowa oraz wysyłanie całych żłobków, przedszkoli klas i szkół do domu, co automatycznie wywała z pracy rodziców co młodszych dzieciaków.

MASECZKI – widomy znak pandemii. Element trójliterowej strategii (też nie działającej) DDM – Dystans, Dezynfekcja, Maseczki. Przedmiot odwiecznych sporów obu plemion – koronaentuzjastów i koronarealistów. Ci ostatni zgromadzili już furi dowodów z badań, że maseczki nie działają, na co koronaentuzjaści odpowiedzieli, może nie taką samą ilością czy jakością badań odwrotnych, ale na pewno medialnie ukutym przekonaniem, że maskować się trzeba. W różnych krajach za to różnie. Gdzieś tam, okresowo również u nas, włącznie z maseczkowaniem na świeżym powietrzu i – ostatnio w Austrii – noszeniem maseczek w mieszkaniu. W obliczu braku efektów epidemiologicznych maseczki stały się (jedynym?) objawem, że epidemia wciąż wśród nas grasuje, społecznie zaś stały się też widowym znakiem oddzielającym oba plemiona różniące się podejściem do pandemii. Maseczki są również znakiem zwycięstwa covidowej hipokryzji, to znaczy przestrzeganiem rytuału noszenia dla samego noszenia, bez żadnych logicznych podstaw. Mamy więc tębaczyć z maseczkami wyciętymi na otwór do wydychania oraz zabawę w zdejmię – załóż, np. jeśli idziesz pustym korytarzem w biurze, to załóż, a w pokoju spotkań z 10 ludźmi zdejmij. Tresura?

MEDIA – główny aktor, nie COVID. Główny dystrybutor paniki i straszenia społeczeństw. Rozsądnik hiobowych wieści z całego świata o hinduskich stosach trupów na ulicy i konwojach śmierci z Pampeluny. Codziennie otwierają swoje serwisy (ponad 600 dni bez przerwy) od kadrów z umierającymi pod respiratorami, strzelającymi do góry wykresami ofiar i Kasandrami przebranymi za ekspertów. Tym sposobem główny winowajca zbyt późnego zgłaszania się chorych do szpitala, bo dla nich to, dowiedziony medialnie, kurs w jedną stronę. Takie postawy są później... wyśmiewane

przez media, choć to one same takie zachowania prokurują. Media są ewidentnie przekupywane dla szerzenia swojej narracji – wystarczy popatrzeć na ich przychody oraz na wydatki rządowych agend promujących pożądane pandemiczne zachowania, zwłaszcza akcje szczepienne. Wylęgarnia wszechobecnej sanitarnej cenzury, gdy nie można powiedzieć złego słowa na rzeczy ewidentne albo przytoczyć faktów i badań, jeśli te są sprzeczne z wykupionym abonamentem na jedyną prawdę. COVID pokazał kompletny upadek mediów, dowcipnie zwanych społecznościowymi, które miały być własnością globalnej wioski pojedynczych ludzi, stały się zaś narzędziem najgorszej cenzury przewyższającej swą bezwzględnością opartą na technologii najśmielsze marzenia zamordystycznych dyktatur.

NOP-Y – Niepożądane Odczyny Po-szczepienne. Dowód na ściemę szczepionkową. Występują zawsze, ale teraz – zniknęły. Głównie dlatego, że psułyby narrację o bezwzględnej dobroci preparatu szczepiennego. I tu nadgorliwość gubi ściemniacza. No bo one zawsze istniały, a tu – i to wyjątkowo w Polsce – nie. Mamy więc dwa wyjścia – albo system ich liczenia i zbierania jest jakiś ułomny, albo jesteśmy genetycznie z innej, lepszej gliny niż te zgniłki z Zachodu. Innego wyjścia nie ma. Na przykład w USA naliczono ich oficjalnie już z milion, badania zaś stwierdzają, że to góra 5–10 proc. rzeczywistych NOP-ów. A u nas spokojnie. I przy takiej postawie czynników oficjalnych czemu się dziwić, że Internet jest zalany doniesieniami o nagłych śmierciach dotąd (przed zaszczepieniem) zdrowych ludzi. Jeśli nie ma oficjalnych mechanizmów porządnego zbierających takie dane, to nie dziwota, że lud robi, co może.

ODPORNOŚĆ – o to toczy się gra. Wiadomo, że jest to jedyne „lekarstwo” na COVID, tak jak na każdy z wirusów. Organizm musi zadziałać ze swoim systemem immunologicznym i wszelkie terapie mają mu tylko w tym pomóc. Istnieje coraz rzetelniej dowodzona teoria, że my poprzez nasz system reakcji na koronawirusa doprowadziliśmy do masowej utraty odporności, a więc zaczopowaliśmy jedyny mechanizm obronny przed COVID, teraz tylko mierzymy się z efektami tego procederu. Czyli łapiemy spadające talerze ze stołu, któremu ciągle przycinamy nogi. Wszelkie masowe działania niefarmakologiczne sprowadzały się de

facto do masowego demontażu systemu immunologicznego. Kwarantanny i lockdowny poprzez wywołanie organizmu brakiem kontaktu z jakimkolwiek patogenem „rozleniwiły” nasz system odpornościowy i wszelkie chorobiska, nie tylko COVID, przechodzimy gorzej niż zwykle. Stres wywołany medialnym straszaniem (patrz: media) publiczności prowadzi także do obniżenia odporności. Do tego dochodzi późne diagnozowanie groźnych stanów (patrz: teleporady) i kłopot gotowy. Apogeeum tego odjazdu (znowu patrz: absurd) był zakaz wstępu do lasów. Ludzie nie mogli sobie nawet pospacerować na świeżym powietrzu. Ostatnio w ramach odporności pojawił się nowy wątek. Choć coraz częściej dowodzony naukowo, to tym bardziej nielegalny. Okazuje się, że szczepionki szybko obniżają nie tylko wywołany swoim działaniem poziom przeciwciał, lecz także psują naturalny system odpornościowy, obniżając jego wydolność poniżej tej sprzed zaszczepienia. Tym tłumaczy się nagły wysyp covidowych zakażeń i innych chorób w krajach zaszczepionych na poziomie 90 proc.

PASZPORT – szczególnie covidowy. Pożądany dziś bardziej niż ten standardowy. Obecnie mamy odejście od paszportu covidowego do paszportu szczepiennego. To oznacza, że jeśli jesteś ozdrowieńcem i masz tysiąc razy więcej przeciwciał niż zaszczepiony, jeśli zrobiłeś 10 minut temu test, który wykazał, że nic ci nie jest – nic to. Liczy się tylko zaświadczenie o (w aktualnie pożądanej liczbie) zaszczepieniu. Może ci się łać z nosa, możesz kaszleć, mieć 40 st. C na termometrze, prychać i się przewracać – jeśli masz paszport, to wsiądziesz do samolotu, w niektórych krajach wejdiesz do sklepu, restauracji, weźmiesz prysznic na stacji, kupisz kabel do elektryki. Wedle niektórych (patrz: foliarze) dowodzi to tego, że tu dawno nie chodzi o epidemię i jakieś transmisje (dowody, że szczepionki zapobiegają transmisji, spadają równie szybko co przeciwciała po zaszczepieniu), tylko sam akt sanitarystycznej segregacji i zmuszanie ludzi do bezsensownej (a więc najbardziej trwałej) podległości. Paszport ma być znakiem (patrz: bestii znak), że należysz do pewnego grona, które jest uprzywilejowane bezsensownym aktem do korzystania z (resztek) normalności. Niezaszczepieni mają przebywać w klatce ostracyzmu, i to nie tylko (bez)prawnego, lecz także społecznego,

bo ci z paszportami nie dość, że korzystają z dobrodziejstw „nowej normalności”, to są jeszcze szczuci na tych niezaszczepionych, że ci są winni, że ta „normalność” nie jest taka, jak sobie wymarzyli.

RADA, NAJCHĘTNIEJ NAUKOWA – ta przy premierze. Właściwie to superrząd. Niekonstytucyjne ciało decydujące o byciu lub niebyciu całych branż, grup społecznych, rodzajów pacjentów, szkolnictwie, handlu, religii, no wszystkim. Wystawiona na szpicy komunikacyjnej przez rząd, który stara się ukryć w cieniu sanitarystycznych celebrytów. Grono kompletnie na pasku wielkich firm farmaceutycznych, o czym się pisało i mówiło – i nic. Rada czasami podostrzała narrację rządu i go przelicytowywała w pandemicznym radykalizmie. Ciało formalnie nieweryfikowalne i nieodpowiedzialne, a więc w tej sprawie trzeba pamiętać o regresie odpowiedzialności w stosunku do je wynajmującego, czyli premiera. Nie do rozliczenia, gdyż nie wiadomo, co kto tam proponował i decydował, gdyż jej narady, decydujące o losie całego kraju, nie są protokolowane. Nie to, co zebrania zarządu jakieś spółdzielni mleczarskiej. Te protokolowane być muszą. W końcu – to wylęgarnia medialnych sław epidemiologicznych, z ciągiem na szkło motywowanym coraz ostrzejszą retoryką (patrz: ultrasi). Rada ma to do siebie, że ustępuje, kiedy się okazuje, że jednak superrządem nie jest. Co oznacza, że ambicje miała większe niż doradzanie, którego premier do końca nie chciał słuchać.

SANITARYZM – pogląd na świat oraz sposób selekcji społecznej ze względu na stan sanitarny osoby lub grupy osób. Kiedyś fantasmagoria powieści fantastycznonaukowej, dziś realna strategia społeczna. Pierwszym objawem powszechności tego zjawiska jest publiczne pytanie, czy ktoś jest zaszczepiony. Jest to takie samo pytanie, jakby spytać, kiedy ostatni raz miałeś biegunkę czy kolonoskopię. Dziś to uchodzi – odkąd stan twojego zdrowia, terapie, którym się poddajesz lub nie, stały się sprawą publiczną (gdzież to RODO, ach gdzież?). Sanitaryzm jest głównie wprowadzany za sprawą narzędzi selekcyjnych (patrz: paszporty) i ma coraz mniejsze znaczenie epidemiologiczne, skoro paszporty świadczą o przyjęciu szczepionki, która nie zapobiega transmisji wirusa.

SZWEJCA – kraj, który nie istnieje. Władze tego państwa poważiły się bowiem na inną, niepaniczną strategię wobec

COVID. A że wyniki mają prowokująco lepsze, więc nie patrzymy w tamtą stronę. Szwedzi postąpili racjonalnie, wyciągając wnioski z wiedzy o COVID, i to na bardzo wstępnym etapie. Wiadomo było wszystkim, że koronawirus jest łatwo zakaźny, ale mało śmiertelny (śmiertelność wzrosła gwałtownie, gdy się za niego wzięliśmy, patrz: odporność). I postanowiono tam, że: i tak wszyscy zachorują, a jedyną bronią jest budowanie odporności, więc chronimy tych z nią osłabioną, a reszta do roboty i na powietrze. Jeśli ktoś się zakazi, to COVID przejdzie, i się uodporni, a ostre stany – do szpitali. Żadnych lockdownów, kwarantann, szpitali jednoimiennych. I Szwecja wyszła w zgonach i zakażeniach lepiej niż „kraje walczące”, za to z gospodarką nietkniętą totalnymi zamknięciami. A więc ciszej nad tą (naszą?) trumną.

TELEPORADY – główna, obok szpitalnego triażu [procedura segregacji ludzi do ratowania m.in. pod względem rokowania – przyp. red.] (patrz: hospitalizacja), przyczyna lawiny zgonów. Wsparta strategią „późnego leczenia” doprowadza pacjentów w domowych kwarantannach do stanów nieodwracalnych, w których następujący po tym pobyt w szpitalu to tylko środki zachowawcze w nadziei, że układ odpornościowy zaskoczy. Teleporady produkują przenoszonych pacjentów, krytycznych w obecnej pandemii, głównie ze niezdiagnozowanymi chorobami dolnych dróg oddechowych. Nieosłuchani pacjenci umierają na zapalenia płuc i inne choroby przewlekłe, a jeśli mają „przy okazji” COVID, to zalicza się ich do ofiar śmiertelności wirusa. Teleporady są zaprzeczeniem misji lekarzy, którzy mają diagnozować i leczyć pacjentów, a nie ukrywać się przed nimi. Zwłaszcza nic tu nie tłumaczy medyków, którzy są podobno skutecznie zaszczepieni. Ta okrutna praktyka została dopuszczona przez administrację medyczną i sanepidową na początku pandemii i jest dowolnie stosowana do dziś mimo znanych efektów i przeciwskażeń.

TESTY – rzeczywista przyczyna zła wszelkiego. Źródło wszelkich „fal”, zależnych nie od liczby zakażeń, ale od liczby przeprowadzonych testów. Metodologia testów i jej skuteczność kwestionowane są nawet przez twórcę technologii PCR. Ale nic to – testujemy na potęgę, a wyniki tego procedury nagłaśnia tuba medialna. Aby zbadać, jak jest naprawdę, trzeba by zrobić testy przesiewowe, i to nie tylko PCR, lecz także uzupełnione klinicznymi i objawowymi diagnozami. To by nam dało

Teleporady to, obok szpitalnego triażu, główna przyczyna lawiny zgonów. Nieosłuchani pacjenci umierają na zapalenie płuc

obraz niepoprawny wedle poprawności covidowej – że już większość z nas to przeszła, nabrała odporności, trzeba więc skończyć z tymi lockdownami, kwarantannami i... covidowymi dodatkami dla służby zdrowia. A więc się tego nie robi. Od początku trwa dyskusja o tym, że testy są przeczułe, że zwiększanie liczby sekwencji badania powoduje w końcu zawsze wynik (wtedy fałszywie) pozytywny. W końcu, że testy PCR nie rozróżniają COVID od grypy, co wyjaśnia fenomen ich „zniknięcia” (patrz: grypa). Dyskusja ta skończyła się na przełomie roku, kiedy CDC (taki amerykański sanepid) wstrzymała testowanie PCR jako miarodajny sposób wykrywania COVID, właśnie z powodu nierozróżniania przez test zakażeń grypą od tych covidowych. Ale to wcale nie przeszkadza innym krajom robić sobie z takich wyników słupków statystyk, wprowadzać obostrzeń i restrykcji.

ULTRAS – sekta covidowa, antypody foliarzy. Główni przedstawiciele to zasiadający w Radzie (patrz: Rada) lekarze, tacy jak prof. Horban czy minister Niedzielski lub prof. Simon. To dostarczyciele „naukowych” dowodów, z którymi nie można dyskutować (patrz: media). Za nimi idzie cała grupka paputczyków. Jedni to płatni emisariusze szczepionkowej nowiny, czyli dziennikarze (tu w porozumieniu ponad podziałami), gros zaś stanowią ultrasi masowi. Ci, nagrani, złowieszczą piosenką o zmiennej melodii, acz stałym refrenie. Melodia jest zmienna i ultrasi muszą być uodpornieni na to, że przekaz jest często w miarę wykonywania pieśni zmienny albo nawet sprzeczny. Najlepiej ćwiczyli to na szczepionkach, które miały w 95 proc. chronić przed zakażeniem, potem w 80 proc. przed ciężkim przebiegiem choroby, potem w 65 proc. przed pójściem do szpitala, potem w 50 proc. przed stanem ostrym i respiratorem, potem w 40 proc. przed śmiercią. Następnie doszła jeszcze permutacja związana z liczbą dawek razy liczba mutacji i tylko wiara (patrz: COVID-Zero) może uchronić przed popadnięciem w wątpliwość, czy to ma jakąś logikę. Te dylematy ultrasów są

zagłuszane w sumieniu poprzez zakrzywienie nielogiczności w ataku na niezaszczepionych (patrz: foliarze), których obwinia się o całe zło świata, głównie zaś o to, że szczepionki... nie działają.

WYPŁASZCZANIE, GŁÓWNI KRZYWEJ – polska strategia covidowa, źródło większości „wynalazków” polskiego COVID. Uznano na początku pandemii, na podstawie symulacji matematyka Fergusona (miało nas umrzeć w Polsce do tej pory 2–3 mln ludzi), że wirus pójdzie jak ogień po słomie i fala chorych na COVID zaleje służbę zdrowia i system się rozpęknie. Zakładając pewnik, dziś zapomniany (patrz: COVID-Zero), że wszyscy się i tak zakażą, wyszło na to, że trudno, tyle że trzeba zrobić tak, by zakażali się nie wszyscy naraz, tylko po kolei, tak by mogła ich opatrzyć służba zdrowia w ramach swoich możliwości. Stąd postanowiono spłaszczyć krzywą zakażeń. A więc lockdown, kwarantanny (kilka jako „ostatni raz”), dystancing, dezynfekcja, maseczki. I triaż w szpitalnictwie. I strach, by się ludzie sami pilnowali. W efekcie fala była, ale po domach i... służba zdrowia się wyrobiła (mimo dramatycznych kadrów), tyle że ludzie schodzili w mieszkaniach (ponad 70 tys. więcej), a nie na szpitalnych łózkach. I niekoniecznie na COVID. Patrzyliśmy na krzywą zakażeń i straszając nas krzywą zgonów. Z COVID (do której wrzucano, co leci, nawet ofiary wypadków samochodowych). A z boku rosła (pokazywana tylko na niszowych portalikach) krzywa zgonów ponadnormatywnych (patrz: zgony). Taki to jest bilans „wypłaszczania krzywej”.

ZGONY PONADNORMATYWNE – rzeczywisty bilans COVID. Ponad 140 tys. zgonów, których mogło nie być, gdybyśmy nie przyjęli polskiej strategii (patrz: wypłaszczanie). Przez oficjalną propagandę nazywane „cichymi ofiarami COVID”. Tak, to ciche ofiary, bo nikt o nich nie mówi, za to te przeszacowane 100 tys. zgonów z COVID (gros to osoby w wieku 75+ z wieloma śmiertelnymi chorobami współistniejącymi) są nagłaśniane i mielone codziennie. Ostatnio minister Niedzielski wskazał, że powód takiej hekatombi leży po stronie Polaków, którzy za dużo piją i palą oraz odżywiają się niezdrowo. To wyjątkowa beczelność – należy rozumieć, że Polacy zaczęli masowo palić i pić na umór szczególnie w okresie od połowy listopada do połowy października 2020 r., kiedy zmarło w 30 dni 40 tys. ludzi więcej niż normalnie. Z czego tylko 3–5 proc. na COVID. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Reforma planowania przestrzennego – dobry kierunek, ale...



Urszula Hofman



Przemysław Dziąg

31 grudnia 2021 r. Ministerstwo Rozwoju i Technologii przedłożyło do prekonsultacji publicznych projekt reformy w obszarze planowania przestrzennego. Jak wskazano w uzasadnieniu, regulacje, wielokrotnie już nowelizowanej, ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym coraz bardziej rozbiegają się ze stale zmieniającym się rozwojem planowania przestrzennego, które podlega nieustannym przeobrażeniom, głównie wynikającym ze zmian społecznych, demograficznych, a także z rozwoju technologicznego. Ogólnie jednak chodzi o to, że projekt ma uprościć i przyspieszyć procedury planistyczne, ponieważ obecne tempo i poziom przyrostów miejscowych palnów zagospodarowania przestrzennego jest krytycznie niskie.

Co roku, jako PZFD, tworzony jest tzw. Ranking Miast – czyli raport, na podstawie którego określamy m.in., jaki jest stopień i przyrost pokrywania miast miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego. W roku 2020 r. średnie pokrycie planami miast wojewódzkich wynosiło 44,36 proc., co było wzrostem tylko o 1 proc. względem roku 2019 r. W skali kraju pokrycie planami miejscowymi wynosi ok. jednej trzeciej. Oznacza to, że od reformy planistycznej z 2003 r., tj. przez prawie dwie dekady, nie udało się nawet w połowie pokryć Polski miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego.

W praktyce brak objęcia danego terenu planem miejscowym wydłuża procedurę inwestycyjną o co najmniej jeden rok. Kolejnym problemem jest to, że organy administracji, wydając warunki zabudowy, nawiązują do istniejących sąsiednich

obiektów. Takie podejście całkowicie uniemożliwia realizację jakiegokolwiek wizji urbanistycznej miasta. Poza tym decyzje często oprotestowywane są przez sąsiadów, co z kolei przedłuża procedury o kolejne nawet lata. Czekamy na reformę ustawy o planowaniu przestrzennym, jednakże też obserwujemy ten proces z konstruktywną krytyką – mówi Urszula Hofman z Grupy Inwest.

Niesławne decyzje o warunkach zabudowy stały się narzędziem planowania przestrzennego, które odpowiada za przeszło 50 proc. inwestycji. Reforma ma to zmienić – pytanie jednak, czy będzie to możliwe i jakie przyniesie skutki.

Projekt zakłada przede wszystkim wprowadzenie tzw. planu ogólnego gminy, zastępującego dotychczasowe studia uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy jako obligatoryjnego dokumentu planistycznego o zasięgu całej gminy.

To z nim będzie badana zgodność planów miejscowych, a także decyzji o warunkach zabudowy. Ma być dokumentem o lapidarnej formie, zawierającym niewielką liczbę ustaleń, co ma umożliwić ich standaryzację w skali kraju. Ma być zrozumiałą i czytelną, tak by każdy mógł łatwo poznać informacje na temat możliwości zagospodarowania określonej nieruchomości.

W planie ogólnym będzie można wyznaczyć granice tzw. obszarów uzupełniania zabudowy – czyli jedynych terenów, dla których będzie można wydawać decyzje o warunkach zabudowy. Będą one wyznaczane przez gminę według ściśle określonego wzoru, niestety niejako automatycznie. Zaproponowane kryteria

wyznaczania tych obszarów są niestety niezwykle sztywne i mogą w praktyce dawać rezultaty sprzeczne z intencją projektodawcy, jak również intencją gminy, mieszkańców czy inwestorów. Formalistyczne sparametryzowanie zasad wytyczania obszarów uzupełniania zabudowy nie pozwoli gminom dostosować i rozwijać zabudowy tam, gdzie gmina by chciała to zrobić, inaczej, niż zakłada określony wzór. To ograniczy swobodę planistyczną.

Jak wskazuje projekt, od 1 stycznia 2026 r. tylko na podstawie planu ogólnego będzie można wydawać decyzje o warunkach zabudowy. Oznacza to, że jeśli gmina nie uchwali planu ogólnego do końca 2025 r., to żadna decyzja o warunkach zabudowy nie będzie mogła zostać wydana. Jeśli więc zostaną wyeliminowane „stare” decyzje o warunkach zabudowy, a rozwiązania prawne dla „nowych” staną się barierą w ich stosowaniu, to niestety mocno odbije się to na realizacji celów polityki mieszkaniowej, która zakłada, zgodnie z celami Narodowego Programu Mieszkaniowego, przyrost wskaźnika liczby mieszkańców na 1 tys. osób z obecnych 392 do 435 w 2030 r.

Choć pomysł reformy planistycznej należy oceniać pozytywnie, to mimo tego należy pamiętać, że wprowadzane instrumenty planistyczne muszą przede wszystkim pozwalać na utrzymanie poziomu produkcji mieszkaniowej. Jeśli bezrefleksyjnie odejdziemy od narzędzi, które odpowiadają za ponad połowę inwestycji w kraju, to niestety rynek mieszkaniowy bardzo mocno, a zarazem bardzo negatywnie to odczuje.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.





Łukasz Warzecha

W działaniach wielu rządów na świecie nie ma już logiki. Dlaczego? Ponieważ istnieją interesariusze, którzy zainwestowali w epidemię tak wiele, że łatwo nie pozwolą jej zakończyć

Australii udało się – po długiej sądowej batalii – wyrzucić Novaka Djokovicia. Federalny minister ds. imigracji, obywatelstwa, służb migracyjnych i spraw multikulturowych Alex Hawke skasował wizę serbskiego tenisisty, korzystając z prerogatyw, które daje mu kodeks imigracyjny z 1958 r. Nie ukrywał, że Djoković nie stwarzał żadnego zagrożenia zdrowotnego. Był natomiast niebezpieczny dla ideologii sanitarystycznej, którą Australia wdraża jak religię państwową. Jak przed sądem wyraziła się prawniczka australijskiego rządu – pod wpływem Djokovicia ludzie mogliby pomyśleć, że powinni mieć jakiś wybór (sylwetka serbskiego tenisisty na stronie 76).

Warto przypomnieć, że prowadząca ekstremalnie restrykcyjną politykę covidową Australia, gdzie w pełni zaszczepionych jest 78 proc. obywateli, notuje nie tylko rekordowe wzrosty zakażeń (ponad 4,1 tys. na milion mieszkańców), lecz także zgonów (43 na milion – najwyższy poziom od początku pandemii).

Francja idzie w ślady Austrii. Parlament zaakceptował ustawodawstwo w sprawie przepustki szczepionkowej, która będzie jedynym dokumentem uprawniającym do korzystania z pełni praw dla wszystkich Francuzów powyżej 16. roku życia. Aby utrzymać ważność przepustki, konieczne będzie szczepienie dodatkowe po czterech miesiącach. System wygląda na permanentny.

Na drugim biegunie ustawia się Wielka Brytania (ok. 70 proc. w pełni zaszczepionych). Boris Johnson zapowiedział, że od 27 stycznia zniesiony zostaje obowiązek pracy z domu, przepustki covidowe nie będą potrzebne, żeby wchodzić do kina czy restauracji, a nawet nie będą już wymagane maseczki w miejscach publicznych. Wielka Brytania notuje również rekordowy wysyp przypadków COVID

Covidowy zawrót głowy

(ponad 1440 na milion), ale te liczby od niedawna spadają. Zgonów jest natomiast wciąż dużo – 262 na milion, choć jest to wyraźnie mniej niż na przełomie lat 2020 i 2021.

W Izraelu zaczynają wśród lekarzy pracujących dla rządu pojawiać się głosy, że certyfikaty covidowe są bez sensu, skoro zaszczepieni i tak zarażają, a w dodatku szczepionka nijak nie hamuje rozprzestrzeniania się wariantu Omikron. Rząd rozważa ich zniesienie.

Polska na tej skali wydaje się niestety zmierzać w kierunku irracjonalnych restrykcji. Dymisja Rady Medycznej, z której pożytek był praktycznie żaden, a której członkowie podsycali jedynie strach, wywołała histerię w mediach. Mimo druzgocących opinii, także prawnych, ustawa firmowana przez Czesława Hoca ma znaleźć się na najbliższym posiedzeniu Sejmu. Dzieje się to w momencie, gdy przyjmowane obecnie regulacje nijak nie przysłużą się ograniczeniu epidemii choćby ze względu na etap, na którym się pojawiają, za to zwiększą społeczne napięcia i ograniczą prawa obywatelskie. Zdecydowana większość głosów, od ekspertów (choć nie polskich covidocelbrytów) do postaci takich jak Bill Gates, przewiduje, że to ostatnia fala pandemii w takiej postaci. Wiadomo już zresztą, że Omikron jest o wiele mniej zjadliwy

niż poprzednie warianty. Trudno zatem racjonalnie wytłumaczyć sobie parcie PiS do przeforsowania ustawy, której przeciwna jest również spora część jego elektoratu.

SKĄD TE RESTRYKCJE

Dziś możemy powiedzieć z całą pewnością dwie rzeczy. Po pierwsze – kłamstwem było hasło o szczepionkach będących drogą do normalności. W niektórych krajach o najwyższym poziomie zaszczepienia nie tylko oznak normalności nie widać, lecz także wracają twarde restrykcje i lockdowny. W innych z restrykcji się rezygnuje. Nie ma tu żadnej zależności.

Po drugie – w działaniach wielu rządów na świecie nie ma już nawet pozorów logiki. Wobec wiedzy o tym, że zaszczepieni również transmitują wirusa (jakkolwiek – na co mogą wskazywać niektóre badania – przez nieco krótszy czas), a szczepionka może zabezpieczać jedynie przed cięższym przebiegiem choroby, nakładane w kolejnych państwach restrykcje na niezaszczepionych nie mają żadnego sensu. O tym właśnie zaczęto mówić w Izraelu. Wygląda to tak, jakby popierający tego typu rozwiązania uchwycili się magicznego przekonania, że skoro szczepionki pandemii jednak nie zakończyły, to trzeba na gwałt znaleźć winnych tej sytuacji, a są

nimi niezaszczepieni. Jako buntowników, anarchistów i wichrzycieli należy ich przeto obłożyć ostracyzmem oraz restrykcjami. Jednym słowem – wykląć.

Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ istnieją interesariusze, którzy zainwestowali w epidemię tak wiele, że łatwo nie pozwolą jej zakończyć. Nie chodzi, rzecz jasna, jedynie o inwestycje finansowe, które poczyniły przede wszystkim firmy farmaceutyczne, lecz także o inwestycje polityczne czy wizerunkowe.

W restrykcyjną drogę walki z epidemią wiele zainwestowali politycy. Odejście od tej linii oznaczałoby przyznanie się do błędu, a to z kolei pozwoliłoby zacząć stawiać pytania o sens podejmowanych wcześniej działań. To m.in. przypadek Emmanuela Macrona. Poza tym trwanie w epidemicznym reżimie bardzo ułatwia utrzymanie społecznej kontroli za sprawą nadzwyczajnych rozwiązań prawnych i technologicznych, z paszportem covidowym na czele. Instrument, który miał być tymczasowym rozwiązaniem, wygląda na coraz trwalszy. Jest też czynnik strachu: jeśli wystarczająco duża część obywateli żyje w nieustającej obawie o swoje życie, to nietrudno ich przekonać, że tylko aktualnie sprawujący władzę zapewnią im bezpieczeństwo.

W wielu krajach pojawił się polityczny podział, zbudowany wokół walki z epidemią. W Polsce wygląda dość nietypowo, bo poza Konfederacją i odłamek Zjednoczonej Prawicy reszta sił politycznych, z PiS włącznie, ściga się w sanitarystycznej retoryce. Aczkolwiek rozwiązania wdrażane przez rząd są tak dramatycznie dziurawe, że można zadać sobie pytanie, na ile władza faktycznie chce coś robić, a na ile jedynie udaje. Ustawa Hoca jest modelowym przykładem patologizacji, a jej skutki w praktyce mogą być równie fatalne jak Polskiego Ładu. Wystarczy wskazać, że na jej podstawie możliwe jest, że rząd zakręci kurek z finansowanymi z budżetu testami dla pracowników, a ci będą się domagali testów bezpłatnych od pracodawców, którzy będą zobowiązani ponosić ich koszt. Co dwa dni.

Kolejna grupa interesariuszy, którzy z pewnością covidowej narracji nie odpuszczają, to żyjące z niej media oraz niemała grupa covidowych celebrytów, w Polsce złożona głównie z lekarzy chcących uczynić z Polski jeden wielki szpital zakaźny. Niektórzy spośród tych lekarzy są niestety jednocześnie politykami, tak jak poseł PiS Bolesław Piecha, który zachwy-

cał się poczynaniami australijskiego rządu wobec Djokovicia. Piecha jest niestety jednym z typowanych na kolejnego ministra zdrowia.

Lekarze, którzy odeszli z Rady Medycznej, nie tylko na tym wizerunkowo nie stracili – przeciwnie. Niektórzy z nich mogliby właściwie zamieszkać w stacjach telewizyjnych, gdzie od rana do wieczora snują swoje ponure przewidywania. Przy czym – to charakterystyczne – nigdy nie opierają ich na jakichkolwiek analizach czy badaniach. Ich wpływ na opinię publiczną zniknąłby, gdyby epidemia się skończyła, a medialna sława działa jak narkotyk.

O KROK OD KOŃCA?

Z medycznego punktu widzenia epidemia skończy się, gdy wirus stanie się endemiczny. Zgodnie z opinią wielu ekspertów jesteśmy o krok od tego. Ale przecież choroba nie zniknie. Zawsze ktoś będzie trafiał z COVID do szpitala i umierał, nawet jeśli górę wezmą odmiany mało zjadliwe. Dlatego pytanie brzmi, jak długo trwać będzie formalny stan epidemii, nie tylko w Polsce, lecz także zgodnie z enuncjacjami WHO. System zbudowany na certyfikatach covidowych nie musi się skończyć, a sanitaryści mówią już nie tylko o czwartej dawce szczepionki, lecz także o niewiadomej ich liczbie w przyszłości. Wziąwszy pod uwagę uzależnienie możliwości korzystania z pełni praw obywatelskich od szczepienia, przyszłość rysuje się nieciekawie.

Zakończenie tego chocholego tańca jest w coraz mniejszym stopniu kwestią medyczną, a coraz bardziej sprawą decyzji politycznej – co pokazują choćby decyzje Borisa Johnsona. Niezmiennie na własnym kursie trwa Szwecja (wbrew pojawiającym się co jakiś czas informacjom Sztokholm z własnego podejścia wcale nie zrezygnował, nawet jeśli wprowadza pewne ograniczenia). Żeby jednak zaczęła się zmieniać narracja, musiałaby nastąpić spektakularna zmiana w politycznie istotnym państwie.

Impulsem do politycznej decyzji o zakończeniu epidemii może być gospodarka, tu jednak tkwi haczyk. Z punktu widzenia klasycznej wolnorynkowej ekonomii sytuacja, którą spowodował COVID, jest nie do utrzymania: nieustanne powiększanie długu, agresywna redystrybucja, zamykanie i otwieranie sektorów gospodarki wraz z kolejnymi falami epidemii. Jest to jednak zarazem stan idealny dla zwolenników „nowej ekonomii”, która uznaje, że

dotychczasowy model się zużył: zadłużać można się w nieskończoność, oczekiwania obywateli należy systematycznie obniżać, własność prywatna to przeżytek.

Polska nie wydaje się niestety autonomicznym aktorem. Rząd Mateusza Morawieckiego w swoich decyzjach dotyczących walki z epidemią całkiem wprost odwołuje się do zagranicznych wzorów – głównie do tych najgorszych, takich jak Austria czy Niemcy, choć dotąd unikał pójścia tym kursom w praktyce. Dominuje „jakośtobędzizm”, który demoluje ład prawny, naraża państwo na śmieszność, a zarazem najgorliwszym daje narzędzia do wprowadzania fatalnych praktyk segregacyjnych o wątpliwej legalności. Ponadto fikcyjność większości regulacji daje obywatelom wciąż spory luz w porównaniu z wieloma państwami Zachodu.

TRZY DROGI

Ten rok może być przełomowy, jeśli idzie o dalsze losy szeroko pojętej sanitarystycznej ideologii – o takim zjawisku można już chyba bowiem mówić. Mamy przed sobą trzy warianty rozwoju sytuacji. W pierwszym, najbardziej pesymistycznym, „nowa normalność” – nieustanne szczepienia, inwigilacja, segregacja – staje się standardem obejmującym również Polskę, a ludzie będą coraz bardziej zapominać, jak powinna wyglądać normalność bezprzymiotnikowa. W drugim, pośrednim, świat dzieli się na państwa otwarcie zamordystyczne – Australia, Austria, Niemcy – i te, które postanowiły polityczną decyzją przejść nad COVID do porządku dziennego – Wielka Brytania, Szwecja, być może inne państwa skandynawskie.

W której grupie znajdzie się Polska, nie jest dzisiaj jasne. Decyzja, aby forsować ustawę Hoca, wydaje się równie nieracjonalna jak niegdyś decyzja o forsowaniu „piątki dla zwierząt”. Wtedy z gruntu lewicowy projekt powstrzymała dopiero groźba rozpadu koalicji. Tym razem z pewnością część klubu Zjednoczonej Prawicy będzie przeciwko. Wyborcy PiS przeciwni segregacji być może zobaczą, jak za znieprawdowanym projektem rękę podnoszą zgodnie Jarosław Kaczyński, Joanna Lichocka, Bolesław Piecha z Borysem Budką, Włodzimierzem Czarzastym, Adrianem Zandbergiem i Klaudiją Jachirą. Po co to partii rządzącej potrzebne – nie wiadomo. Ale jeśli ktoś chce koniecznie popełnić polityczne samobójstwo, to trudno go powstrzymać.

Biedni Polacy

patrzą na Niemcy



Piotr Semka

Dlaczego Wielka Brytania, która jest zdecydowanie bardziej oddalona od Ukrainy, troszczy się o uzbrojenie Kijowa bardziej niż Niemcy? Polacy obserwują to z uwagą, gdyż muszą zadać sobie pytanie: Jak zareagowaliby nasi sąsiedzi w przypadku agresji Rosji na Polskę?

Wieść, że brytyjskie transportowce wybrały trasę omijającą Niemcy przy transporcie broni obronnej dla Ukrainy, wywołała w Polsce bardzo nerwowe reakcje. Na tyle nerwowe, że ambasador RFN w Polsce wydał specjalne oświadczenie. Wyjaśniał w nim, że Wielka Brytania nie występowała z prośbą o przelot przez niemiecką przestrzeń powietrzną. Ten głos został podchwycony przez publicystów występujących na rzecz harmonii polsko-niemieckiej jako dowód na przeczulenie władz w Warszawie. Ale fakt, że Brytyjczycy nie wystąpili o zgodę Niemiec, mógł oznaczać, że były ku temu głębsze powody. Ekspertka ds. międzynarodowych Beata Górka-Winter trafnie

wskazała, że Londyn mógł z góry uznać, że zgody nie będzie, a nikt nie lubi wystawiać się na podanie dyplomatycznej czarnej polewki.

O tym, że Niemcy aktywnie działają przeciw dozbrajaniu Ukrainy, wiadomo już od pewnego czasu. W grudniu 2021 r., jak donosiła niemiecka prasa, dyplomacja RFN protestowała przeciw decyzji Estonii o przekazaniu części swej broni wyprodukowanej w Niemczech. Chodziło m.in. o haubice D-30, które po likwidacji armii NRD trafiły najpierw do Finlandii, a stamtąd przekazano je Estończykom. Teraz według Berlina niemieckie armaty nie powinny trafić nad Dniepr, bo „może to zintensyfikować konflikt rosyjsko-ukraiński”. Tymczasem USA postąpiły zupełnie

Ministrowie spraw zagranicznych Rosji (Siergiej Ławrow) i Niemiec (Annalena Baerbock) podczas spotkania w Moskwie

FOT. ALEXEI MAISHEV/TASS/GETTY IMAGES

pozycja w kwestii dostarczania broni do krajów, w których może to spowodować eskalację [konfliktu – przyp. P.S.], jest powszechnie znana i ma swoje przyczyny w doświadczeniach historycznych”.

NIEMIECKA ULEGŁOŚĆ

Ten argument zdumiał nawet część postronnych publicystów. Anders Öttlund – szwedzki analityk z Centrum Analiz Polityki Europejskiej – skomentował słowa Baerbock, nazywając je kandydatem do tytułu najgłupszej wypowiedzi ostatniego czasu. Öttlund wskazuje, że „niemiecka historia już przyczyniła się w przeszłości do zamordowania milionów Ukraińców, a teraz jeszcze więcej ukraińskich ofiar może zginąć wskutek powoływania się na ten argument”.

Niemieccy komentatorzy dosyć kwaśno przyjęli wizytę szefowej niemieckiej dyplomacji w Moskwie. Wskazywano, że podobnie jak w wypadku niedawnych poźegnalnych wizyt Angeli Merkel utrzymana została zasada: wizyta najpierw w Kijowie, a dopiero potem w Moskwie. Jest to dla strony ukraińskiej upokarzające, gdyż sugeruje, że najpierw rozmawia się ze słabszym partnerem, a dopiero potem z głównym rozgrywającym. Tak naprawdę nie sposób zrozumieć, jaki miał być głębszy sens wizyty Baerbock w Moskwie. Szefowa niemieckiej dyplomacji nie zdobyła się nawet na wyraźną deklarację, że atak na Ukrainę oznacza koniec projektu Nord Stream 2. Owszem, wytknęła Rosjanom gromadzenie wojska na granicy z Ukrainą, wskazała, że koszty rosyjskiego ataku na sąsiada będą wysokie, ale złagodziła to bardzo ogólnikową deklaracją, że „wszystko trzeba będzie wtedy przedyskutować na nowo”.

Ukraina znajduje się obecnie w dramatycznym momencie oczekiwania na atak armii Putina i potrzebuje właśnie teraz wyraźnych deklaracji Niemiec, bo w tym momencie decyduje się polityka rosyjska i zdecydowane stanowisko Berlina może mieć dużą wagę. Tymczasem Niemcy są dopiero na etapie odchodzenia przez nowego kanclerza Olafa Scholza od absurdalnych twierdzeń, że Nord Stream 2 to jedynie inicjatywa prywatnego biznesu i nie należy jej mieszać z polityką Rosji. W trakcie spotkania w Berlinie nowego kanclerza Niemiec z szefem NATO Jensem Stoltenbergiem, Olaf Scholz był w stanie jedynie wezwać Rosję do deeskalacji konfliktu i przypomnieć, że Ukraina powinna być dalej krajem tranzytowym dla eksportu rosyjskiego gazu do Europy Zachodniej.

Zieloni uznali, że polityka wobec Rosji to domena kanclerza Scholza, i uciszyli swój sprzeciw wobec Nord Stream 2. Z kolei lider CDU Friedrich Merz wypowiedział się przeciw wykluczeniu Rosji w razie agresji na Ukrainę z systemu bankowego SWIFT.

Niemiecki dziennik „Stuttgarter Nachrichten” zdobył się na gorzką uwagę: „Rzadko kiedy polityka zagraniczna RFN wyglądała tak bezradnie. W Moskwie zaprezentowano skromną mieszankę oferty rozmów i niejasnych gróźb sankcji, jeśli Rosja będzie kontynuować stały kurs agresji wojskowej na Ukrainie. W Kijowie była skromna mieszanka ciepłych słów i odrzucenia ukraińskich życzeń dostaw niemieckiej broni. [Niemiecka] polityka zagraniczna chętnie poucza świat i rozmawia w kategoriach moralnych tak długo, jak długo nie wynika z tego poważne koszty. To odpowiada przekonaniu większości Niemców”.

I niewiele zmieniają tu takie inicjatywy jak list niemieckich ekspertów międzynarodowych, m.in. Andreasa Umlanda, wzywający Berlin do poważnego potraktowania groźby rosyjskiej agresji.

HODUJ KWIATY, NIE DRAMATY

Do bagatelizowania pytania, dlaczego transportowce RAF ominęły RFN, używany jest argument, że Ukraina nie jest członkiem NATO. Ale to tylko zabawa słowami. Dlaczego Wielka Brytania, która jest znacznie bardziej oddalona od Ukrainy, troszczy się o uzbrojenie armii spod znaku niebiesko-żółtego sztandaru bardziej niż Republika Federalna?

Polacy obserwują zachowanie Niemców z uwagą, gdyż muszą zadać sobie pytanie, jak zareagowaliby nasi sąsiedzi w razie agresji rosyjskiej na Polskę. To my mamy granicę z państwem Putina, a nie oni. I mamy już w dziejach relacji polsko-niemieckich z ostatnich lat bardzo niepokojący precedens. W styczniu 2017 r. na skutek decyzji Donalda Trumpa, ale wspartej przez kongresmenów zarówno z partii demokratycznej, jak i republikańskiej, wysłano do Polski i krajów bałtyckich spore siły US Army. Bardzo ostro zareagował wtedy premier Brandenburgii Dietmar Woidke, który pełnił też funkcję specjalnego pełnomocnika ds. polsko-niemieckich. Statki z żołnierzami USA zacumowały w niemieckim porcie Bremerhaven... i na podstawie umów niemiecko-amerykańskich w pełni legalnie

inaczej. Poinformowały Tallinn, że nie mają nic przeciw wysłaniu przez Estonię broni otrzymanej od nich na pomoc Ukrainie.

Dlaczego Wielka Brytania poczuwa się do troski o uzbrojenie armii ukraińskiej, a nieporównanie bliższa rejonowi środkowej Europy RFN demonstracyjnie odwraca się plecami do Ukrainy? 17 stycznia szefowa niemieckiej dyplomacji Annalena Baerbock w trakcie wizyty w Kijowie raz jeszcze odmownie odpowiedziała na prośby ministra spraw zagranicznych Ukrainy Dmytra Kułebę o eksport niemieckiej zaawansowanej broni dla armii ukraińskiej. Baerbock stwierdziła: „Niemieckie stanowisko o niedostarczaniu broni defensywnej na Ukrainę pozostaje niezmiennie. Nasza restrykcyjna

■ dokonali tranzytu przez teren Niemiec ku granicy z Polską, przejeżdżając przez land Brandenburgia. Nie było żadnych wątpliwości prawnych co do legalności takiego przejazdu wojsk jednego kraju NATO poprzez terytorium kolejnego, aby wzmocnić obronę krajów trzecich sojuszu, czyli Polski i republik bałtyckich.

A jednak Dietmar Woidke, polityk SPD, wyraził publicznie zaniepokojenie przejazdem przez jego land do Polski brygady US Army. „Jeżdżące po obu stronach granicy tam i z powrotem czołgi nie pomagają nam w rozwiązywaniu problemów – mówił premier Brandenburgii podczas przyjęcia noworocznego w Izbie Rzemieślniczej w Chociebużu. – Uważam, że pomimo wszystkich problemów powinniśmy szukać dialogu z Rosją. Mam nadzieję, że wszyscy zachowają zimną krew”. Wypowiedzi polityka SPD były tak ostre, że zareagował Ingo Senftleben, szef klubu parlamentarnego CDU w brandenburskim parlamencie. Polityk Chadejki wyraził zdziwienie, że Woidke z urzędu odpowiadający w rządzie federalnym za kontakty z Polską „ceni bardziej dialog z rosyjskimi biznesmenami niż bezpieczeństwo Polski”.

Deklaracja bądź co bądź ważnego polityka niemieckiego to groźny precedens, ale o wiele bardziej niepokojące są tendencje socjologiczne w kraju naszych sąsiadów zza Odry. Prowadzone są tutaj sondaże amerykańskiego ośrodka badania opinii Pew Research Center, który już od wielu lat bada stosunek społeczeństw krajów paktu północnoatlantyckiego do wizji reagowania ich państw na sowiecką agresję. Badanie ze stycznia 2015 r. wykazało, że aż 58 proc. Niemców jest przeciwno użyciu Bundeswehry do pomocy sojusznikom z NATO zaatakowanym przez Moskwę. Dla kontrastu 56 proc. Amerykanów poparłoby wysłanie swoich wojsk do państw zaatakowanych przez Rosję. W Kanadzie taki współczynnik wynosi 53 proc. W kolejnych badaniach z 2020 r. niechęć do udzielenia pomocy państwu zaatakowanemu przez NATO zadeklarowało aż 63 proc. Niemców.

Wszystkie te informacje łączą się w jeszcze bardziej niepokojący obraz, jeśli uzmysłowimy sobie niedoinwestowanie Bundeswehry i problemy ze sprzętem. Dopiero teraz widać, jakie są efekty zmniejszania wydatków na obronę, które rozpoczęło się w 1988 r. Próby bardzo twardego stawiania sprawy przez Donalda Trumpa, który wzywał Berlin do

zwiększenia nakładów obronnych, spotykały się z histeryczną reakcją i sugestiami, że to republikański prezydent chce wypchnąć Niemcy z NATO i zostawić Europę bezbronną na pastwę Rosji. Co charakterystyczne, nikt wezwań Trumpa nie wykorzystał do debaty, jaki jest stosunek Niemiec do ewentualnej konfrontacji zbrojnej między Rosją i sojuszem.

Amerykańscy dyplomaci z irytacją wskazywali, że Niemcy chcą być taką ogromną Szwajcarią, która liczy na to, że zachowa swoje bezpieczeństwo, tak jak zrobili to Helweci w czasie ostatniej wojny, licząc, że wszystkie zdolne do prowadzenia wojen strony będą zainteresowane istnieniem obszaru wymiany handlowej i inwestycji finansowych. Ta taktyka mogła być uważana za racjonalną do momentu pierwszej agresji rosyjskiej na sąsiedni kraj, czyli do 2008 r. i inwazji armii rosyjskiej na Gruzję. Jednak ani atak na Tbilisi, ani aneksja Krymu, nic nie zmieniły. Deklaracja o zakazie eksportu broni do Ukrainy była wraz z decyzją o kontynuacji projektu Nord Stream 2 stawianiem własnych interesów ponad bezpieczeństwo sąsiadów i partnerów w NATO.

Dwie największe niemieckie partie – SPD i CDU – potrafią wydawać ogromne sumy na kampanie społeczne uświadamiające zagrożenia wynikające ze zmian klimatycznych lub na integrację cudzoziemców w niemieckim społeczeństwie. Tymczasem w ciągu ostatnich 30 lat nie rzuciły się w oczy kampanie, które przypominałyby Niemcom, że przystąpienie do NATO to nie tylko korzyści z amerykańskiego parasola atomowego, lecz także obowiązek walki w obronie sojuszników z paktu. Owszem, Niemcy wysłały swoje oddziały na Litwę i był to przykład poważnego traktowania solidarności sojuszniczej. Podobnie musimy z wdzięcznością pamiętać o sprzedaży Polsce czołgów Leopard, nawet jeżeli dotyczy to sprzętu nieco już wysłużonego. Ale takie sytuacje jak zagrożenie Ukrainy powinny skłaniać Niemcy do myślenia w kategorii obrony wolności i bezpieczeństwa, a nie stosowania dogmatycznego pacyfizmu. RFN – czwarty w świecie eksporter uzbrojenia – wysła swoją broń do wielu krajów, które prowadzą bardzo ostrą politykę zagraniczną także z użyciem sił wojskowych. Tak było w wypadku Turcji czy Arabii Saudyjskiej.

NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ BYTU

Pamiętam, jak w połowie lat 90., gdy zaczynałem się interesować niemiecką

wizją powojennej historii, moją uwagę zwróciły specjalne zeszyty historyczne „Spiegla” o zimnej wojnie. W Polsce traktowaliśmy historię zmagania Zachodu z obozem sowieckim jako historię obrony wolności i demokracji przez państwa zachodnie na czele z USA. W publikacji „Spiegla” znalazłem zupełnie inną wizję „Coldwar”. Wieloletnią konfrontację przedstawiano jako rywalizację dwóch szalonych sił ogarniętych na równi militarystycznymi zapędami. Był w tym podtekst, że podzielone Niemcy stanowią zieloną trawiastą polanę, po której w razie wojny będą biegać słonie ze wschodu i zachodu w równym stopniu lekceważące interesy zwykłych Niemców.

Było to bardzo wyraźne odejście od stanowiska, które sformułował Konrad Adenauer i które było szanowane jeszcze do początków lat 80. Starsza generacja Niemców pamiętała, że Niemcy stosunkowo szybko, bo cztery lata po wojnie, zostały faktycznie zwolnione z bardziej zaawansowanej denazyfikacji w imię potrzeby utrwalenia w NATO-wskim murze twardej niemieckiej cegły. Od rewolty z 1968 r. to poczucie, że wolność nie jest przywilejem, ale stanem wymagającym wysiłku obrony, zaczęło powoli zanikać. Systematycznie spadał prestiż oficerski i coraz więcej młodych ludzi mimo zniesienia obowiązkowego poboru traktowało Bundeswehrę jako obciach.

Powodowało to gorzki paradoks. Do armii garnęło się coraz mniej młodych ludzi pragnących zrobić jakąś karierę, a ci, którzy zgłaszali się dobrowolnie, coraz częściej bywali przedstawicielami skrajnej prawicy. Prestiż zawodu nauczyciela spadł, gdyż coraz częściej wychowawcy musieli kapitulować wobec czy to pacyfizmu, czy to imigranckiej niechęci do niemieckiego munduru.

Czy taki stan rzeczy może być obojętny dla kraju, który sąsiaduje z Niemcami? W trakcie sporów rządu Mateusza Morawieckiego z Brukselą niemieccy publicyści do znudzenia powtarzali, że skoro Polska weszła do unijnego klubu, to musi trzymać się enigmatycznie określonych wartości europejskich. W drugą stronę to jednak nie działa. Mało kto w Polsce wypomina Republice Federalnej, że została zaakceptowana przez aliantów z racji obaw przed inwazją ze wschodu. Kolejny raz potwierdza się zasada: co wolno wojewodzie...

SUBSKRYPCJA CYFROWA



12 miesięcy



„Religia i nauka” z 4 E-BOOKAMI

Teraz 166,90 zł ~~440,00 zł~~

12 miesięcy



„Polscy żołnierze” z 7 E-BOOKAMI

Teraz 165,90 zł ~~440,00 zł~~

DZIĘKI SUBSKRYPCJI CYFROWEJ OTRZYMUJĄ PAŃSTWO:

- + możliwość czytania na stronie dorzeczy.pl artykułów z wydań oraz możliwość pobrania wydań na swoje urządzenie w formatach: pdf, mobi, epub
- + dostęp do dodatkowych artykułów naszych publicystów
- + możliwość oglądania programu Pawła Lisickiego i Rafała A. Ziemkiewicza „Polska Do Rzeczy”
- + możliwość wybrania ofert z wieloma prezentami do czytania

ZAPRASZAMY
NA NASZĄ STRONĘ Z OFERTAMI:
SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie będąc w stanie poradzić sobie z samą sobą, opozycja brnie więc w to, co ma przećwiczone: w mnożenie oskarżeń wobec PiS. To też wiecie ją w krainę absurdu

W chwili, gdy władza PiS przeżywa najtrudniejszy z dotychczasowych kryzysów, w obozie lewicowo-liberalnym mamy już zupełnie otwartą wojnę. Szymon Hołownia rzucił wyzwanie Donaldowi Tuskowi, zapraszając innych liderów na wspólną naradę – oficjalnie nad wspólnym programem rządzenia po zwycięstwie nad PiS, w istocie nad tym, jak przeciwstawić się „zjednoczeniowemu” zapędowi p.o. przewodniczącego PO. Ten ostatni wie o tym dobrze, dlatego zaproszenie, podchwyczone skwapliwie przez Włodzimierza Czarzastego i Władysława Kosiniaka-Kamysza, demonstracyjnie zignorował – zbywająco skomentował je tylko Borys Budka.

Zaproszenie poprzedziło kilkakrotnie, coraz bardziej stanowcze odrzucenie przez Hołownię tezy, którą od swego powrotu głosi konsekwentnie Donald Tusk: „Jako opozycja pójdziemy do wyborów zjednoczeni, kto tego nie będzie akceptował i rozumiał, ten znajdzie się na marginesie polityki”. Lider Polski 2050, zepchniętej wprawdzie przez PO z pozycji najpopularniejszej partii opozycyjnej, ale wciąż cieszącej się dwucyfrowym poparciem, początkowo miękko protestował przeciwko bezwzględnej konieczności „zjednoczenia”, ostatnio czyni to coraz mocniej. Słowa Tuska nazywa „raczej szantażem niż zaproszeniem do współpracy”, tezę o wspólnej liście jako jedynej metodzie zwycięstwa odrzuca, przypominając fiasko takowej w konfrontacji z PiS w wyborach do Parlamentu Europejskiego, a jego ostatnia inicjatywa jest już wyraźną przymiarką do tworzenia listy konkurencyjnej względem zarówno PiS, jak i PO.

DOŚWIADCZENIE BIEDRONIA, TRAUMA PSL

Prywatnie działacze bliscy Hołowni mówią, że wedle ich wewnętrznych sondaży wystąpienie na wspólnej liście



Pegasus zamiast zjednoczenia

z PO oznacza utratę aż 40 proc. wyborców, którzy gotowi są głosować na Polskę 2050, kiedy występuje ona samodzielnie. Pozostaje to w sprzeczności z sondażami zamawianymi i promowanymi przez lewicowo-liberalne media, z których wynika, że wspólna lista zsumowałaby arytmetycznie poparcie wszystkich łączących się partii. Ale to raczej te drugie wydają się „skręcone” – elementarny zdrowy rozsądek mówi, że skoro Hołownia tak szybko i wysoko wyrósł w sondażach, mimo, delikatnie mówiąc, nieszczególnej oferty programowej i personalnej, to właśnie dlatego, że dla wielu wyborców niechętnych PiS Platforma po swoich rządach i po

demonstracyjnej odmowie przyznania się do jakichkolwiek błędów jest i pozostaje formacją niewybieralną.

Wspomniane sondaże lewicowo-liberalnych mediów, zachęcające do stworzenia jednej listy, głosiły zresztą to samo przed wyborami europarlamentarnymi. Gdy Hołownia przywołuje ówczesne fiasko tamtego „zjednoczenia”, komentatorzy wspomnianych mediów, gorliwie zaangażowani w sprawę po stronie Tuska, wytykają mu nieprawdę: przecież ostatecznie wspólnej listy wtedy nie było, bo z antypisowskiego frontu wyłamał się Biedroń ze swoją Wiosną i urwał „zjednoczonej opozycji” właśnie



Senator PO Krzysztof Breja twierdzi, że padł ofiarą inwigilacji za pomocą programu Pegasus

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

te 7 proc. o które mniej dostała ona głosów niż PiS. Ale to argument obosieczny: wynika wszak z niego, że jeśli Hołownia ugnie się pod presją „tefaleńców” i zgodzi roztopić w PO jak Nowoczesna, to w ostatniej chwili znowu wyskoczy ktoś i zgarnie wspomnianych wyborców, którzy nie chcą wymieniać obecnej władzy na poprzednią.

Taką rolę mogłoby odegrać PSL. Co prawda, zwykle jest ono tak potulne wobec PO, że uchodzi, nie bez pewnych racji, za jej delegaturę na prowincji, ale akurat w kwestii „wspólnej listy” partia Kosiniaka-Kamysza ma silną traumę. Żywa jest wśród ludowców pamięć momentu, gdy wskutek koalicji z lewicowymi radykałami tak wiele stracili na rzecz PiS w swym tradycyjnym elektoracie, że omal nie zniknęli na dobre ze sceny politycznej. Dopiero przyłączenie Kukiza i rebranding na Koalicję Polską pozwoliły im pozbyć się odium „tęczowych gumofilców”. Dlatego Kosiniak-Kamysz, nie protestując przeciwko doktrynie Tuska tak mocno jak Hołownia, podkreślał zawsze konsekwentnie: wspólna lista z PO – owszem, ale nie z udziałem lewicy.

To z kolei nie jest do przyjęcia dla Tuska, który, być może pod wpływem lewicowo-liberalnego salonu, a być może wskutek swych doświadczeń z Bruk-

seli, uważa, że przyszłość wyznaczają głoszone przez lewicę hasła kulturowej rewolucji, i konsekwentnie stara się opanować dla swej partii właśnie ten obszar. Ponieważ partia Barbary Nowackiej, Zieloni i inne lewicowe komponenty Koalicji Obywatelskiej nie wnoszą do niej znaczącego poparcia, porozumienie z Lewicą jako partią wydaje się dla jego planu jednej listy kluczowe.

Tyle że i tu „król Europy” napotkał opór – już nie tylko ze strony Czarzastego, lecz także współprzewodniczącego nowej lewicowej formacji, powstałej z połączenia SLD i Wiosny Roberta Biedronia. W imieniu tego ostatniego ostro atakuje Tuska Maciej Gdula, powtarzając w różnych mediach, że lider PO niszczy opozycyjną politykę, sprowadza ją do „ustalania, kto ma większy rozmiar buta” i „rozstawiania po kątach”. Jego artykuł w „Krytyce Politycznej”, powtórzony na partyjnej stronie Nowej Lewicy, to chyba jedna z najostrzejszych ostatnio wypowiedzi krytykujących Tuska, a szczególnie używanie przez niego „absurdalnej tezy, że lewica jest w strategicznym sojuszu z PiS”.

Co prawda, jest to teza, którą Tusk powtarza za rozmówcami, którzy wyszli ostatnio z partii Czarzastego i Biedronia, kradnąc bezprawnie historyczną nazwę Polskiej Partii Socjalistycznej – ale akcja grupy Rozenka traktowana jest analogicznie, jak swego czasu antygowinowa aktywność Adama Bielana w obozie przeciwnym: nikt nie wierzy, żeby nie była zaplanowana przez Tuska jako część planu „lubnaueryzacji” lewicy.

O ile jednak Hołownia i PSL wskazują dość wyraźnie strategię alternatywną wobec narzucanej przez Tuska – i gorliwie mu w tej sprawie sekundujące „salony” antypisu – wspólną listę tych dwóch partii (o dołączeniu do niej dramatycznie osłabłej partii Gowina mówi się już coraz rzadziej), o tyle Lewica, niebędąca w stanie podskoczyć ponad poparcie 7–8 proc., właściwie nie ma przed sobą żadnej drogi poza startem samodzielnym, ewentualnie w niby-koalicji z kanałowymi grupkami tęczowych radykałów. To zaś, przy jej obecnych notowaniach, może skończyć się powtórką z roku 2015: Lewica znowu urwie PO i jej koalicjantom kilka procent, ale nie wejdzie do Sejmu, przez co słabszy nawet wynik PiS przełoży się na więcej mandatów.

Plan „lubnaueryzacji” Hołowni i Nowej Lewicy mógł się powieść tylko

w jednym wypadku: sondażowego „blitzkriegu”. I, jak się zdaje, Tusk był pewien, że jego triumfalny powrót, w oklaskach lewicowo-liberalnych mediów i autorytetów, ze wsparciem unijnych sankcji, musi dać taki właśnie efekt. Teraz, po kilku miesiącach, wiadomo już, że „blitzkriegu” nie będzie – a planu wojny pozycyjnej Tusk nie ma. Trudno się w tej sytuacji dziwić jego szczeremu westchnieniu w jednym z wywiadów, że „nie modli się o przyspieszone wybory” i lepiej, by odbyły się one w terminie.

Tylko że sensowne z punktu widzenia polityki słowa te kompletnie kompromitują linię propagandową PO i całego antypisu. Przecież od sześciu lat dzień w dzień media i politycy opozycji krzyczą, że trwa apokalipsa, ginie demokracja, że Kaczyński zabija „uchodźców”, morduje Polaków koronawirusem i dusi smogiem, a co najgorsze – w każdej chwili może nas „wyprowadzić z Unii”, by teraz na jednym oddechu z tymi przekraczającymi już wszystkie granice hysterii okrzykami dodawać: ale niech to robi dalej, stójcie spokojnie i czekajcie do przyszłego roku. Cóż za groteska!

UTRZYMAĆ HISTERIĘ

Nie będąc w stanie poradzić sobie z samą sobą, opozycja brnie więc w to, co ma przećwiczone: w mnożenie oskarżeń wobec PiS. To też wiedzie ją w krainę absurdu. No bo jak zrozumieć fakt, że w chwili, gdy PiS musi się mierzyć co najmniej z trzema poważnymi i ważnymi dla Polaków kryzysami (epidemia, drożyzna, Polski Ład), opozycja przykrywa je wielogodzinnymi transmisjami z senackiej komisji, nudzącej o Pegasusie, czy żądaniem dymisji ministra obrony w związku z jakąś tam, nikt już nazajutrz nie pamięta jaką, kolejną „największą aferą w całych dziejach III RP”?

To jest oczywiście jakiś sposób, żeby utrzymać w hysterii mieszkańców swojej politycznej „bańki” i sprawić, by na razie nie zauważali narastającej nieźborności politycznych działań swych faworytów, jako żywo przypominających zamierchłą kompromitację partii centroprawicowych w Konwencie Świętej Katarzyny. Tyle że sny Tuska o hegemonii PO nie mają już szans na realizację, a innego pomysłu, jak nie przegrać po raz kolejny, szeroko rozumiany obóz lewicowo-liberalny urodzić nie jest w stanie.

Sukces, jak wiadomo, ma wielu ojców, a do autorstwa Polskiego Ładu mało kto chce się dziś przyznać.

Liderzy Zjednoczonej Prawicy, którzy do tej pory na ogół zachwalali wielki projekt Ministerstwa Finansów jako sposób na dogonienie krajów zachodnich jeszcze przed końcem dekady, nie kryją dziś niezadowolenia i domagają się pilnych korekt. Tych będzie trzeba zaś wykonać sporo, ponieważ wprowadzone od nowego roku przepisy są na tyle zagmatwane, że wzbudziły nawet protest Związkowej Alternatywy w Krajowej Administracji Skarbowej.

MŁODA GWARDIA MORAWIECKIEGO

Oficjalnie Polski Ład nie jest dziełem żadnych konkretnych osób, lecz efektem zbiorowego wysiłku całego resortu, ale śledząc aktywność poszczególnych ministrów w ostatnich miesiącach, łatwo można było odczytać, kto miał przy jego tworzeniu najwięcej do powiedzenia. Najbardziej wzmoczoną aktywność medialną w związku z Polskim Ładem wykazywali przede wszystkim wiceministrowie Jan Sarnowski i Piotr Patkowski, którzy reklamowali go jako szansę na wykorzystanie wyjątkowego momentu w historii naszego kraju. Liczących zaledwie 36 i 31 lat wiceministrów trudno oczywiście uznać za osoby najbardziej decyzyjne w resorcie kierowanym przez Tadeusza Kościńskiego, lecz swoim zaangażowaniem w promowanie reformy podatkowej mającej przynieść „śmierć polskiemu modelowi neoliberalizmu” dostarczyli całkiem sporo pretekstów, aby właśnie ich obarczyć winą za wszelkie ewentualne niepowodzenia. Ostatecznie jednak niezadowolenie z efektów wprowadzania Polskiego Ładu okazało się na tyle duże, że inni ministrowie zaczęli się domagać dymisji samego Kościńskiego.

Młody wiek wypromowanych przez Mateusza Morawieckiego na wysokie stanowiska wiceministrów finansów przyciągał uwagę mediów już od dawna. Data urodzenia nie powinna być oczywiście żadnym wyznacznikiem przydatności do piastowania funkcji, jeśli dana osoba potrafi wykazać się odpowiednimi kompetencjami. W przypadku Sarnowskiego już w ubiegłym roku można było jednak nabrać nieco ostrożności w związku z przygotowanym przez niego tzw. estońskim CIT. Wiceminister przekonywał, że już w pierwszym roku jego obowiązy-



Demiurdzy chaosu



Jakub Wozinski

Części bałaganu towarzyszącego wprowadzeniu Polskiego Ładu być może udałoby się uniknąć, gdyby prace nad nim powierzono osobom o większym doświadczeniu

wania skorzysta z niego 200 tys. spółek. Okazało się, że do połowy maja wybrało go zaledwie 360. Co prawda, projekt został poprawiony i od nowego roku powinien już działać znacznie lepiej, lecz tak znaczna pomyłka przy dokonywaniu zmian w zaledwie wycinku całego prawa podatkowego powinna była zadziałać jako sygnał ostrzegawczy przed tym, co stanie się w momencie, gdy zmodyfikowany zostanie praktycznie cały system podatkowy.

Jest kwestią wręcz zdumiewającą, że tak wiele do powiedzenia przy wprowadzaniu – jak przekonują sami przedstawiciele Ministerstwa Finansów – największej reformy podatkowej w III RP miały osoby o tak niewielkim w gruncie rzeczy doświadczeniu. Piotr Patkowski i Jan Sarnowski to prawnicy, którzy zrobili w ciągu ostatnich kilku lat zawrotną

karię jako „ludzie Morawieckiego”, pnąc się w błyskawicznym tempie po szczeblach urzędniczej kariery. Młodej gwardii premiera nie można z pewnością odmówić zaangażowania w zakresie spełniania poleceń mocodawcy, lecz to zwyczajnie za mało na to, aby sprawnie wdrożyć tak znaczne reformy.

ZŁOTOUSTY MINISTER

Żaden z wiceministrów nie może się także pochwalić zbyt rozbudowaną karierą w sektorze prywatnym. Jedynie w biografii Sarnowskiego można przeczytać o doświadczeniu zebranych w kancelariach doradztwa prawnego i podatkowego, choć nie wiadomo do końca, w jakim zakresie. Z pewnością dużo lepiej by się stało, gdyby o zmianach mających tak wielki wpływ przede



Najbardziej wzmoczoną aktywność medialną w związku z Polskim Łądem wykazywali przede wszystkim wiceministrowie finansów Jan Sarnowski (z lewej) i Piotr Patkowski (z prawej), którzy reklamowali go jako szansę na wykorzystanie wyjątkowego momentu w historii naszego kraju

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

wszystkim na los prowadzących własną działalność gospodarczą miały osoby, które osobiście poznały, na czym polega ją urok prowadzenia w Polsce firmy.

Wiceministrowie wypromowani przez Mateusza Morawieckiego mogliby zdecydowanie lepiej obronić swoje kompetencje pomimo młodego wieku, gdyby unikali kontrowersyjnych wypowiedzi. Tych zaś było niestety w ciągu ostatnich miesięcy całkiem sporo. W tym aspekcie wyróżniał się przede wszystkim Piotr Patkowski, który w programie emitowanym na antenie TVP Info mówił o tym, że dotknięci przez koronawirusa i lockdowny przedsiębiorcy powinni rozważyć możliwość przebranzowienia. Przy innej okazji wiceminister przekonywał, że dzięki lockdownowi Polacy mają więcej pieniędzy i dzięki temu tak naprawdę ich sytuacja się polepszyła. Gdy zaś jesienią fala inflacji zaczynała coraz wyraźniej wzbierać, Patkowski bronił tego zjawiska, przekonując, że stanowi to efekt przyspieszonego wzrostu gospodarczego.

WSPÓŁCZUCIE DLA WIELKIEGO KAPITAŁU

Tego typu wypowiedzi nie stanowiły niestety wypadku przy pracy, lecz wynika-

ły z pewnych ogólnych zapatrywań na gospodarkę i rolę państwa żywionych przez „młodą gwardię Morawieckiego”. Ich konceptualizacji dostarczył sam Piotr Patkowski, który w jednym z wywiadów określił swoje poglądy jako „współczujący konserwyzm”. Za tym niecodziennym określeniem kryje się mieszanina specyficznie rozumianych instynktów patriotycznych z zamiłowaniem do państwa opiekuńczego. W tym kontekście Polski Łąd miałby stanowić doskonałą okazję do wcielenia w życie zasad „współczującego konserwyzmu”, gdyż rozbudowuje transfery socjalne, wyrównuje dochody społeczne oraz zwiększa obciążenia rodzimych przedsiębiorców.

„Współczujący konserwyzm” młodych wiceministrów okazuje jednak najwięcej empatii w stosunku do wielkiego, zagranicznego kapitału. Tajemnicy z tego nie robił nigdy Jan Sarnowski, który od wielu miesięcy z dumą deklarował, że Ministerstwu Finansów udało się wywalczyć mechanizm ochronny zabezpieczający zagraniczne firmy przed zwiększeniem opodatkowania. Mało tego, resort kierowany przez Tadeusza Kościńskiego walczył wręcz o to, aby działających w Polsce podmiotów zagranicznych nie dotknęły w żaden istotny sposób zmiany wprowadzające globalny minimalny podatek od osób prawnych (czyli CIT).

I rzeczywiście, Polski Łąd okazał się niezwykle korzystny dla wielkiego, zagranicznego kapitału, bo podczas gdy większość polskich przedsiębiorców spędziła ostatnie miesiące 2021 r. na gorączkowych przekształceniach formy prawnej i dokonywanych naprędce kalkulacjach, wielki kapitał prowadził business as usual. Według ostatnich badań aż 73 proc. Polaków nie potrafi powiedzieć, jaka będzie ich pensja po wprowadzeniu Polskiego Łądu – zagraniczne podmioty tej niepewności nie znają.

„SZTUCZNA BARIERA” ZADŁUŻENIA

W kontekście Polskiego Łądu jako źródło inspiracji czy też konsultacji padało także nazwisko dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego Piotra Araka. Szef nadzorowanej przez prezesa Rady Ministrów instytucji oficjalnie nie współpracował z Ministerstwem Finansów w tworzeniu konkretnych rozwiązań prawnych, lecz głoszone przez niego poglądy, m.in. na temat reformy systemu podatkowego i finansów publicznych, w bardzo wielu

aspektach współgrają ze kształtem zmian, które przyniósł ze sobą Polski Łąd.

Piotra Araka i młodych wiceministrów finansów łączy zapatrywanie na wiele kwestii, m.in. zadłużenia publicznego. Zdaniem byłego doradcy Michała Boniego (z czasów, gdy ten był ministrem w rządzie Donalda Tuska), a obecnie owocnie współpracującego z premierem Morawieckim szefa PIE, Polska powinna zmienić konstytucyjne reguły dotyczące limitu zadłużenia i skorzystać z dobrodziejstw ery niskich stóp procentowych (która zdaje się już powoli kończyć). Bardzo podobnie na tę kwestię zapatrują się minister Tadeusz Kościński i jego doradcy, dla których obowiązujący wciąż 60-procentowy limit zadłużenia to „sztuczna bariera”. Zarówno Arak, jak i Patkowski z chęcią odwołują się także do koncepcji „końca neoliberalizmu”. Rozpinając parasol ochronny nad wielkim kapitałem, Polski Łąd wykazuje jednak ogromny potencjał do tego, aby doprowadzić do końca polskiego małego biznesu i klasy średniej.

Dziś nie ulega wątpliwości, że powierzenie Patkowskiemu i Sarnowskiemu nadzoru nad tak dużą reformą okazało się błędem. Bez względu na to, czy Ministerstwu Finansów uda się wreszcie uporządkować panujący od początku roku bałagan, polskie prawo podatkowe i tak zostało już skomplikowane w dramatyczny wręcz sposób. Taki stan rzeczy nie wydaje się jednak przedstawiać dla „młodej gwardii Morawieckiego” większego problemu, gdyż – jak mówił w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy” w 2020 r. wiceminister Sarnowski („Estoński silnik dla Polski”, „DRz” nr 29/2020) – prostota korzystania z prawa wymaga tworzenia skomplikowanych przepisów. Zgodnie z tą filozofią twórcy przepisów podatkowych nie czują się nawet zobowiązani do tworzenia przejrzystych i możliwie jak najbardziej zrozumiałych dla ogółu rozwiązań, tylko świadomie komplikują je tak, aby występować w roli inżynierów społecznych optymalizujących dochody poszczególnych grup społecznych.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obaj wiceministrowie najbardziej kojarzący się z wdrażaniem Polskiego Łądu mają za wynikły chaos zapłacić stanowiskami, lecz najpierw naprawić wszystkie błędy. Jeśli te doniesienia okażą się prawdziwe, to czeka ich jeszcze długa kariera.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Zboralski

Jedni oglądają informacje tylko w TVN, drudzy w TVP. Część próbuje oglądać oba programy. Ci mają najgorzej. Bo jak to jest żyć w kraju, w którym jest jednocześnie bardzo źle i bardzo dobrze?

Programy informacyjne od dawna odzwierciedlają głęboki podział polityczny Polaków. Mnóstwo badań wskazywało, że ludzie o jednych poglądach wybierają „Fakty” TVN, a o poglądach przeciwnych – „Wiadomości” TVP.

Istnieje jednak (sam znam takie przypadki, jeden jest nawet publicznie znany – to prof. Stanisław Żerko i jego wpisy na Twitterze) grupa osób, która próbuje ułożyć sobie z obu programów wypośredkowany ogląd rzeczywistości. Dlatego oglądają i jedno, i drugie. Z wcześniejszych badań, np. CBOS, wynikało, że po 60 proc. badanych ogląda informacyjne programy TVP i 60 proc. TVN, więc co najmniej 10 proc. Polaków śledzi oba – a prawdopodobnie ta grupa jest dużo większa.

Redakcja zleciła mi wcielenie się w tę rolę. Przez trzy dni od początku do końca oglądałem oba wiodące programy informacyjne. I po tym niełatwym doświadczeniu nabrałem przekonania, że oglądanie dwóch odmiennych stacji nie pozwala już dziś na umiarkowaną i rozsądną ocenę tego, co naprawdę się dzieje. Przypomina to raczej zmaganie się z obłędem – raz to samo jest dobrem, a raz złem. Nie wierzą państwo? To zapraszam na przegląd.

11 STYCZNIA „FAKTY”

Pierwszy temat w „Faktach” – pandemia. Umarło ponad 100 tys. Polaków. To wina rządu, który nie chce narzucić obywatelom obowiązku szczepień. Wypomina mu się, że nie wszedł w życie zapowiadany projekt zobowiązujący m.in. nauczycieli do zaszczepienia się. Nikt nie pyta, co to ma dać, skoro ok. 80 proc. nauczycieli jest przecież zaszczepionych (a jeszcze większy odsetek zaszczepionych jest w armii czy policji, które też miał objąć obowiązek szczepień). Najważniejsze, że

PiS nie wprowadza obowiązku szczepień, bo Jarosław Kaczyński ulega grupce antyszczepionkowych polityków prawicy, bez których rozpadłaby się koalicja. Potem na ekranie pojawia się Donald Tusk, który apeluje do rządu o wprowadzenie obowiązkowych szczepień. Jest problem, są żli i są dobrzy. Jak w dobrym westernie.

Ciąg dalszy to małopolska kurator oświaty, która nazwała szczepienia „eksperymentem medycznym”. Rada Medyczna przy premierze chce za to jej dymisji. Chce tego też minister zdrowia Adam Niedzielski. Barbary Nowak bronią jednak posłanka Anna Maria Siarkowska i Radio Maryja. Szymon Hołownia tłumaczy, że poglądy pani Nowak są szkodliwe i niebezpieczne. Marszałek Senatu Tomasz Grodzki zarzuca, że pandemią w Polsce zarządza grupa antyszczepionkowców. Szybka przebitka na dowód, że tak właśnie jest – Kaja Godek, która powiedziała podczas sejmowej komisji, że ustawa wprowadzająca certyfikat

zaszczepienia jest „do odrzucenia w całości”. A Donald Tusk martwi się, że nawet „tak nieśmiały projekt” nie zostanie przyjęty przez Sejm. Bo – jak tłumaczą „Fakty” – przeciwni certyfikatowi są Ziobro i Konfederacja.

Dość koronawirusa. Teraz o inflacji i podwyżkach. Będzie Rządowa Tarcza Antyinflacyjna. Będą obniżki podatków, m.in. na gaz, żywność, a paliwo ma być tańsze. Premier Mateusz Morawiecki zrzuca winę za podwyżki i inflację na poprzedników, UE i Rosję. Tymczasem to rząd PiS zawarł nowy kontrakt na gaz i wkroczyć musi dobry bohater – Donald Tusk pyta rząd, czy wszyscy tam powariowali, i proponuje projekt obniżek. Przypomina się, że to Tusk zaproponował obniżkę ceny paliwa, którą teraz wprowadza PiS. W dodatku rząd robi to źle, bo przepisy UE nie pozwalają obniżyć VAT na paliwo. Więc jeśli rząd zrobi obywatelom dobrze, to robi źle i Polska znów może trafić przed europejski Trybunał Spra-



„Fakty” kontra

„Wiadomości”

CO ONI NAM POKAZUJĄ **KRAJ**



FOT. ADAM STOLIK

wiedliwości. I teraz już nie wiadomo, czy lepiej płacić więcej czy mniej.

Dość podwyżek, teraz Polski Ład. Urzędnicy skarbowek mają wytłumaczyć ludziom, o co w tym chodzi, a sami nie mają pojęcia. Ujęcie z życia: interesant w skarbowce mówi, że „tamci mnie okradli”. Ludzi „trafia szlag” także dlatego, że jedni mają robić i się im zabierze, żeby dostali inni, którzy nic nie muszą robić. A premier Morawiecki problemy bagatelizuje.

Afera Pegasusa. Senat będzie miał komisję, która ma sprawdzić, jak i kogo podsłuchiowano w Polsce. Zaproszeni mają być Jarosław Kaczyński i nadzorujący służby specjalne minister Mariusz Kamiński. Niestety, to nie komisja śledcza, więc nie muszą się stawiać. W skrócie – PiS od dawna żywi się podsłuchiowaniem obywateli. Profesor Ewa Łętowska mówi, że w Polsce jest problem z demokracją. Norman Davies mówi, że mamy system pseudodemokratyczny. Głos z offu przekonuje, że władza próbowała przejść wolne media,

gdy kadr pokazuje siedzibę TVN. Wiadomo, że podsłuchiowano Krzysztofa Breję podczas kampanii wyborczej, gdy był szefem sztabu PO. Zatem nie wiadomo, czy wybory były demokratyczne. Na koniec słyszymy, że w USA sprawę podsłuchów badała niezależna komisja, a w Polsce na żadną komisję rząd nie chce się zgodzić. To tej komisji Senatu jednak nie będzie!

Na koniec informacja o przeszczeniowaniu człowiekowi zmodyfikowanego genetycznie serca świni. Pacjent przeżył. A za granicą strusie biegały po ulicy. Podsumujmy: w kraju wszystko jest źle. Za granicą czasem dobrze – robią operacje serca i mają na ulicach fajne strusie.

„WIADOMOŚCI”

Już po „Faktach”. Czas na TVP. Tu też mówią, że w kraju jest źle. Tylko z innego powodu – to partia Donalda Tuska jest winna temu, że polska gospodarka musi wydać 860 mld zł do 2030 r., żeby spełnić cele klimatyczne wyznaczone przez UE. Jest do-

kładnie to samo ujęcie z szefem PO, które było w „Faktach”. Tusk pyta, czy wszyscy w rządzie powariowali. Tym razem to przykład tego, że winny zrzuca swoją winę na innych. Bo unijny parapodatek „coraz częściej nazywany jest »tuskowym«”. Nie podają przez kogo. Ale czy to ważne? Ważne, że to rząd Tuska dawno temu zgodził się na coś, co miało zniszczyć polską gospodarkę. Tu też są dobrzy bohaterowie – Jacek Sasin tłumaczy, że Polacy tego nie udźwigną, a wiceminister Maciej Małecki uważa, że to czas, by wszyscy otrzeźwieli (w tej Brukseli). W dodatku wszystkie te pomysły UE są głupie, bo niby ekologia, a przewoźnicy lotniczy w pandemii, żeby nie stracić w portach praw do startu i lądowań, muszą latać pustymi samolotami.

Także w TVP informują, że rząd ma Tarczę Antyinflacyjną 2.0. Obniży nam podatki na różne rzeczy, by było taniej. Ale nie obniży byle jak, to będzie „najmocniejsza reakcja w całej Europie”. Kierowcy zresztą już kupują paliwo tańsze o 30 gr. Jeden pan mówi telewizji, że u nas taniej niż w Niemczech. A będzie jeszcze taniej!

Pora na złego bohatera: Donald Tusk te pomysły rządu krytykuje, a przecież sam nie obniżył w 2011 r. VAT na paliwo, gdy Polacy tankowali po 6 zł za litr, a zarabiali dwa razy mniej. Do tego szybkie przypomnienie podsłuchanego Jacka Krawca, byłego szefa Orlenu, który wspominał, że gdy już PO wygrała wybory, to Donald mówił, że „teraz, k.w.a, paliwo może być nawet i po 7 zł”. W dodatku Tusk twierdził, że nie ma wpływu na ceny żywności. No i kłamał, bo przecież rząd PiS taki wpływ ma i jedzenie będzie tańsze. Na koniec jest migający wykres, który pokazuje jakieś cyfry i flagi, a głos z offu tłumaczy, że będziemy mieli najniższe rachunki do płacenia w Europie. Uf... Jest nawet drugi optymistyczny wykres. Pokazuje, że wydatki Polaków systematycznie rosną od lat, ale za to „dochód rozporządzalny” też rośnie, więc jest drożej, a i tak zostaje nam więcej pieniędzy. Ludzie się więc niepotrzebnie piekła, ten Polski Ład to samo dobro.

Pandemia. TVP też wylicza, że umarło już ponad 100 tys. osób, a Omikron dopiero nadchodzi. Resort zdrowia twierdzi, że trzy czwarte ludzi mogłoby nie umrzeć, gdyby się zaszczepili. Trzeba się zaszczepić – tłumaczy wszyscy. O dziwo, Tusk nie jest winny, że ludzie nie się szczepią. W ogóle nikogo nie wskazano. No może oprócz samych pacjentów, bo powiedziano, że za późno trafiają do szpitali i przez to umierają.

■ W Inowrocławiu w ratuszu „afera fakturowa”. Prokuratura wezwała jako podejrzanego prezydenta Inowrocławia – Ryszarda Breję. Kilkanaście osób ma zarzuty. Syn prezydenta, Krzysztof Breja, uważa, że zarzuty wobec ojca to tak naprawdę atak na niego. Ale TVP Info ustaliła, że to Krzysztof Breja jest zły i kierował w inowrocławskim ratuszu „wydziałem nienawiści”, który nakazywał urzędnikom atakować oponentów politycznych w Internecie. A w ogóle to PO podsłuchiwała dziennikarzy.

Opozycja jest zła i atakuje polskie inwestycje. W skrócie: nie podoba im się fuzja Orlenu z Lotosem, a sami chcieli majątek narodowy wyprzedawać.

Czas na jubileusz. Materiał o szefie stacji. Jacek Kurski już sześć lat odbudowuje „siłę i prestiż TVP”. Przykłady? Rozpoczyna się budowa hali zdjęciowej telewizji. Kurski występuje w kasku budowlanym i się cieszy. Mówi, że hala podbije rynek i zmiażdży konkurencję.

Pegasus. Wszyscy z PiS, którzy mówili, że Polska tego programu nie ma, zostali wyspani przez Jarosława Kaczyńskiego, który potwierdził w wywiadach, że polskie służby go mają.

Orlen kupił Lotos i musiał sprzedać część stacji. Jednak to niedobrze, że Węgrom z MOL. Bo są powiązani z Rosją i Saudyjczykami. Co prawda, Tusk nie widział nic złego w sprzedaży Lotosu Rosjanom, ale to było dawno, sytuacja geopolityczna była inna i w dodatku nie sprzedal. A teraz sprzedają. Co najgorsze: sprzedaje to były wójt Pćmnia z byłą księgową z Pćmnia.

Tarcza antyinflacyjna już w Sejmie. Ludzie są zadowoleni, że paliwa tanieją. Jednak poseł Dariusz Rosati tłumaczy, że obniżka podatku na paliwa wcale nie spowoduje, że one będą tańsze dla klientów. Klienci pewnie niedobrze patrzyli na paragony. W dodatku żywność nie stanie, a przynajmniej nie od razu. Na domiar złego PiS ukradł te pomysły na

– Donald Tusk. Mówi, że to „rosyjski ład”. A przecież sam chciał sprzedać Rosjanom stację Lotosu (i drugi dzień z rzędu ten sam filmik z jego wypowiedzią sprzed lat).

Wszyscy na świecie walczą z Omikronem. Fala uderzy w Polskę. Już wkrótce. W Polsce będzie umierać więcej ludzi niż za granicą, bo mało z nas jest zaszczepionych. Trzeba się szczepić. Znowu nie wskazano winnych nieszczepienia się.

Polski sąd gromi Facebooka. Krzysztof Czaubański pozwał giganta za cenzurowanie. Sprawa utknęła, bo pozew był po polsku. Polski sąd uznał jednak, że może być po polsku. Nie wiadomo, co na to Zuckerberg. Na razie skasował profil Konfederacji. To nic, bo Ministerstwo Sprawiedliwości pracuje nad ustawą, która cyfrowym hegemonom zada bobu.

Tymczasem rząd walczy z inflacją, projekt już w Sejmie. Ale, ale! Nie zapominajmy o najważniejszym w tej sprawie – podwyżki dla Polaków to wina Donalda Tuska oraz Unii Europejskiej. Przebitki: Tusk śmieje się z Angelą Merkel (pewnie z Polaków, którym podwyższą ceny i opłaty). Jacek Sasin dodatkowo tłumaczy, że to wina Tuska i Ewy Kopacz. Bruksela grozi nam sankcjami za obniżki podatków. Totalna opozycja krytykuje tarczę antyinflacyjną. Nie pokazano, kto i jak krytykuje. Trudno. Powiedziano za to, że sam Tusk też atakuje, bo przejął strategię Palikota, czyli posługiwanie się kłamstwami dla politycznych zysków. Poza tym wykorzystuje do polityki śmierć, bo w ogrodzie Saskim uczcił ofiary pandemii, a przecież liderzy opozycji w pandemii namawiali do ulicznych protestów i sami w nich brali udział. Przebitki: brzydki, potargany Tusk na wietrze kontra majestatyczny Morawiecki na konferencji. W dodatku Tusk nie wpuszcza na konferencję dziennikarzy. A Morawiecki wciąż tak.

Wielu komentatorów twierdzi, że opozycja chce wycofać politykę społeczną. Nie wiadomo którzy. Ważne, że twierdzą. A przecież pamiętamy, co zrobił Balcerowicz: bezrobocie i nędza. Teraz ten sam Balcerowicz tłamsi Polski Ład. Przebitki: w latach 90. ludzie kupowali w sklepach „na zeszyt”. Każdy się domyśli, że teraz tak nie kupują już nigdzie w kraju. W dodatku pamiętajmy o wcześniejszej wiadomości: będzie drożej, ale każdy ma więcej „dochodu rozporządzanego”, więc więcej sobie kupi.

Na koniec powtórka pierwszej wiadomości. Tym razem zalety sprzedaży

Według „Wiadomości” TVP rząd walczy z inflacją. Najważniejsze jednak w tej sprawie jest to, że podwyżki to wina Tuska i UE

Sama? Mam nadzieję, że nie dlatego, że się na konkurencję przewróci...

Na koniec w studiu Jacek Sasin tłumaczy, dlaczego unijny program „Fit for 55” dobija Polaków, którzy będą musieli zapłacić miliardy złotych. Na pasku przypomnienie dla tych, którzy mogli zapomnieć pierwszy materiał: to „tuskowe” zabierze nam pieniądze.

12 STYCZNIA „FAKTY”

Wybijają godz. 19. Czuję, że dziś też się dowiem, iż w kraju jest źle... No i wykrałem. Pandemia, ludzie umierają, a na antyszczepionkowcach z klubu PiS to nie robi wrażenia. Wciąż dużo zakażonych, dużo zgonów, lekarzom opadają ręce. Ustawa o sprawdzaniu certyfikatów covidowych przeszła przez sejmową komisję, ale prace nad nią wstrzymało. A przecież PiS potrafi przyjmować ustawy w jeden dzień. Wiadomo, o co chodzi: posłanka Siarkowska i poseł Kowalski spotkali się z premierem – są na fotografii. Czy potrzeba to wyjaśniać?

Inne rzeczy natomiast wyjaśniać trzeba i Senat powołał komisję do wyjaśnienia nielegalnej inwigilacji programem

obniżki Koalicji Obywatelskiej. A nawet jeśli będzie taniej, to za pół roku znowu będzie drożej. Więc niby dobrze, a przecież źle. A premier nadal wszystko zrzuca na Moskwę, Brukselę i opozycję.

Breaking news. Szymon Hołownia ogłosił strategię i pogrzebał pomysł wspólnych wyborczych list opozycji. Na domiar złego Lewica być może współpracuje z PiS i Donald Tusk tak podejrzewa. Biedroń uważa, że to niedobrze, iż Tusk tak podejrzewa. A w Krakowie akurat z PiS zacznie rządzić nie człowiek Lewicy, ale Hołownia. Czyli na opozycji jest źle, ale nie wiadomo, kto w sumie winien. Chyba Hołownia.

Wiadomość rozluźniająca: mały miś błąkał się sam w Bieszczadach i ludzie się nim zajęli.

„WIADOMOŚCI”

Godzina 19.30 i zaglądam do TVP. Co też pletli w „Faktach”?! Żadna tam wyprzedają dóbr narodowych! Saudyjczycy zainwestują w Rafinerię Gdańską. Sprzedaż pakietu akcji była konieczna, by Orlen mógł połączyć się z Lotosem. I teraz czeka nas rozwój, realizacja idei Trójmorza w praktyce, realizacja myśli śp. Lecha Kaczyńskiego. Wszystko to jednak atakuje – wiadomo

30 proc. udziałów w rafinerii Saudyjsko-tumaczy już sam prezes Orlenu.

13 STYCZNIA „FAKTY”

Kolejny dzień. Dalej niedobrze. Za spór w sprawie Turowa Unia już przysłała nam ostatnie wezwania do zapłaty 15 mln euro. Jeśli nie zapłacimy, to potrąca nam z należnych nam funduszy. Polski rząd mówi, że nie powinniśmy płacić. A posłowie, tacy jak poseł Janusz Kowalski, mówią, że w sumie trzeba zrezygnować z Unii. Opozycja się obawia, że właśnie to się ziści. Wyprowadzą nas i będziemy bez otwartych granic, wsparcia pieniężnego i tak dalej...

Senacka komisja ds. afery Pegasusa zaprosi ludzi z Citizen Lab z Kanady, którzy stwierdzili, że szpiegowano tym programem Krzysztofa Breję (33 włamania na telefon) czy Romana Giertycha. Wicerezygnik PiS uważa, że to „dęta afera”, a partia rządząca nadal nie zamierza uczestniczyć w senackiej komisji. Za to partia Hołowni chce powołania w Parlamencie Europejskim komisji ds. używania Pegasusa w UE.

Sejm przegłosował „lex Czarnek”. Kuratorzy przejmą władzę nad szkołami. Minister edukacji Przemysław Czarnek się cieszy, a poseł Krzysztof Śmiszek z Lewicy martwi – dokładnie martwi się zaściankiem i katolicyzmem.

Pandemia. Rządowi antyszczepionkowcy wciąż nie zmieniają zdania. Nie chcą ustawy zobowiązującej do szczepień czy możliwości sprawdzania szczepień przez pracodawców. Przebitki ze szpitali: pacjenci, którzy się nie szczepili i teraz cierpią, mówią, że to niedobrze. Nie mówią, dlaczego się nie zaszczepili i czy by się wcześniej cieszyli, że rząd im każe to zrobić. Wyraźne niedomówienie.

Afera z Łukaszem Mejszą doprowadziła do tego, że Mejsza nie jest już wiceministrem sportu. Jednak minister sportu wciąż jest ministrem sportu. Opozycja domagała się więc odwołania Kamila Bortniczuka. Tymczasem posłowie Lewicy badali w resorcie sportu, po co on powstał. Wynik badania: po to, aby dalej była koalicja rządowa. Ależ przenikliwość!

Do Sejmu trafił projekt zakazujący zmian nazw ulic, skwerów czy parków, jeśli patronami są „wybitnie zasłużeni”. Wiadomo, że to dlatego, iż PiS nie chce zmiany ronda Dmowskiego w Warszawie na rondo Praw Kobiet. Tymczasem w Polsce są aż 32 ronda im. Lecha Kaczyńskiego, także w Bolesławcu, gdzie mieszkańcy

W „Faktach” TVN poseł Krzysztof Śmiszek martwi się, że „lex Czarnek” oznacza dla szkół zaścianek i katolicyzm

miasta nawet o tym nie wiedzą. To po co jest? Konkluzja: PiS chce wskazywać, kto był wielkim Polakiem, a kto nie.

Znów o pandemii, ale inaczej. Polscy naukowcy odkryli gen, który jest związany z ciężkim przebiegiem COVID-19. Ma go podobno aż 14 proc. Polaków. To dużo, bo średnio w Europie ma go 9 proc. Minister zdrowia wykorzystał sytuację i tłumaczy genetyką naszą dużą umieralność. Spryciarz.

Leśnicy z Krasiczyna w Podkarpackiem obiecali, że nie wytną kilkunastu wielkich drzew, a wycięli. Ludzie z Greenpeace mówią, że to jak rozbieranie Wawelu na cegły. Leśnicy tłumaczą, że wiał wiatr i jak czubek drzewa się złamał, to trzeba było wyciąć, bo by to i tak spadło. W dodatku zagrażałoby to ludziom chadającym po lesie. Pan z Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze uważa, że lepiej, jakby jednak samo spadło, bo pod takim opadniętym na ziemię konarem niedźwiedź by mógł sobie zrobić gawrę. Nie opowiedziano, ile niedźwiedzi pozostaje bezdomnych, bo nie spadają konary. Ostatecznie najistotniejsze jest to, że Lasy Państwowe wycinają drzewa i je sprzedają, więc jesteśmy okradani z pieniędzy.

„WIADOMOŚCI”

A w „Wiadomościach” na początek dobra wiadomość! Sejm przyjął tarczę antyinflacyjną. Obniżki podatków i cen energii przez pół roku. Od 1 lutego np. paliwo ma być za 5 zł za litr, najtaniej w UE. Szpitale, przychodnie, hospicja, wspólnoty mieszkaniowe zapłacą mniej za gaz, którym się ogrzewają. Ekspertci mówią, że ceny gazu i ropy rosną niezależnie od nas. Opozycja przekonuje jednak, że winny jest rząd.

No dobrze, nie jest jednak tak różowo. Rząd pomaga, a Bruksela za to nam grozi. Krótko mówiąc, „eurokraci bronią »podatku Tuska«”. Bo tarczy antyinflacyjnej nie trzeba by robić, gdyby nie parapodatek, który „coraz częściej nazywany jest »tuskowym«” (nadal nie wiadomo, kto go tak nazywa poza „Wiadomościami”). Zbigniew Ziobro uważa, że z przyjęcia pakietu klimatycznego powinna się tłumaczyć Ewa Kopacz. Tusk się na to też zgadzał, w zamian za klepanie po plecach i synekurę.

TVP również informuje o badaczach z Polski, którzy wykryli gen wpływający na ciężkie przechodzenie COVID-19. Nie ma jednak tłumaczenia ministra, że przez to może umiera tak dużo Polaków. Jest za to informacja, że to szczepienia najbardziej zabezpieczają przed ciężkim chorowaniem.

I znów o sprawie sprzedaży pakietu akcji rafinerii. Po tym, jak TVP w poprzednich dniach wszystko o tym opowiedziała, teraz opowie jeszcze o tym, co o tym opowiadają „światowe media”. Według Bloomberga dzięki temu zabiegowi Saudowie „wchodzą na rosyjskie podwórko”. Wniosek? Donald Tusk nie ma racji.

Specjalna komisja i Senat. Tylko że wcale nie ta od Pegasusa. To inna komisja bada doniesienia o mobbingu. Przesłuchano m.in. Annę Godzwon, wicedyrektor Centrum Informacyjnego Senatu, wobec której takie zarzuty miały padać. TVP przypomina, że Godzwon to była dziennikarka Polskiego Radia i pracowała w biurze prasowym Kancelarii Prezydenta Bronisława Komorowskiego, a teraz uchodzi za prawą rękę Grodzkiego. Marszałek Senatu przyznaje, że jeździła z nim na zagraniczne wizyty, ale nie zauważył żadnych rzeczy, które by świadczyły o mobbingu. Jedno zatem pewne: Grodzki nie jest ofiarą. Za to „Wiadomości” dopowiadają, że sytuacja pracowników Senatu miała się właśnie pogorszyć, gdy to on został marszałkiem.

Dzień Polskiej Wódki TVP okraśliła informacją z Sejmu. Pokazano posła Bartłomieja Sienkiewicza z PO, który „chwijnym krokiem” dotarł do Borysa Budki. A ten wziął go pod ramię i wyprowadził. Budka tłumaczył, że Sienkiewicz był trzeźwy. Inni posłowie – że „chyba zaśląbł”. Ale telewizja pokazała fragment wywiadu Sienkiewicza, którego udzielił zdalnie z domu. Widać było, że na komodzie stała butelka wódki. I wszystko jasne. Przynajmniej dla widzów.

Po trzydniowej dawce obu informacyjnych programów, które sugerują mi, że żyję jednocześnie we wspólnym kraju oraz w najgorszym kraju, z najlepszym rządem dbającym o ludzi i najgorszym rządem, który nawet, jeśli robi dobrze, to robi źle, sam poczułem się tak, jakbym coś wypił. Kręci mi się w głowie...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

facebook

Konserwatyści kontra cenzura



Paweł Zdziarski

Usunięcie profilu Konfederacji na Facebooku to tylko wierzchołek góry lodowej. Przez ostatnich kilka lat Internet przeszedł bowiem gruntowną zmianę – od oazy wolności słowa do miejsca, w którym notorycznie banowane są treści konserwatywne, prawicowe czy katolickie. Czy mamy alternatywę?

Oficjalnym powodem ocenzurowania facebookowego konta Konfederacji miało być „złamanie regulaminu dotyczącego informacji o COVID-19”. Chodzi o posty dotyczące pandemii, polityki lockdownów oraz szczepień. Kilka kolejnych prób powrotu na Facebooka kończyło się dla ugrupowania ponownym zablokowaniem.

PĘTLA SIĘ ZACISKA

Problemy Konfederacji nie są pierwszą sytuacją tego rodzaju. Kilka lat temu Facebook usunął konto Marszu Niepodległości za rzekomą „mowę nienawiści”. Podobny los spotkał kilku prawicowych polityków, a z serwisu zaczęło znikać coraz więcej konserwatywnych treści.

Nie zawsze oznacza to usunięcie danego profilu. Czasami ten proces przejawia się np. poprzez „shadow banning”, czyli metodę polegającą na obcinaniu zasięgów danego użytkownika lub innych ograniczeniach.

Do najbardziej spektakularnych przejawów cenzury w mediach społecznościowych należy usunięcie kont Donalda Trumpa, najpierw na Twitterze, a następnie na Facebooku i YouTube. Były prezydent USA zapowiedział złożenie pozwów zbiorowych przeciwko powyższemu koncernom. Twitter nie zdecydował się na podobny krok np. w przypadku oficjalnego konta talibów. To właśnie po tych wydarzeniach wiele osób zdało sobie sprawę, jak wielkim zagrożeniem dla wolności słowa jest brak kontroli nad serwisami społecznościowymi. Media kojarzone dotychczas z możliwością dzielenia się własną opinią z szerokim gronem odbiorców pod wieloma względami stały się zaprzeczeniem celu, dla którego powstały.

Wielokrotne sankcje – łącznie z usunięciem kanału YouTube – spotkały telewizję internetową wRealu24. Dziennikarze byli oskarżani o ksenofobię, mowę nienawiści, a ostatnio o głoszenie teorii niezgodnych z nauką, co wynikało np. z ostrej krytyki segregacji sanitarnej. Zdaniem redaktora naczelnego wRealu24 Marcina Roli „cenzura w sieci stała się zjawiskiem powszechnym i większość ludzi niestety się na nią zgadza”. – Rzecz jasna, chodzi tu głównie o inne poglądy.

Niektórzy uważają, że niektóre wypowiedzi nie mogą mieć racji bytu. Widać to dobitnie w przypadku lewicy i tematu pandemii, gdzie osoby o odmiennych opiniach co do walki z wirusem właściwie są wycinane i karane za poglądy. Musimy z tym walczyć, bo niedługo obudzimy się w świecie Orwella jak Smith w „Roku 1984” – ostrzega Rola w rozmowie z „Do Rzeczy”.

ZNALEŹ ANTIDOTUM

Tak głębokie ingerencje międzynarodowej korporacji w wewnętrzne sprawy krajowe często przechodzą bez reakcji rządów i odpowiednich służb. Od tej reguły są jednak wyjątki. Pierwszym krajem, który w instytucjonalny sposób postanowił stawić czoła cenzurze w sieci, jest Brazylia. Obowiązujące tam od września prawo zakłada ochronę wolności słowa w Internecie. To efekt dekretu prezydenta Jaira Bolsonaro, w lewicowo-liberalnych kręgach przedstawianego często jako dyktator i prawicowy populistę.

Pomysły ukrócenia samowoli koncernów internetowych w cenzurowaniu ich użytkowników są obecne również w Polsce. W grudniu 2020 r. Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało projekt ustawy mający na celu ochronę wolności słowa w mediach społecznościowych. Po usunięciu Konfederacji z Facebooka minister Zbigniew Ziobro zapowiedział przyspieszenie prac nad tym projektem. Podczas konferencji prasowej podkreślił,



FOT. ADRIAN STOK

że „o demokracji możemy mówić wtedy i tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z gwarancją wolności słowa i debaty”. Zachowanie Facebooka spotkało się z krytyką, nie tylko polityków i sympatyków Konfederacji. Decyzję władz serwisu potępił też czołowy działacz PiS, m.in. premier Mateusz Morawiecki i pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa Janusz Cieszyński.

– Należy przede wszystkim budować swoje własne platformy i portale, ale jednocześnie wprowadzać prawo, które penalizowałoby cenzurę ideologiczną i prewencyjną Big Tech. Sytuacja robi się naprawdę groźna, kiedy portale wycinają profile polityków legalnie wybranych w demokratycznych wyborach – ocenia Marcin Rola.

Pierwszą próbą odpowiedzi na cenzurę globalnych koncernów w naszym kraju był start serwisu Albicla w styczniu 2021 r. Obecnie posiada on ponad 80 tys. użytkowników.

„POLSKI YOUTUBE”

W połowie grudnia 2021 r. swoją premierę miał też „polski YouTube”. To właśnie w ten sposób serwis BanBye.pl jest określany przez jego pomysłodawców. – My, Polacy, mamy gen wolności zakorzeniony bardzo głęboko we krwi. Mimo że zawsze byliśmy krajem otwartym i liberalnym w stosunku do innych narodowości, w ostatnich dziesięcioleciach bardzo mocno podcięto nam skrzydła i osłabiono wiarę we własne siły

– zaznacza Adam Zięcina, prezes spółki Niezależne Polskie Media, jeden z twórców portalu. Jak dodaje, „każda próba przebicia się polskiej myśli w świecie napotyka dzisiaj zaciekle opór sił, które dysponują potężnymi mediami”.

Czy te problemy zniechęcają inicjatorów BanBye.pl? Z ich zapowiedzi wynika, że wprost przeciwnie, dodatkowo motywują ich one do działania. – To platforma wideo, która powstała z marzeń tysięcy polskich patriotów wierzących, że Polak potrafi. Jesteśmy w stanie tworzyć rzeczy wielkie, dlatego nie zamierzamy oglądać się na malkontentów i skupiamy się na ciężkiej pracy. Na BanBye.pl znajdzie miejsce każdy, niezależnie od poglądów politycznych, ale liczyć się będzie przede wszystkim polski interes narodowy – zwraca uwagę Zięcina. Podkreśla przy tym, że twórcy serwisu z pełną odpowiedzialnością zamykają się na wielomilionowy rynek zagranicznych reklam i stawiają na rodzimy rynek przedsiębiorców.

Na pytanie, czy to myślenie nie jest zbyt utopijne, współtwórca „polskiego YouTube” odpowiada, że ponad rok temu utopią było samo zainicjowanie projektu BanBye.pl. – To dopiero nasze pierwsze kroki i początek wspaniałej drogi, którą rozpoczynamy wspólnie z naszymi darczyńcami – podsumowuje Adam Zięcina.

Poza szacunkiem do wolności słowa i ochroną polskiego kapitału nowo powstały serwis ma się bronić pod względem technicznym. Nad tą warstwą czuwa dy-

rektor ds. informatycznych Paweł Kaczor. – Patrząc z perspektywy półtora miesiąca działania, mogę powiedzieć, że jestem bardzo zadowolony z tempa, w jakim rozwija się BanBye.pl. Platforma ma obecnie ponad 50 tys. zarejestrowanych użytkowników, a nowi stale przybywają. Oczywiście odwiedzających nas stale lub jednorazowo jest wielokrotnie więcej – ocenia informatyk. Mówi również o fundamentach, na których został zbudowany BanBye.pl. – Mam na myśli nie tylko wartości, którymi się kierujemy, lecz także bardziej przyziemne elementy, jak oprogramowanie stanowiące nasze zaplecze, a te są solidne. Stworzyliśmy skalowalną, przenośną infrastrukturę, która znakomicie dostosowuje się do coraz większego obciążenia ruchem sieciowym – opowiada Paweł Kaczor. Dodaje, że twórcy platformy musieli nieco zmienić swoje priorytety i mocniej skupić się na rozwijaniu transkodera. Pod tą nazwą kryje się narzędzie pozwalające przystosować materiały wideo do wyświetlania w Internecie. Musimy przyspieszyć prace, ponieważ zgłasza się do nas coraz więcej twórców, którzy chcą publikować na BanBye.pl. W innych miejscach są po prostu banowani. Naturalnie, że chcemy przyjąć ich wszystkich, więc zakasaliśmy rękawy i pędzimy im naprzeciw – przekonuje informatyk.

Możliwość publikacji to jednak nie wszystko. Chodzi też o przetrwanie, czyli o to, aby opublikowane materiały nie zniknęły z Internetu. W tym celu dyrektor BanBye.pl na najbliższym etapie rozwoju serwisu zamierza skupić się na kopiach zapasowych, czyli tzw. backupie. – Dlatego zwracamy się do naszych darczyńców o pomoc w zakupie własnych serwerów na te kopie. Nie możemy pozwolić na to, by poszukiwane przez nich nagrania zniknęły z Internetu za jednym kliknięciem na cenzorskiej klawiaturze Big Techu – apeluje Paweł Kaczor.

Walki z cenzurą nie wygra się jedynie krytyką działań koncernów internetowych. Warto wspierać inicjatywy zmierzające do poszerzenia wolności słowa. Każdy może uczynić to stosownie do własnych możliwości i na różnym polu działania: politycznym, społecznym, medialnym i osobistym. Podejmowane projekty ustaw czy tworzenie własnych serwisów internetowych to podstawa, ale na tym nie można się zatrzymać. Ostatecznie to, czy pozwolimy zamknąć sobie usta, zależy od nas samych.



FOT. ADRIAN STOK

Fundacja Avalon od 15 lat działa na rzecz osób niepełnosprawnych i przewlekle chorych. Z pomocą dociera do 12 tys. osób. Umożliwia m.in. założenie subkonta do gromadzenia darowizn z 1 proc., z których można pokrywać koszty leczenia czy rehabilitacji. Jest drugą organizacją w kraju pod względem wysokości zebranych darowizn z 1 proc. Teraz martwi się, że w 2023 r. – kiedy z fiskusem będziemy rozliczać się zgodnie ze zmianami, które wprowadził Polski Łąd – tych środków będzie znacznie mniej.

– Wynik ubiegłorocznej zbiórki 1 proc. dla podopiecznych naszej fundacji wyniósł ponad 53 mln zł. Szacujemy, że po zmianach w systemie podatkowym i przy uwzględnieniu inflacji wartość tego wsparcia może się zmniejszyć nawet o 10 proc., czyli realnie o 5–6 mln zł – mówi Krzysztof Dobies, dyrektor generalny Fundacji Avalon. Zaznacza jednak, że na razie to dopiero szacunki, które będą się starali doprecyzować.

LICZY SIĘ KAŻDY GROSZ

Z czego wynika problem, z którym będą musiały się zmierzyć organizacje pożytku publicznego (OPP)? Jeden procent podatku, który od 2004 r. możemy w zeznaniu rocznym przekazywać wybranej organizacji, jest liczony od kwoty podatku, który w danym roku

Topniejący jeden procent?



Agnieszka Niewińska

Mniejsze podatki cieszą podatników, ale nie organizacje pozarządowe. Te obawiają się, że w przyszłym roku ich dochody z corocznego odpisu w PIT znacznie się skurczą

odprowadzamy do urzędu skarbowego. Po wejściu w życie programu Polski Łąd 9 mln osób w ogóle nie będzie płacić podatku dochodowego. Zwolnieni z niego zostali emeryci z niskimi emeryturami. Nie zapłacą go najmniej zarabiający. Podniesiony został drugi próg podatkowy, więc wyższa stawka podatkowa obejmie mniej podatników. Wzrosła kwota wolna od podatku z 8 do 30 tys. zł. Co prawda, nie będziemy już od dochodu odliczać

składki zdrowotnej, ale wielu podatników i tak zapłaci mniej podatku.

– Przypuszczamy, że wpływ z 1 proc. podatku za 2022 r. spadną, choć jeszcze nie dysponujemy szczegółowymi wyliczeniami, jaka może być tego skala – mówi Łukasz Samborski, dyrektor Fundacji RC oraz współprzewodniczący Rady Działalności Pożytku Publicznego, organu doradczego działającego przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. – Zwolnienie

z podatku osób do 26. roku życia było niemal niezauważalne, jeśli chodzi o przychody z 1 proc. Tym razem, w związku ze zwiększeniem kwoty wolnej, a w szczególności ze zwolnieniem z podatku seniorów, może być inaczej. Zwłaszcza że ci ostatni są jedną z grup, która najchętniej przekazuje 1 proc. – zaznacza.

Krzysztof Dobies podkreśla, że różnica we wpływach z 1 proc. będzie odczuwalna dla podopiecznych jego fundacji. – A są to osoby nierzadko w bardzo trudnej sytuacji materialnej, dla których każda złotówka jest na wagę złota – mówi dyrektor generalny Fundacji Avalon.

Warszawska Fundacja Hospicjum Onkologiczne otacza opieką chorych onkologicznie zarówno w hospicjum stacjonarnym, jak i domowym. – Kwota z jednego 1 proc. to dla wielu organizacji, w tym naszej, jedno z większych źródeł finansowania. W naszym przypadku jest to prawie połowa darowizny, które otrzymujemy. Niezależnie od wpływów z 1 proc. i dofinansowania z NFZ każdego miesiąca musimy pozyskać dodatkowe 100 tys. zł, aby zapewnić naszemu pacjentom opiekę na poziomie, który wykracza poza standardy czysto medyczne, a także te, które możemy obserwować na oddziałach paliatywnych finansowanych jedynie przez NFZ – mówi Maja Wiśniewska z Fundacji Hospicjum Onkologiczne. Wyjaśnia, że po zmianach podatkowych to, jakie wpływy z 1 proc. uzyska Fundacja Hospicjum Onkologiczne, zależy od struktury zarobkowej jej darczyńców. – Jakie będą skutki zmian, przekonamy się w połowie 2023 r. Spadek wpływów z 1 proc. będzie dla nas ogromnym wyzwaniem fundraisingowym, szczególnie w obecnej sytuacji gospodarczej kraju. Ostatecznie może odbić się na podopiecznych i pracownikach fundacji – dodaje.

NIE PROBLEM, LECZ SZANSA?

Problem mniejszych wpływów z 1 proc. nagłaśnia portal narencie.pl. Zbiera podpisy pod petycją do ministra finansów o to, by od przyszłego roku podnieść kwotę odpisów na OPP z 1 proc. na 1,2 proc. Podkreśla, że w ostatnim czasie o ok. 15 proc. wzrosły ceny zajęć terapeutycznych i niezbędnego niepełnosprawnym sprzętu. A jeśli do tego dojdą niższe środki ze zbiorów 1 proc., to niepełnosprawni znajdą się w bardzo trudnej sytuacji.

Fundacja Avalon postuluje, by Ministerstwo Finansów przede wszystkim podjęło rozmowy z przedstawicielami organizacji pozarządowych. – Do tej

O ok. 15 proc. wzrosły ceny zajęć terapeutycznych i niezbędnego niepełnosprawnym sprzętu. A jeśli do tego dojdą niższe środki ze zbiorów 1 proc., to niepełnosprawni znajdą się w bardzo trudnej sytuacji

pory nikt z nami o zmianach w systemie podatkowym nie rozmawiał. Na stronach internetowych Ministerstwa Finansów przeczytaliśmy bardzo obiecującą deklarację o otwartości na rozmowę i dialog. Zwróciliśmy się zatem do ministerstwa z prośbą o spotkanie i rozmowę. Chcielibyśmy wyrazić swoje obawy, poszukać rozwiązania, zastanowić się, co możemy zrobić, by pozytywnie wpłynąć na jakość życia osób z niepełnosprawnościami i przewlekle chorych. Na razie jednak nikt nam na tę naszą prośbę nie odpowiedział. Nie wiemy nawet, czy ministerstwo ma już może jakieś pomysły – mówi Dobies.

Na razie resort finansów uspokaja, że za ubiegły rok w tym roku rozliczamy się według starych zasad.

Łukasz Samborski, współprzewodniczący Rady Działalności Pożytku Publicznego, podkreśla, że w najbliższym czasie Rada zajmie się tym tematem. – Skierujemy do rządu nasze rekomendacje. Z pewnością będą potrzebne działania osłonowe dla organizacji pożytku publicznego. Przykładowo mogłyby to być rozwiązania stosowane w innych krajach, takie jak zwiększenie odpisu do 1,5 czy 2 proc. podatku albo zmiany idące w stronę rozwiązań obowiązujących na Węgrzech, gdzie można odpisać po 1 proc. podatku oddzielnie dla organizacji pozarządowych i dla związków wyznaniowych – mówi.

Nie wszystkie organizacje zdały sobie sprawę z tego, że mniejsze obciążenia podatkowe mogą się odbić na ich budżecie w 2023 r. – Organizacje pozarządowe, z którymi współpracujemy, jeszcze nie zgłaszały się z obawami o mniejsze wpływy z 1 proc. podatku w związku z wprowadzeniem Polskiego Ładu – mówi Maciej Gnyszka z firmy Gnyszka Fundraising Advisors.

Zachęca NGO, by na zaistniałą sytuację spojrzęły jako na szansę. – Ludzie będą

mieli w kieszeni więcej pieniędzy, które mogą podarować organizacjom. Trzeba tylko do nich wyjść, przekonać ich do tego, że jeśli chcą mieć wpływ na otaczający ich świat, to muszą się zaangażować. Także finansowo. Wciąż jest wiele organizacji, które nie nawiązują relacji z darczyńcami, nie podejmują trudu przekonania ich do działań, które prowadzą. A 1 proc. podatku to konstrukcja, która w niewielkim stopniu angażuje darczyńców, bo przekazują organizacjom coś, co i tak musielibyśmy oddać państwu. Zresztą wciąż nie wszyscy wskazują, do kogo ma trafić ich 1 proc. podatku. Są osoby, które tego nie robią, bo wychodzą z założenia, że nic z tego nie mają, nie chcą sobie nawet zawracać głowy szukaniem jakiejś organizacji – mówi Gnyszka.

Krzysztof Dobies nie ma pewności, czy podatkowe oszczędności zamienią się w dobrowolne darowizny. – Polacy chętnie wspierają osoby potrzebujące. Trudno jednak powiedzieć, czy zechcą dobrowolnie przekierować 1 proc. w formie stałych darowizn. Tym bardziej że mówimy tu o osobach o realnie niskich dochodach. Wprowadzone zmiany na ten moment wprost prowadzą do sytuacji, w której na pewno stracą osoby najbardziej potrzebujące – mówi. Zwraca także uwagę, że takie organizacje jak Fundacja Avalon realnie wspierają osoby w trudnej sytuacji życiowej i finansowej, a tym samym przejmują ważną, opiekuńczą rolę, którą powinno realizować państwo.

Łukasz Samborski jest zdania, że jeśli dochody z 1 proc. rzeczywiście spadną, to w najtrudniejszej sytuacji będą małe lokalne organizacje i osoby potrzebujące, zbierające 1 proc. na subkonto w fundacjach. – Duże organizacje ze znaną marką mają szansę dotrzeć do mediów, nagłośnić problem, poprosić o darowizny. Ci, którzy działają lokalnie w miastach do 20–30 tys. mieszkańców, nie będą mieli szansy dotarcia do nowych odbiorców – ocenia Samborski. I choć ma nadzieję na wypracowanie korzystnego dla OPP rozwiązania, to podkreśla, że należy przekonywać podatników do wspierania organizacji choć częścią kwot zaoszczędzonych na podatkach. – Warto nagłaśniać i przekonywać obywateli, że nawet drobne, ale stałe darowizny na rzecz organizacji pozarządowych przyczyniają się do zwiększania skuteczności działań na rzecz potrzebujących. A przekazywane darowizny można odpisać od podatku w rozliczeniu rocznym.



Rody Nowego Jorku



Piotr Gociek

Stara arystokracja, bezczelni nowobogaccy, przemysłowe fortuny i wielkie społeczne zmiany: nowy serial twórcy „Downton Abbey” pokazuje narodziny potęgi Ameryki

Pani Mingott, jedna z bohaterek powieści „Wiek niewinności”, uważała, że taki Nowy Jork, jaki zna, jest skazany na zagładę. „Miała absolutną pewność, że obecne płoty, zwierzyna, parterowe bary, drewniane altanki w zachwaszczonych ogrodach i skały, z których kozy obserwują tę scenę, znikną pod naporem rezydencji tak wspaniałych jak jej dom – a może (należała do kobiet bezstronnych) nawet wspanialszych; że kocie łby, po których toczą się stare rozklekotane omnibusy, zostaną zastąpione gładkim asfaltem”. Obserwacje swe czyniła w latach 70. XIX w., kiedy to rozpoczyna się akcja arcydzieła Edith Wharton, a bogate dzielnice miasta wyglądają jak miasto

ogród: wielkie zielone połacie ziemi, a między drzewami i kwieciami rozrzucone wystawne rezydencje.

„Połączany wiek”, nowy serial Juliana Fellowesa, wprowadza nas w czas wielkiej zmiany przeczuwanej przez panią Mingott. Ameryka zaleczyła już rany po wojnie secesyjnej, dorasta nowe pokolenie; ale – co najważniejsze – pokój, ekspansja na Zachód oraz postępy industrializacji położyły fundamenty pod czasy niesłychanej prosperity. Przedstawiciele starych fortun ze zdumieniem, z niepokojem i często z pogardą patrzą więc, jak pod ich bokiem wyrastają fortuny nowe. Potęga nuworowskiej wyprawy już nie z niewolnictwa, nie z faktu posiadania wielkich połaci ziemi, lecz z handlu, z inwestycji w drogi żelazne, przemysł okrętowy, huty i tak dalej. Termin „połączany wiek” ukuty został przez genialnego kpiarza i szydercę tamtych czasów, czyli Marka Twaina. Za jego początek przyjmuje się wybuch wojny secesyjnej, za koniec jedni uważają wielki krach 1893 r., inni zabójstwo prezydenta Williama McKinleya w roku 1901.

Fellowes, twórca utalentowany i ceniony (aktor, reżyser, autor powieści, zdobywca Oscara za scenariusz do „Gosford Park” Altmana), był już

uprzednio kronikarzem zmiany. Czynił to w swym najgłośniejszym dokonaniu, czyli serialu „Downton Abbey”, do pewnego stopnia w „Belgraviu” (miniserialu na podstawie własnej powieści) oraz w pierwszym sezonie porzuconej przez Netflix serii „Angielska gra”. Akcja pierwszego odcinka „Downton Abbey” rozpoczynała się w roku 1912, tymczasem drugi film kinowy („Downton Abbey: A New Era” – premiera za kilka miesięcy) mówi już o latach 30. XX stulecia. Jakże zmieniła się Anglia podczas tych 20 lat! „Angielska gra” mówiła o końcu ery rozrywek arystokratycznych i nadchodzącej erze masowej rozrywki (sport traktując tu jako rozrywkę). „Downton Abbey” to kronika powolnego upadku, Wielka Brytania i jej imperium najpierw zadrżały w posadach wskutek pierwszej wojny światowej, potem przyszedł krótki czas „złotego popołudnia”, czyli lata 1918–1939, aż wreszcie mocarstwo zostało dobite kolejnym światowym konfliktem. Jednocześnie jest to jednak opowieść o narodzinach współczesności.

STARY I NOWY ŚWIAT

Podobnie jest w „Połączanym wieku”, dziewięcioodcinkowej produkcji, która debiutuje 24 stycznia w HBO – nowe od-



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

ciniki będą się pojawiały w tygodniowych odstępach. Oto Ameryka lat 80. XIX stulecia – gigant, który się budzi, gospodarczy potwór nabierający siły, miejsce największego w dziejach kapitalistycznego cudu. To przyszłe imperium. Siłą rzeczy patrzyliśmy więc na dużo większe pieniądze niż kurczące się zasoby rodziny Crawleyów i ich sąsiadów. „Nowe pieniądze” wchodzące w bój ze „starymi pieniędzmi” to fortuny, o jakich nie śniło się Wokulskim ani Łęckim. Mówimy o pieniądzach, które mogą zmieniać oblicze świata – a przynajmniej oblicze wielkiego kraju. Rząd dusz należy jednak do „starego Nowego Jorku”.

Po dwóch stronach Piątej Alei mieszkają dwie mocno odmienne rodziny. W starej rezydencji głowa pierwszej z nich, Agnes van Rhijn (Christine Baranski), z dumą przypomina, że jej rodzina przybyła do Ameryki w roku 1674. Za złoty wiek uważa nawet nie czasy sprzed wojny secesyjnej, ale te sprzed amerykańskiej wojny o niepodległość. Widząc nuworysy wprowadzających się do nowego pałacu naprzeciw (dzień po zakończeniu robót), komentuje: nie wiem, co gorsze, słuchać hałasujących robotników czy widzieć każdego dnia nowych sąsiadów. Jej zasady też są proste: stary

Nowy Jork spotyka się jedynie ze starym Nowym Jorkiem. Koniec, kropka.

Naprzeciw tymczasem wije sobie gniazdo rodzina Russellów. Bertha Russell (Carrie Coon) mówi do męża kładącego obute nogi na biurku: „Uważaj, ten mebel należał kiedyś do Ludwika Bawarskiego”. Mąż odpowiada z szerokim uśmiechem: „Kiedyś. Teraz należy do mnie”. George Russell (Morgan Spector) zarobił fortunę na inwestycjach w kolej, teraz czuje się już na tyle potężny (i bogaty), by rzucić wyzwanie przedstawicielom starego świata. Świata, do którego dołączyć chce jego ambitna żona. Bertha Russell marzy o wejściu do elity reprezentowanej przez rody Astorów, Vanderbiltów oraz żyjących w domu obok van Rhijnów oczywiście. Ci jednak mają dla niej jedynie pogardę; w najlepszym razie wymowne milczenie.

Linie konfliktów przebiegają także wewnątrz rodzin, bo każda z nich ma przecież swoje młodsze pokolenie, ma zaufanych pracowników, liczną służbę. Do domu van Rhijnów przybywa zrujnowana bratanica. Marian Brook (Louisa Jacobson), której ojciec zmarł, pozostawiając jedynej córce 30 dol. Marian szuka opieki u ciotek, ale nie kryje, że ma na świat zupełnie inne poglądy. Za rzecz oczywistą uważa, że podejmie pracę. Za jej sprawą u van Rhijnów pojawia się jeszcze jeden zwłastun zmiany, czarnoskóra Peggy Scott (Denée Benton). Peggy marzy o karierze pisarki, na razie będzie zarabiała na życie jako sekretarka pani van Rhijn. Jej obecność oburza część służby, bo czarnoskórzy „zabierają nam miejsca pracy”. Rzeczywiście, po wojnie secesyjnej z tą kwestią wiązały się w Stanach ogromne napięcia, wyzwolenicy i ich potomkowie szukali sobie w społeczeństwie amerykańskim nowego miejsca.

Tymczasem u Russellów ferment sieją: ambitna sekretarka pana Russella, której śni się dalece większa kariera, syn, który nie ma zbytnio ochoty na prowadzenie życia rodzinnego, oraz córka, dla której matka wyśniła przyszłość w nowojorskiej elicie i by to osiągnąć, nie cofnie się przed niczym. „Pozłacany wiek” to serial o ludziach bezlitosnych, nieważne, czy mówimy o starych czy nowych pieniądzach. Im dłużej oglądamy serial Fellowesa (krytykom do recenzji udostępniono pięć odcinków), tym jaśniej się staje, że ten brak skrupułów nie jest zarezerwowany jedynie dla przeciwników w biznesie lub nielubianych

pretendentów do socjety. Także członkowie rodziny padają ofiarami polityki żelaznej pięści w aksamitnej rękawiczce. No i oczywiście liczą się pieniądze, pieniądze, pieniądze – one rozwiązują niemal każdy problem.

OPOWIEŚĆ O ELICIE

W odróżnieniu od „Downton Abbey”, gdzie historię Crawleyów w dużym stopniu oglądaliśmy z punktu widzenia ich służby, „Pozłacany wiek” to przede wszystkim opowieść o elicie. Zrecznie napisana, dobrze zagrana, opowiedziana z większym rozmachem. Próbką dialogu: podkochujący się w córce Russellów młodzian przychodzi do jej ojca i mówi: „Zapewne chciałby pan wiedzieć, jakie są moje zamiary”. „Jesteś zbyt młody, by mieć zamiary” – odpowiada pan Russell. Wszystko tu jest na poziomie, wszystko toczy się wartko, a jeśli problemy głównych bohaterów zdają nam się niezbyt oryginalne, to wiemy nie Juliana Fellowesa, lecz klasyków literatury, którzy wcześniej nam o podobnych sprawach opowiadali. Henry James, Edith Wharton, John Galsworthy, do pewnego stopnia Tomasz Mann – u wszystkich jest Fellowes jako pisarz zadłużony, także u Jane Austen czy Anthony’ego Trollope’a.

Czy „Pozłacany wiek” stanie się fenomenem na miarę „Downton Abbey”? Nie sądzę, pewne rzeczy wydarzają się tylko raz. Oglądając pierwsze odcinki, miałem także wrażenie, że jest to opowieść chłodniejsza od historii Crawleyów, że mniej tu postaci, którym mamy ochotę kibicować. Nie znam jeszcze pierwszych recenzji, ale domyślam się, że zgodnie z obowiązującymi dziś wytycznymi ideologicznymi pojawią się pretensje, że zbyt mało jest to wszystko postępowe. Julian Fellowes snuje bowiem swe opowieści z taktowaniem brytyjskiego dżentelmena, pewne rzeczy pozostawiając w domyśle, w zawieszeniu, a dziś wszyscy domagają się dosłowności i walenia cepem po oczach.

Dla mnie była to bardzo przyjemna odmiana po przesadnie krzykliwych, na siłę oryginalnych i przekombinowanych narracyjnie dokonaniach wielu dzisiejszych twórców seriali królujących w streamingu. Do „Pozłacanego wieku” pasuje zaś określenie „dobra robota w starym stylu”. Czy traktować to jako pochwałę czy jako zarzut – każdy zdecyduje sam. Mnie bliżej jest do pierwszego punktu widzenia.



O Wandzie, która (bardzo) chciała Niemca



Dariusz Wieromejczyk

Wyprodukowany przez niemiecką telewizję „Dezterer” powieła wiele krzywdzących i antypolskich stereotypów. Serial sprzedano do licznych telewizji na całym świecie, pod angielskim tytułem „Turncoat” można go było zobaczyć choćby w ofercie Amazon Prime

Wyprodukowany przez niemiecką telewizję ARD w roku 2020 czteroodcinkowy serial „Dezterer” („Der Überläufer”) cieszył się w Niemczech umiarkowanym powodzeniem. Nie osiągnął wprawdzie

takiego sukcesu jak „Nasze matki, nasi ojcowie” telewizji ZDF (ok. 7 mln widzów), ale 4,5 mln oglądających trudno nazwać wynikiem rozczarowującym. Film sprzedano do licznych telewizji na całym świecie, pod angielskim tytułem „Turn-

coat” można go było zobaczyć choćby w ofercie Amazon Prime. Zrealizowany na podstawie powieści Siegfrieda Lenza pod tym samym tytułem serial od początku był projektem budzącym ożywione dyskusje. Książka napisana została w roku 1951, jednak autor za życia nie zdecydował się na jej publikację. Wydana w roku 2016, dwa lata po śmierci Lenza, „kontrowersyjna” powieść szybko doczekała się ekranizacji. Do zrozumienia natury tych kontrowersji niezbędne będzie streszczenie akcji serialu. Za zabieg ten muszę czytelnika z góry przeprosić. Inaczej niż w przypadku „Naszych matek...” polski widz nie miał okazji zobaczyć filmu, choć, co może

„Dezerter” opowiada o losach niemieckiego żołnierza, ok. 30-letniego Waltera Proski, i jego polskiej kochanki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jąc Niemca, opowiada mu też o dramacie własnej rodziny. Jej ojciec, po tym, gdy do wsi weszli żandarmi, szukając broni, schował się do szafy. „Ale kiedy znaleźliśmy się znowu w pokoju, gdzie stała szafa, ojciec zakasał. Wtedy jeden z żandarmów wyjął pistolet i cztery razy strzelił w szafę”. Walter kwituje tę opowieść filozoficznym: „Niedługo będzie po wszystkim”.

Wanda okazuje się żołnierką polskiego podziemia, przewożącą w swoim bagażu dynamit. Podczas rewizji pociągu udaje się jej uciec, a niedługo potem sam pociąg zostaje wysadzony w powietrze za pomocą podłożonych na torach min. Walter, jako jedyny ocalony, dołącza do niewielkiego oddziału niemieckiego, stacjonującego w lasach nieopodal Grajewo. Zadaniem oddziału jest walka z polskimi partyzantami.

Niebawem, podczas patrolu, Walter znowu spotyka Wandę. Tym razem uzbrojona dziewczyna bez ogródek przedstawia się jako partyzantka, po czym uwodzicielsko bierze go za rękę, prowadzi na ukrytą polankę (partyzantka znajomość leśnych ostępów) i ochocho obdarowuje swym ciałem. Warto zauważyć, że dziewczyna (grana przez polską aktorkę Małgorzatę Mikołajczak) jest ładnie opalona, z jasnymi śladami kostiumu kąpielowego. Najwidoczniej żołnierki polskiego podziemia w chwilach wolnych od wysadzania torów nie unikały kąpieli słonecznych.

Po obustronnie satysfakcjonującym akcie miłosnym para kochanków rozstaje się, z obietnicą ponownego spotkania. Walter, na patrolu, zabija młodego partyzanta, spacerującego po lesie niczym beztróski jelonek. Nie wie jeszcze, że zabił brata swej ukochanej Wandy. W międzyczasie dowódca Niemców uśmierca też księdza, który nie wiedząc czemu zapuścił się w leśne ostępy. Zbliża się dramatyczny zwrot akcji.

Na następnym spotkaniu nieświadoma jeszcze losu brata Wanda, za nic mając zasady konspiracji, informuje kochankę o przewadze liczebnej partyzantów, o opuszczeniu posterunków przez sąsiadujące oddziały niemieckie i nadchodzącym ataku. Ten będzie nieuchronny, gdyż Niemcy zabili księdza, a za zabijanie kapłanów partyzanci mszczą się okrutnie. Dziewczyna składa kochankowi propozycję. Dowódca oddziału jest jej ojciec. Historia o przestrelonej szafie była najwyraźniej próbą wzbudzenia

w Niemcu kolektywnego poczucia winy. Jeśli Walter zdezerteruje, to ojciec daruje mu życie. Choć Walter odrzuca ofertę, to z niedoszłym teściem przyjdzie się mu niebawem spotkać.

Już pierwsza wspólna scena z niemieckim żołnierzem kończy się namiętym pocałunkiem i niedwuznaczną obietnicą kolejnego spotkania

Polacy spełniają zapowiedź Wandy i rozbrajają oddział Waltera, ojciec Wandy staje naprzeciw mordercy syna. Siwo-łosy starszy pan przystawia Walterowi pistolet do czoła, by po chwili namysłu zostawić jeńca córce. To do Wandy należeć będzie decyzja o karze. Ta, pomna miłosnych uniesień, strzela jeńcowi nad głowę i puszcza wolno. Błąkający się po polach oszołomiony Walter trafia do rosyjskiej niewoli. Jesteśmy jednak dopiero w połowie serialu. Najciekawsze dopiero przed nami.

W SOWIECKIM MUNDURZE

W niewoli Walter spotyka dawnego kolegę z wojska, który w sowieckim mundurze rekrutuje kolegów do współpracy z organami NKWD. Zabiedzony jeniec łatwo daje się zwerbować. Pod okiem demonicznego rosyjskiego oficera – NKWD-zisty – zaczyna służyć Rosjanom, zakłada rosyjski mundur i, obwołany przez Sowietów po newralgicznych punktach frontu, przez megafon namawia broniących się żołnierzy niemieckich do kapitulacji. Po jednej z takich akcji rosyjski oficer postanawia go wynagrodzić.

Walter zaproszony jest do pałacyku, w którym stacjonują rosyjscy oficerowie. Wewnątrz trwa dzika popijawa NKWD-zistów. Bawią się sami Rosjanie – setka pijanych mężczyzn w sowieckich oficerskich mundurach. Pałac jest już zdewastowany, kieliszki po toastach rozbijane na podłodze. Rosjanie, pijani, uczują wśród pijackich przyśpiewek i krzyków. Nagle w tłumie Sowietów pojawia się samotna, ubrana w seksownie odsłaniającą pletcy suknię kobieta. To Wanda. Niedawna żołnierka polskiego podziemia śpiewa pijanym NKWD-zistom piosenkę z repertuaru Hanki Ordonówny „Miłość ci

być zaskoczeniem, miał okazję za niego zapłacić.

WANDA I WALTER

„Dezerter” opowiada o losach niemieckiego żołnierza, ok. 30-letniego Waltera Proski. Spotykamy go w roku 1944, kiedy w ponurym nastroju wraca do swojej jednostki na froncie wschodnim. W pociągu spotyka dziewczynę, Polkę imieniem Wanda. Nasza rodaczka różni się jednak diametralnie od swojej legendarnej imienniczki. Już pierwsza wspólna scena z niemieckim żołnierzem kończy się namiętym pocałunkiem i niedwuznaczną obietnicą kolejnego spotkania. Zalotna dziewczyna, kokietu-

„wszystko wybacz”. Nawiasem mówiąc, wykorzystanie akurat tej piosenki, wydaje mi się, nawet na tle pozostałych przekłamań „Dezertera”, podłością wyjątkowo paskudną. Po występie Rosjanie biją brawo, a obecny na sali sowiecki generał przemawia: „Towarzysze, na wojnie nie ma niczego pięknego – oprócz sztuki. Oswobodziliśmy Polskę i uratowaliśmy Wandę Jakubówną od faszystowskiej plagi”.

Kiedy Rosjanie po toaście śpiewają „Międzynarodówkę”, Wanda i Walter oddalają się do jej pokoiku. Puszczając w niepamięć zastrzelonego brata, nieuchronnie lądują w łóżku. Nad ranem, gdy Wanda jeszcze śpi, Walter znajduje w szafie pliki pisanych cyrylicą listów. „Co to jest?” – pyta. „Listy miłosne, wiersze, propozycje małżeństwa” – odpowiada dziewczyna spod kołdry. „Codziennie mogłabym poślubić trzech radzieckich oficerów”. „Dlaczego tego nie zrobiłaś?” „Nie było odpowiedniego” – odpowiada eksparyzantka z szelmowskim uśmiechem. Na pytanie, skąd wzięła się otoczona wianuszkami Rosjan, Wanda udziela ciekawej odpowiedzi: „Gdy mieli mnie rozstrzelać, zaczęłam śpiewać hymn. Zatrzymał się pewien oficer, posłuchał i tak tu trafiłam. Tak jak ty. Zdrajczynie, ale żywa”.

Po upojnej nocy kochankowie postanawiają uciec razem z sowieckiego „pałacu szczęścia”. Zanim do tego dojdzie, Wanda wykona przed swoimi rosyjskimi wielbicielami kolejny brawurowy występ. Tym razem w haftowanej na ludowo sukience zaśpiewa i zatańczy „Kalinkę”, przyjętą przez czekistów równie entuzjastycznie jak wiekopomny przebój Ordonki.

W następstwie nieudanej próby ucieczki Wanda szczęśliwie nie pojawi się już na ekranie aż do końca czwartego odcinka. Wtedy to Walter, w roku 1956, cieszący się szczęśliwym życiem rodzinnym w Hamburgu, u boku przyzwoitej niemieckiej hausfrau z dwojgiem udanych dzieci, zobaczy kochliwą Polkę w telewizji, śpiewającą „Miłość ci wszystko wybacz” (znowu!), już jako gwiazdę polskiej estrady na gościnnych występach. Telewizyjny prezenter zapowiada ją słowami: „Nic tak nie łączy i nie koi jak muzyka. Mroczna przeszłość odsunęła nas od sąsiadów”. Rzeczywiście.

ANTYPOLSKIE STEREOTYPY

Godnym uwagi aspektem serialu „Dezserter” jest niewątpliwie wątek śląski. W niewielkim oddziale Wehrmachtu

Ślązaków jest aż dwóch. Obaj pochodzą z Gliwic. Pierwszy, Stanisław (!) Paputka, ginie na samym początku akcji. Drugi, nazwiskiem Zwiczosbirski, przedstawia się naszemu bohaterowi w następujący sposób: „Jesteś Polakiem? – Nie jestem żadnym zakichanym Polakiem, tylko Ślązakiem”. Zwiczosbirski mówi dobrze po polsku, a swojego kolegę, Stanisława, opłakuje wypowiedzianymi po polsku słowami: „O mój Boże, Stani! Stani! Co oni Ci zrobili? O mój Boże. O Jezusieńku, mój świętusieńki”. Zwiczosbirski okazuje się znakomitym żołnierzem, który nienawidzi polskich partyzantów, urządzając na nich w lesie regularne polowania. Co prawda, łamie dyscyplinę, ale przynosi ze swoich wypraw zdobyczne karabiny i opowiada, jak to z zasadzki zastrzelił Polaków idących leśną ścieżką. W dalszej części filmu Zwiczosbirski wdzierając się do kościoła z zarekwirowanym miejscowym rybakom dorodnym szczupakiem, rzuca nim w figurę ukrzyżowanego Chrystusa i wygłasza zdumiewający monolog o nieobecności milczącego w świecie Boga. Dla widzów pamiętających Gustlika taki obraz polskich Ślązaków będzie stanowić nieprzyjemne zaskoczenie. Na temat roli szczupaków w obrzędowości religijnej ziemi gliwickiej nie udało mi się niestety znaleźć żadnych pomocnych informacji.

Znalazłem ich natomiast sporo na temat antypolskich stereotypów, obecnych od końca XIX w. w kulturze i kinie niemieckim. Jednym z nich jest postać „lusterne Polin” – lubieżnej Polki, niepanującej nad swoją seksualnością, łatwej, a zarazem niebezpiecznej kobiety, będącej jaskrawym przeciwieństwem cnotliwej niemieckiej żony. Jak pisze Jerzy Maśnicki w książce „Niemy kraj. Polskie motywy w europejskim kinie niemym” o filmie „Kloster bei Sendomir” (1912), film ten jest „ważkim świadectwem krzepnącego w kinie stereotypu, który przez kolejne lata każe postrzegać polskie kobiety jako prowokujące kusicielki i namiętne kochanki. Nie do końca odpowiedzialne za własne postępowanie, ale przez to mocniej wpisane w melodramatyczny schemat”.

Wizerunek ten przetrwał epokę kina niemego i utrwalił się jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Jak pisze w swojej pracy, poświęconej wizerunkowi



REŻ. FLORIAN GALLENBERGER
„DEZERTER”
NIEMCY/POLSKA
2020

Polaków w niemieckim kinie, doktor habilitowany Andrzej Dębski: „w filmie »Kampf um die Heimat« (»Walka o ojczyznę«) Jamesa Bauera z 1921 r. do głosu dochodził stereotyp pięknej Polki: w przededniu III powstania śląskiego młody górnik poznał uroczą dziewczynę, która namawiała go do walki przeciw Niemcom. Jej urok sprawił, że porzucił on swą rodzinę i przyłączył się do Polaków. Chłopak szybko poznał jednak »prawdliwe« intencje dziewczyny i wrócił na »słuszną drogę«, wspierając

oddziały niemieckie”. „Dezserter” wprowadza do tego stereotypu nową jakość, każąc Walterowi przyłączyć się do Armii Czerwonej wraz ze swoją polską kochanką. Nie wiem, czy można nazwać taką korektę istotną zmianą na lepsze.

Jeśli zaś przeanalizować przedstawiony w „Dezserterze” obraz polskiego podziemia, to znajdziemy tu pochodzący od czasów Fryderyka II stereotyp „europejskich Irokezów”. Partyzanci walczą w grupach rodzinnych, dzieci służą pod wodzą ojców, są religijni, niedyskretni i niezorganizowani. Wymierzanie sprawiedliwości jest dziedziną ich kobiet – namiętnych kochanek i wojowniczek. Nieprzypadkowo recenzja z filmu zamieszczona w piśmie „Der Spiegel” zatytułowana była „Apokalypse Now an der Ostfront”. Partyzanci nie strzelają wprawdzie z łuków, ale skojarzenie niemieckiego krytyka z „Czasem Apokalipsy” jest jak najbardziej uzasadnione.

W serialu występują polscy aktorzy, z których najbardziej widoczna jest odtwórczyni roli Wandy – Małgorzata Mikołajczak. Muzykę do filmu skomponował Antoni Łazarkiewicz, za zdjęcia odpowiadał polski operator Artur Reinhart, scenografię współtworzyła Magdalena Dipont i Robert Czesak. Obóz jeniecki dla Niemców zagrał spichlerz Twierdzy Modlin, który u Andrzeja Wajdy, w „Panu Tadeuszu”, był zamkiem Horeszków. W filmie zobaczymy też pałac w Bożkowie, znany widzom „Dreszczy” Wojciecha Marczewskiego.

Serial „Dezserter” dofinansowany został przez Polski Instytut Sztuki Filmowej sumą siedmiu milionów czterystu czterdziestu pięciu tysięcy złotych (7 445 000) z programu zachęt finansowych dla producentów audiowizualnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKO

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

prime video



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Uciekaj, dzieciaku



★★★★★
REŻ. GEORGE CLOONEY
„BAR DOBRYCH LUDZI” („THE TENDER BAR”) USA 2021

wyst. Ben Affleck, Tye Sheridan, Daniel Ranieri

Mały JR jest synem radiowego DJ-a, który porzucił rodzinę (ojciec jest dla niego głównie głosem w radiu). Dorasta w ubogiej części Long Island, bo wraz z mamą w trudnych czasach schronili się w domu dziadków. Marzy o karierze pisarza. Zachęca go do tego wujek – bardzo dobra rola Bena Afflecka – prowadzący bar Dickens (nazwany ku czci autora „Olivera Twista”). Mama życzy mu kariery prawnika. Ale na dobrą uczelnię droga daleka, nikt w rodzinie nie ma pieniędzy.

Ciekawe historie przydarzają się tylko tym, którzy potrafią o nich ciekawie opowiadać. Książka J.R. Moehringera „Bar dobrych ludzi” była bardzo ciekawą opowieścią o rzeczach raczej codziennych: dorastaniu bez ojca,

ubogiej rodzinie, ekscentrycznych osobnikach, marzeniach o lepszym życiu. Mnóstwo w niej było anegdot, postaci drugo- i trzecioplanowych – całe to bogactwo musiało zniknąć w adaptacji, bo film ma swoje prawa, nie da się pokazać wszystkiego. Za adaptację zabrał się William Monahan (Oscar za „Infiltrację”), reżyserem został George Clooney.

Książka była świetna, natomiast „Bar dobrych ludzi” w wersji filmowej zamienił się w danie umiarkowanie ekscytujące. Brakuje mu wyraźnej linii dramatycznej, brakuje ostrych fabularnych zakrętów, brakuje wyzwania. Dobrze przypomnieć sobie, że są w świecie miejsca pełne ludzi życzliwych, nawet jeśli niezbyt spełnionych i walczących z własnymi słabościami, ale herbata od słodzenia nie robi się smaczniejsza.

Jeśli warto obejrzeć film Clooneya, to dla aktorów. Oprócz świetnego Afflecka dobrze tu wypadli Tye Sheridan (jako nastoletni JR) oraz Daniel Ranieri (małoletni JR). Drugim planem rządzi Christopher Lloyd (zgrzyliwy dziadek o złotym sercu), który grał niegdyś profesora Browna w trylogii „Powrót do przyszłości”, oraz Lily Rabe jako pogubiona w życiu mama JR-a. Warto też odnotować, że to jeden z nielicznych w ostatnich czasach obrazów, które zamiast dekonstruować american dream, przypominają: nawet syn biedaków (białej hołoty, jak ich niektórzy określają) może do czegoś dojść, jeśli ma talent oraz upór. Nie jest to podróż od pucybuta do milionera, ale od gazeciarza do Pulitzera. Też nieźle. ©©



NOWE SERIALE: „ARCHIWUM 81”

Dan Turner (Mamoudou Athie), spec od ratowania zawartości sfatygowanych starych kasety wideo, zostaje wynajęty przez tajemniczą korporację, by oczyścić kolekcję amatorskich nagrań ocalałą z pożaru. Lukratywne zlecenie okaże się podróżą w świat grozy i paranoi. Kto zamieszkiwał zniszczoną kamienicę: zwykli ekscentrycy

czy wyznawcy niebezpiecznego kultu? Dlaczego strawiły ją płomienie? „Archiwum 81” to trzymające w napięciu skrzyżowanie „Dziecka Rosemary” i horrorów typu „Blair Witch Project”. Jednym z producentów jest James Wan. ©©

• sezon 1 „Archiwum 81” („Archive 81”), USA 2021, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Nicholas Jarecki
„Kryzys” („Crisis”), Kanada/Belgia 2021

CANAL+

• reż. Philipp Yuryev „Wielorybnik” („Kitoboy”), Rosja/Belgia 2021

HBO

• sezon 4 „Ozark”, USA 2021

HBO

Pożar mózgu

KINO

Prowokacja, niestety. Poprzedni film Julii Ducournau traktował o wegetarianie nawracającej się na kanibalizm. W Cannes przyznano mu drugorzędną nagrodę FIPRESCI. Rozżalona Francuzka poszła więc na całość, tworząc fabułę o morderczej hostessie, która kopuluje z samochodem i zachodzi w ciążę. Upór doceniono, tym razem wróciła do domu ze Złotą Palmą. Sukces tym bardziej godny uwagi, że autorka „Titane” wcale nie stara się przypodobać odbiorcom. Wręcz przeciwnie: z rozmysłem atakuje ich poczucie estetyki ostentacyjną wulgarnością, widokiem katowanych i zużytych ciał tudzież bezrozumną agresją, przypisywaną – jak się okazuje niesłusznie – wyłącznie panom



★★★★★

REŻ. JULIA DUCOURNAU
„TITANE”
FRANCJA/BELGIA
2021

wyst. Agathe Rousselle, Vincent Lindon, Garance Marillier

z nadmiarem testosteronu. Główna bohaterka wzbudza antypatię od pierwszego wejścia. Była socjopatką, zanim jeszcze wstawiono jej do głowy metalową płytkę. Czynn timer zalcza patriarchy, ale jako feministka grzeszy brakiem konsekwencji: zabija również kobiety. Tak naprawdę Alexia

jest stworzeniem transpłciowym, do człowieka podobnym tylko z wyglądu. Gdyby oboedrzeć „Titane” z warstwy sadomasochizmu, okazałaby się infantylną opowieścią o szukaniu miłości oraz przytulnego miejsca. Doceniam poświęcenie aktorki amatorki, lecz sądzę, że poszło na marne. Za parę lat nikt już nie będzie o skandalu z Cannes pamiętał. Z wyjątkiem strażaków. ©

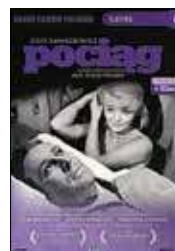
Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIEZNAJOMI Z POCIĄGU

cdm



★★★★★

REŻ. JERZY KAWALEROWICZ
„POCIĄG”
POLSKA 1959

wyst. Lucyna Winnicka, Leon Niemczyk, Zbigniew Cybulski

Ciekawa rzecz. Z twórczości urodzonego 100 lat temu Jerzego Kawalerowicza najbardziej ceniony jest „Pociąg”. Film wyprany z polityki, bezczelnie ignorujący istnienie Polski Ludowej (fakt, że wymyślił go aktywista PZPR, daje do myślenia) i wręcz ponadczasowy. Dziś, co prawda, podróż nad Bałtyk trwa krócej, ale wciąż trafiają się obywateli zabierający na wakacje duży bagaż doświadczeń. Zagubiona Marta i rozkojarzony Jerzy chcieli samotności. Los zrzucił inaczej – wylądowali w jednym przedziale wagonu sypialnego Orbisu. Widzów też czekała niespodzianka. „Pociąg” zanim się rozpędzi, sprawia wrażenie rozmemłanego melodramatu, potem zbliża się do kryminału w stylu Hitchcocka, by dojechać do stacji Moralitet. Nakręcenie takiego filmu w roku 1959 było nie lada wyczynem technicznym, dlatego składam hołd ceniom mistrza Jana Laskowskiego, którego portal filmweb.pl nazywa „litewskim operatorem”.

HELLO, SIDNEY!

KINO



★★★★★

REŻ. MATT BETTINELLI-OLPIN, TYLER GILLET
„KRZYK”
(„SCREAM”)
USA 2021

wyst. Melissa Barrera, David Arquette, Jenna Ortega

Slasher autoironiczny. Do miasteczka Woodsboro wraca seryjny zabójca w halloweenowej masce ducha. Wes Craven z radości przewraca się w grobie, bo hołd składają mu ludzie, których nie było jeszcze na świecie, gdy zaczynał kręcić straszne filmy. Kłopot w tym, że Ghostface to rzeźnik wyrafinowany, a współczesna młodzież jest słabo ogarnięta. Chcąc zastopować masakrę, scenarzyści nie mieli innego wyjścia, jak wezwać na pomoc weteranów cyklu: pocziwego szeryfa, drapieżną reporterkę telewizyjną tudzież nieustraszoną Sidney. Ba, pojawia się nawet widmo jej dawnego chłopaka! Pociętnym sytuacjom i dialogom towarzyszą realistyczne sceny mordów. Od pierwszego „Krzyku” minęło ćwierć wieku, a zasady, których powinni przestrzegać bohaterowie horrorów (jeśli chcą dotrzeć do napisów końcowych), są wciąż takie same. Jedną z nich brzmi: „Uważaj, oni zawsze wstają”. © **Wiesław Chełmniał**

GRA TYGODNIA: „EXPEDITIONS: ROME”

Dość solidne historyczne RPG w realiach starożytnego Rzymu, w którym spotkamy postaci znane z podręczników historii. Podbijając kolejne ziemie, musimy wykazać się zmysłem taktycznym podczas turowych bitew, ale ważny jest też nasz zmysł polityczny, który pozwo-

li przewidzieć skutki podejmowanych przez nas decyzji. Bo mają one poważne konsekwencje i wpływają na zakończenie gry. Fajnie, jednak kłopot w tym, że przejście „Expeditions: Rome” zajmuje jakieś 50–60 godzin, a gra nie zachęcała mnie do poświęcania jej jeszcze

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



więcej czasu, aby próbować różnych finałowych scenariuszy. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** RPG
• **Platforma:** PC
• **Producent, wydawca:** Logic Artists, THQ Nordic/Nordic Games

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wileńska plejada

Teresa Bochwic napisała książkę chwały swojego ojca – Witolda Rudzińskiego, kompozytora, twórcy oper (m.in. „Odprawa posłów greckich”) i utworów dla dzieci, miłośnika i znawcy dzieł Moniuszki, teoretyka i popularyzatora muzyki, pedagoga, ważnej postaci powojennego życia kulturalnego. Szczegółowo opowiedziała o jego długim, jakże ciekawym, ale i obfitującym w dramatyczne wydarzenia życiu, gęsto cytując bezcenne wspomnienia ojca, które w porę nagrała. Nie przeoczyła, zapewne, żadnej z licznych jego zasług, przekonująco wyjaśniając motywy tych czynów, odnośnie do których żywić można niejakie wątpliwości. Zadbala o piękną szatę graficzną edycji, słowem: zbudowała swemu rodzicielowi pomnik – jak na dobrą i utalentowaną córkę przystało. Ale zrobiła coś jeszcze. Do spółki – jeśli tak można rzecz ująć – z Witoldem Rudzińskim stworzyła ze słów jeden z najpiękniejszych obrazów Wilna, z którym kiedykolwiek się zetknąłem, a że na punkcie tego wyjątkowego miasta mam, czego nie ukrywam, niezłą szajbę – nie mało ich widziałem.

Witold Rudziński nie był wilniukiem z urodzenia, urodził się bowiem w Siebieżu pod Witebskiem. Pod Ostrą Bramę przyjechał już w wolnej Polsce, w 1922 r. Tu ukończył szkołę, Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta, konserwatorium, Uniwersytet Stefana Batorego, zdobył dwa dyplomy – muzyczny i slawistyczny, współpracował z Polskim Radiem, prowadził szkołę muzyczną w Świecianach. Pochłaniał książki, uczył się języków, zdobył ogromną wiedzę. W trudzie, bo naukę traktowano wtedy poważnie i „nauczycielom nie przychodziło do głowy, że dwójka może obniżyć ocenę szkoły”. To dlatego po wojnie ludzi



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

z przedwojenną maturą traktowano tak jak dziś absolwentów Uniwersytetu Harvarda. A absolwentem wileńskiego gimnazjum, które ukończył Rudziński, poza Miłoszem, był także jeszcze jeden noblista, mikrobiolog Andrzej Wiktor Schally (syn Kazimierza, generała Wojska Polskiego, szefa gabinetu prezydenta Mościckiego).

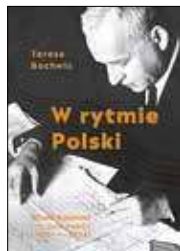
Przywołuję to ostatnie nazwisko nieprzypadkowo. Otóż wizerunek Wilna autorstwa Teresy Bochwic i jej ojca zbudowany jest przede wszystkim z niezliczonych historii o ludziach tamtego miasta. To oni przyczynili się do powstania wielkości Wilna – było nie było, stolicy, ale jakże prowincjonalnej przecież – i jego legendy. Niezwykła przyroda, wspaniałe kościoły – tak, ale to do tych, którzy chodzili po wileńskich zaułkach, po Zarzeczcu, Antokolu, po placu Łukiskim, po Mickiewicza (ulicy po staremu jeszcze Jerkiem zwanej, od nazwy Świętojerskiego Prospektu), można by odnieść znany cytat z „Traktatu poetyckiego”: „Nigdy nie było tak pięknej plejady...”.

„Młodzież polska każdego pokolenia – powiedziała Witold Rudziński – zwykle niechętnie czytywała książki, których należało uczyć się na pamięć. Mam na myśli »Pieśń o ziemi naszej« Wincentego Pola. »A czy znasz ty, bracie młody, te pokrewne twoje rody...« itd.

Zdawałoby się, częstochowskie rymy. Pol był geografem, potrafił w krótkich słowach zrobić fantastyczną charakterystykę. Żmudzi- na i Litwina tak charakteryzował: umie być wdzięczny, ale krzywdy nie zapomni do grobowej deski. O Polakach nie da się powiedzieć, że umieją zawsze być wdzięczni”. Tak że bohater książki Teresy Bochwic, na ogół krytyczny wobec Litwinów (nie zapomniał straszących tam jesienią 1941 r. plakatów z napisem: „Hitler Isvaduotojas”, czyli „Hitler Zbawiciel”), potrafił docenić ich zalety. Podobny był jego stosunek do innych nacji. Co charakterystyczne, jego postawa wobec Żydów była pozbawiona wszelkiej antypatii, nazwać by ją można wręcz filosemicką (swoją drogą, wydaje się aż niewiarygodne, jak wielu wybitnych polskich muzyków miało pochodzenie żydowskie), co nie przeszkadzało mu, opowiadając, wielokrotnie mówić o „Żydówcach”, co współcześni poprawnościowci idioci uznają za grzech bez mała śmiertelny.

Po wojnie Rudziński, jako dyrektor departamentu muzyki w Ministerstwie Kultury, jeździł na Ziemie Zachodnie, by m.in. inwentaryzować fortepiany. Gdy córka spytała, czy nie było jakoś głupio korzystać z poniemieckiego mienia, odrzekł: „Nie, nie było głupio. Niemcy zrujnowali nam kraj, wymordowali kilka milionów ludności, przyczynili się do utraty połowy terytorium, a z kolei Sowietnicy wywieźli zasoby przemysłowe Górnego i Dolnego Śląska”. I tyle.

Witold Rudziński zmarł w 2004 r., dożył 91 lat. Nad jego fortepianem zawsze wisiał wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Za Miłoszem, którego znał, cenił, choć niekoniecznie lubił, mógł powtórzyć: „Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać...”. ©



★★★★★
TERESA BOCHWIC
„W RYTMIE
POLSKI. WITOLD
RUDZIŃSKI –
ŻYCIE TWÓRCY
(1913–2004)”
POLSKIE
WYDAWNICTWO
MUZYCZNE,
KRAKÓW 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Po końcu świata

Atomowa wojna trwała dwa miesiące. Po niej przyszła zaraza zwana mobilną wściekizną. Dawny porządek zniknął, mocarstwa upadły, narody wyginęły. Nie wszystkie. W cudem ocalałej Japonii odrodziło się cesarstwo. Dekady później młoda futurolog etnograf wyrusza na wyprawę ku ziemiom należącym kiedyś do Rosji, a teraz służącym Japonii jako więzienie i teren buforowy między cywilizacją a spustoszonego kontynentem.

Eduard Wierkin maluje w postapokaliptycznej „Wyspie Sachalin” obraz przerażający, ale przecież wywiedziony ze smutnych doświadczeń gatunku ludzkiego. Po Auschwitz, po Gułagu, po wielu innych wydarzeniach wiemy, że ludzki gatunek nie zna granic w wyrządzaniu bliźnim krzywdy, że nie ma takiej decyzji, której nie dałoby się uzasadnić „ideowo” lub przynajmniej „politycznie”. I że nie ma ceny, której za przetrwanie byśmy nie zapłacili, szczególnie gdy do płacenia można zmusić innych.

Młoda badaczka Lilak wędruje więc przez kolejne wyspy pełne katorżników, wyzwolenców zamienionych w dożywotnich osadników, pełne najbardziej niebezpiecznych więźniów. Przez obozy filtracyjne i obozy zagłady. Wierkin snuje swą opowieść

z wielką literacką biegłością, przyprawiając ją okrutnym czarnym humorem. Obiektem jego szyderstw są nie tylko obyczaje społeczności ocalałej z nuklearnego holokaustu, lecz także praktyki dawnych, unicestwionych nacji. Dostaje się więc Rosjanom, Amerykanom, Chińczykom; swoją porcję kpin otrzymują naukowcy, intelektualiści, politycy (w tym liberalni demokraci – tak liberalni, że w obronie swoich ideałów gotowi do masowego mordowania). Ludzkość zasłużyła na tak szyderczy i ponury portret, warto jednak odnotować, że nawet w polarnym inferno Wierkina potrzaskani przez kataklizm mieszkańcy poszukują na rozmaite sposoby absolutu, wiary, zbawienia.

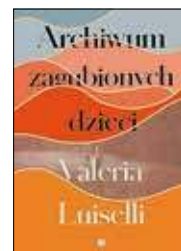
Ciekawa rzecz: mało kto jest równie bezlitosny w snuciu wizji postapokaliptycznych jak Rosjanie. Skąd to czarnowidztwo? Mówił mi niedawno Siergiej Lebiediew, znakomity pisarz rosyjski, na potrzeby programu w TVP Kultura, że „współczesna Rosja nie ma absolutnie żadnego obrazu przyszłości. Przyszłość jako kategoria, przyszłość jako pojęcie, nie istnieje w żadnym sensie”. Reżim Putina szuka uzasadnienia do trwania w snach o dawnych triumfach. Kto ożywia trupa, ten ryzykuje, że i w przyszłości tylko żywym trupem pozostanie. Pisarze to wiedzą. Politycy niekoniecznie. ©©



★★★★★
EDUARD WIERKIN
„WYSPA SACHALIN”
CZARNA OWCA
2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mocno eksperymentalna powieść o traumach współczesnej Ameryki: od imigracji do zagłady Indian, a także portret rozpadającego się małżeństwa obserwowanego oczami dzieci. Dla zaawansowanych, ale intrygujące.



VALERIA LUISELLI
„ARCHIWUM ZAGUBIONYCH DZIECI”
PAUZA

Trzech autorów (Jan Matti Dollbaum, Morvan Lallouet, Ben Noble) przybliżył postać kontrowersyjnego dysydenta. Z jednej strony ostrego krytyka Putina, z drugiej – rosyjskiego nacjonalisty w wersji niezwiastującej nic dobrego.



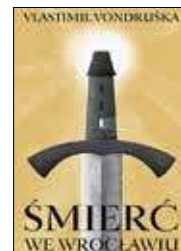
„NAWALNY. NEMEZIS PUTINA? PRZYSZŁOŚĆ ROSJI?”
ZYSK I S-KA

Wznowienie jednej z najlepszych powieści mistrza amerykańskiej fantastyki. Dla Davida Seliga dar telepatii jest przekleństwem – myśli innych ludzi to ściek. Ale gdy zacznie go tracić, rozpocznie się jego największy dramat.



ROBERT SILVERBERG
„UMIERAJĄC, ŻYJEMY”
REBIS

Czeski prokurator królewski Oldrich z Chlumu prowadzi śledztwo w średniowiecznym Wrocławiu: zginął tam wysłannik króla Przemysła Ottokara II. Najpopularniejszy kryminał historyczny w Czechach. ©©



VLASTIMIL VONDURSKA
„ŚMIERĆ WE WROCŁAWIU”
STARA SZKOŁA

Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „KOLONIZACJA”

„Kolonizacja” to propozycja dla miłośników tradycyjnej fantastyki naukowej. W odległej przyszłości ludzie dzięki uzyskanemu od obcych napędowi trafili w dalekie układy planetarne. Prócz zakładania kolonii zajmują się także poszukiwaniem statków, które wyruszyły z Ziemi przed przełomem. Ich załogi pogrążone w hibernacji wciąż jeszcze podróżują, statki stały się łakomym kąskiem dla



DENIS-PIERRE FILIPPI, VINCENZO CUCCA
„KOLONIZACJA”
AMBER 2021

szabrowników. Dodajmy do tego wirtualne światy, młodych kosmicznych kadetów i okaże się, że ze zgranych motywów da się ułożyć nową, ciekawą historię. Ukazały się już dwa tomy: „Kosmiczni rozbitkowie” i „W opałach”. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. STARE DOBRE MAŁŻENSTWO

Schronisko **Aniołów**

Nieodżałowany festiwal Bieszczadzkie Anioły to przedsięwzięcie nie do powtórzenia z wielu powodów. Choćby ze względu na rozwód Starego Dobrego Małżeństwa. Tyle czasu minęło (ostatnia edycja Bieszczadzkich Aniołów to rok 2009, małżeńskie podziały i powstanie U Studni to rok

2012, choć mam wrażenie, jakby to było wczoraj), tyle ich koncertów w tylu różnych miejscach za mną, a ja wciąż, jeśli tylko myślę o SDM na żywo, to mam przed oczami i w uszach właśnie Bieszczadzkie Anioły.

„Pragnąc przywołać ducha Bieszczadzkich Aniołów sprzed lat, wracamy w Biesz-

czady z wyjątkowym koncertem SDM – napisał jakiś czas temu Krzysztof Myszkowski. – W rolę Schroniska Aniołów wcieli się tym razem gościnnie teren Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej w Majdanie koło Ciesnej. Na wydarzenie, które – jak Bóg da i zdrowie pozwoli – odbędzie się 13 sierpnia 2022 r., już teraz nienachalnie

zapraszam! Zlećcie się, Anioły Jasnookie! Czas najwyższy zabieszczadować wspólnie raz jeszcze...”

Nie zdziwił ogromny odzew na ten apel. Odzew tak duży, że bilety na koncert szybko zniknęły z oficjalnej sprzedaży. I dlatego zespół zdecydował się, że zamiast jednego koncertu będą dwa. „Zainteresowanie występem zespołu w Bieszczadach 13 sierpnia 2022 r. przerosło nasze najśmielsze marzenia i sny. Bilety dość szybko znalazły swoich nabywców, co cieszy i mobilizuje do zagrania drugiego koncertu nazajutrz – 14 sierpnia 2022 r. W tym samym miejscu, o tej samej porze. [...] W Schronisku Aniołów starczy miejsca dla wszystkich!”

Kiedy pisałem te słowa, było jeszcze 85 dostępnych wejściówek. A zatem, mam nadzieję, do zobaczenia! ☺☺

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

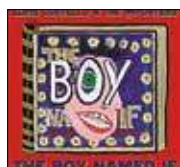
Młodszy **niż wczoraj**

Debiutował w 1977 r. W rogowych okularach przypominał prymusa z tematyki, a nie punkowego buntownika. A jednak okazał się najwybitniejszym autorem tamtej epoki, by później współpracować z Paulem McCartneyem, Burtem Bacharachem czy hiphopowym The Roots.

Na 33. albumie Declan McManus vel Elvis Costello niezwykle udanie powraca do prostych rockandrolowych numerów. Album promuje porywający singel „Magnificent Hurt” z dowcipnie wplecionymi organami Steve’a Nieve’a stylizowanymi na brzmienie wytwórni Stax. Otwierający zestaw „Farewell, OK” przypomina wczesne dokonania Beatlesów, a inspiracją dla „The Death of Magic Thinking” były pio-

senki Bo Diddleya. Dodając do tego kilka ostrych garażowych kawałków i kąśliwe teksty o toksycznych relacjach męsko-damskich, mam wrażenie, że Londyńczyk nawiązuje do lat 80. i fenomenalnego albumu „Imperial Bedroom”. Niewątpliwie muzycy doskonale bawili się w studiu, choćby podczas rejestrowania piosenki „Trick Out the Truth”, w której pojawiają się: Helena Trojańska, aktorka Myrna Loy, Gustav Mahler, a także Chico i Groucho Marx. Natomiast w zaśpiewanej z Nicole Atkins, „My Most Beautiful Mistake” narrator stara się pozyskać kelnerkę do filmu porno.

Wbrew logice 67-letni Elvis Costello brzmi na najnowszym albumie młodziej i dowcipniej niż na płytach, które nagrał w ciągu ostatnich 20 lat. ☺☺



★★★★★
**ELVIS COSTELLO &
THE IMPOSTERS**
„THE BOY
NAMED IF”
EMI



★★★★★
**MATEUSZ
POSPIESZALSKI**
„TAM I SAM/KONCERT
W FABRYCE”
SJ RECORDS

Muzyka, której współtwórcą jest otoczenie. Pospieszalski przemieszcza się z saksofonem po salach historycznego browaru w Tenczyńsku. Jego dźwięki rezonują z murami, kadziami ze ślodem i pustymi cysternami. Obraz uzupełniają odgłosy pracującej fabryki.



★★★★★
KORMORANY
„LAPIS LAZULI”
WNSM

Wrocławscy twórcy nietuzinkowej muzyki teatralnej opublikowali archiwalne nagrania z okresu happeningowego. Zarejestrowane na kasetach przed ponad 30 laty dziś bronią się rozmachem niepokojących wizji. Dźwiękowy dokument czasów naszej transformacji. ☺☺



Krzysztof Masłoń

Film „Marusarz. Tatrzański Orzeł” obejrzałem dwukrotnie, z ochotą – bo dobry, a i z musu, bo oglądając po raz pierwszy, nie mogłem uwolnić się od utrudniających odbiór emocji, od dłuższego już czasu towarzyszących mi przy kolejnych popisach naszych skoczków narciarskich. Tym razem w uniesienie wprawiło mnie 17. miejsce osiągnięte na Wielkiej Krokwi przez najlepszego z naszych reprezentantów, kontynuatorów sportowych sukcesów bohatera filmu Marka Bukowskiego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Orla lotów potęga

Dlaczego „Marusarz – Tatrzański Orzeł” nie ma pełnego wymiaru długometrażowego, na który z całą pewnością zasługuje, Bóg raczy wiedzieć, a pewnie coś na ten temat wie także kierownictwo nieocenionej Telewizji Polskiej, która zakopiański konkurs skoków w ramach Pucharu Świata, transmitowany na antenie TVP właśnie, chciała zakończyć mocnym akcentem w postaci filmu o sławnym „Dziadku”, czterokrotnym olimpijczyku, wicemistrzu świata z 1938 r., bohaterskim kurierze tatrzańskim. No i rzeczywiście była to mocna kropka nad „i”, tyle że to „i” sprawiło wrażenie, jakby ktoś przez nie przejechał pługiem śnieżnym.

Z lat dziecięcych zapamiętałem wierszyk wydrukowany bodaj w tygodniku „Sportowiec” po olimpiadzie w Innsbrucku w 1964 r. Nazwiska autora, niestety, nie pomnę. Oto treść utworu:

*Młodości, orla twych lotów potęgą,
tam sięgaj, gdzie skacze Engan.
Dziś nam jest smutno, choć mogło
być miło.
Dbaj, by sukcesów przybyło –
Przybyło.*

Dla wyjaśnienia: Norweg Toralf Engan zdobył na tamtych igrzyskach w skokach narciarskich dwa medale – złoty i srebrny, Józef Przybyła zaś, najlepszy nasz skoczek, zajął odpowiednio miejsce 9. i 18. Nie chcę być złym prorokiem, ale na najbliższej olimpiadzie, za dni parę, mogą być to wyczyny nie do powtórzenia. Chyba że w drużynie wystawimy dyrektora Małysz, trenera Kruczka, może Roberta Mateję, a i o prezesie Tajnerze nie zapominałbym. Józef Przybyła nie żyje, niestety, od roku 2009.

Skoki narciarskie od lat są naszą sprawą narodową. Młodzi wiekiem narodzenie tego obłędu datują na rok 2002 i konkurs, w którym Svena Hannawalda obrzucano śnieżkami i bluzgami, Aleksander Kwaśniewski wdrapał się na wieżę sędziowską, jego małżonka wzięła udział w mszy w kościele na Krzeptówkach, a Adam Małysz stał się dobrym narodowym. Bliski zawału był ponoć wtedy Walter Hofer, dyrektor zawodów, ponieważ 80 tys. widzów w żaden sposób nie chciało się pomieścić pod skocznia

imienia nie kogo innego, jak Stanisława Marusarza.

W rzeczywistości polskie szaleństwo związane ze skokami objawiało się, nie tak silnie może, grubo wcześniej, a to na zakopiańskim FIS w 1962 r., a to znów przynajmniej kilkakrotnie na Memoriałach Bronisława Czechy i Heleny Marusarzówny, którzy za swą patriotyczną postawę w czasie okupacji niemieckiej zapłacili życiem. Helenę Marusarzównę, siostrę Stanisława, hitlerowcy zamordowali w 1941 r., Bronisław Czech został aresztowany przez gestapo w roku 1940 i wywieziony do Auschwitz, gdzie zmarł w roku 1944. Memoriały ich imienia organizowane były przez długie lata PRL i, pewnie siłą rozpędu, do roku 1994. Teraz mamy film z epizodyczną postacią Bronisława Czecha i trochę tylko wyeksponowaną osobą Heleny Marusarzówny. Dobrze i to, bo jako się rzekło, film, który wyszedł spod ręki Marka Bukowskiego, ocenić trzeba wysoko, niemal tak jak jego poprzednie dzieło, świetny „Babilon. Raport o stanie wojennym” zreali-

zowany na podstawie prozy Marka Nowakowskiego.

A skoro mówimy już serio, to warto tu postawić pytanie: Dlaczego tak długo musieliśmy czekać na filmową opowieść o człowieku takiego formatu jak Stanisław Marusarz? Na szczęście doczekała się ona premiery, gdy jeszcze są ludzie, którzy pamiętają tego prawdziwego bohatera swojego czasu. „Marusarz. Tatrzański Orzeł” zebrał z miejsca – co było do przewidzenia – przynależną mu porcję hejtu, bo dziś wszystko, co firmuje TVP, mieszane jest z błotem, ale nawet ta krytyka pozbawiona była, tym razem, zwykłej siły ognia. Pewnie trudno było o wyciągnięcie najcięższych armat, gdy tak doskonały i niedościgły pod każdym względem TVN też się zabrał za przekazywanie narodowi konkursów latania w powietrzu z przypiętym deskami, czym udowodnił, że jest jednak polską telewizją, w co skądinąd niełatwo uwierzyć. A że wziął się za to w dobie wprost oszałamiających sukcesów naszych orłów, sokołów, bażantów, podziw nasz wprost nie ma granic. ©©

Kryzys po katolicku





Jan Parys

W sprawie sytuacji na naszej granicy wschodniej warto przede wszystkim pytać: Co to znaczy, że katolik ma być patriotą? Czy powinien przestrzegać przyjętego w kraju prawa, czy powinien szanować państwo, w którym żyje, i czy ma szanować legalne władze swego państwa?

Kościół katolicki – o ile mi wiadomo – jest instytucją, która działa legalnie i tego samego oczekuje od wiernych. Zatem poszanowanie prawa i demokratycznie wybranej władzy ma być podstawą postępowania katolików. Konstytucja w art. 82 mówi, że obywatel jest zobowiązany do wierności Rzeczypospolitej, a w art. 83 – że ma przestrzegać polskiego prawa. Zatem z punktu widzenia prawa obrona granicy przez państwo powinna być wspierana zarówno przez katolików, jak i wszystkich innych obywateli. Mamy wybrany demokratycznie rząd i zarówno Kościół, jak i obywatele powinni być lojalni wobec państwa, w tym także wobec tych jego decyzji, które dotyczą obrony granicy. Należy dodać, że obrona granic była i jest warunkiem istnienia każdego państwa. Zatem ten, kto odmawia obrony granic swego kraju lub to kontestuje, nie tylko łamie prawo, lecz także kwestionuje sens istnienia państwa i tym samym stawia się poza wspólnotą obywateli.

KATOLICYZM I KONSTYTUCJA

Katolicyzm nie jest po to, aby zawieszать obowiązki obywatelskie wynikające z konstytucji. Jeżeli ktoś widzi sprzeczność między katolicyzmem a lojalnością wobec swego kraju, to popełnia błąd. Tym samym daje dowód, że nie rozumie właściwie obowiązków, które wynikają z wiary, i ulega propagandzie przeciwników państwa polskiego, którzy zorganizowali wojnę hybrydową przeciwko Polsce z użyciem migrantów.

Po raz kolejny trzeba podkreślić, że na granicy polsko-białoruskiej nie mamy do czynienia z uchodźcami uciekającymi przed prześladowaniami z powodu wojny, lecz ze zorganizowaną próbą destabilizacji

Europy przez reżim Łukaszenki. Reżim ten wykorzystuje klasę średnią z kilku państw Bliskiego Wschodu. Ludzie ci przyjeżdżają na Białoruś legalnie i z własnej woli. Prawo wjazdu do Polski lub azylu w Polsce im nie przysługują. Nie są to prześladowani biedacy uciekający przed wojną. To osoby dość dobrze sytuowane materialnie, które same podjęły decyzję, by podjąć próbę nielegalnego przekroczenia polskiej granicy. Każdy, kto to robi, popełnia przestępstwo i powinien być za jego popełnienie skazany. Kto chce wjechać do Polski, musi się starać o polską wizę w swoim kraju. Katolicyzm nie propaguje bezkarności ani bezprawia, lecz poszanowanie prawa. Mamy podstawy, by wymagać przestrzegania prawa na swoim terytorium zarówno od swoich obywateli, jak i od obcych.

Migracja z różnych państw do Polski jest możliwa. Polska, wbrew brukselskim oszczerstwom, jest bardzo otwarta na migrantów. Obecnie jest u nas ponad milion migrantów z Ukrainy i kilkaset tysięcy obywateli Białorusi. Są u nas także skupiska Wietnamczyków.

Jak każdy kraj mamy prawo decydować, kogo wpuszczamy, komu dajemy prawo pobytu i pracy. To oczywiste, że pomagamy najpierw ludziom z krajów sąsiednich, takich jak Ukraina czy Białoruś. Przyjmowanie migrantów to część polityki państwa, a nie proces żywiołowy lub zależny od zachcianek dziennikarzy czy od finansowanych przez obce ośrodki tzw. działaczy humanitarnych. Przyjmowanie migrantów powinno być poprzedzone poważną refleksją. Należy pamiętać o wskazówce Arystotelesa, który pisał, że warunkiem zachowania tożsamości przez społeczeństwo jest homogeniczność wspólnoty. Trudno także ignorować negatywne doświadczenia z migrantami, które obserwujemy w Szwecji, Niemczech czy we Francji. Nasz rząd, rozpatrując podania o pobyt w Polsce, powinien uczyć się od innych państw tego, jak prowadzić politykę migracyjną, by to było korzystne dla Polski. Można wzorować się na rozwiązaniach stosowanych w Danii czy w Wielkiej Brytanii. Przypominam więc, że humanitaryzm nie może być jedynym kryterium decyzji wobec migrantów. Rząd w Warszawie ma przede wszystkim obowiązek dbać o interes naszego kraju i swoich obywateli, nie powinien ulegać żadnej presji ani wpływom modnej ideologii.

Zawracanie migrantów, którzy nielegalnie przekraczają naszą granicę, brzmi w oczach mediów źle, ale jest zgodne



FOT. WIKTOR TOŁOCH/KOŚCIELNIK/FEST NEWS

■ z prawem. Co więcej, jest przejawem podejścia humanitarnego, bo alternatywą jest aresztowanie, skazanie na długie więzienie.

OBOWIĄZEK KATOLIKA

Dla katolika istnieje prymat miłości ojczyzny nad miłością do innych wspólnot. To przede wszystkim ojczyzna nas wychowała i ukształtowała, a nie gmina, województwo czy Europa. Mamy obowiązki wobec własnego kraju wynikające z tego, że jesteśmy Polakami. Władza ma prawo karać osoby, które czynnie działają przeciwko ojczyźnie. Nie ma sensu wskazywanie na konflikt patriotyzmu i religii, bo takiego konfliktu nie ma. Życie ludzkie ani własne samopoczucie nie są najwyższymi wartościami. Wiele razy ludzie poświęcali je w imię ważniejszych wartości. Czasem była to wiara, czasem obrona kraju lub obrona najbliższych. Ojczyzna jest tzw. dobrem wyższym, co nieraz udowodniali nasi rodacy, poświęcając za nią życie. Mamy zatem obowiązek bronić ojczyzny przed zagrożeniem. Skoro urodziłem się w polskiej kulturze, to znaczy, że Bóg uczynił mnie Polakiem i mam obowiązek bronić tego dobra, jakim są polska kultura, polskie państwo i polska religijność. Podkreślam – idzie o obronę tego dziedzictwa, które otrzymaliśmy jako Polacy, zatem wykluczamy walkę w celu agresji.

Obrona jest nie tylko dopuszczalna, lecz także jest obowiązkiem katolika. Wobec zagrożenia bytu państwa wszyscy stają się żołnierzami, mają obowiązki. Katolicy także. Wiara nikogo z tych obowiązków nie zwalnia. Służba obywatela wobec ojczyzny to nawet gotowość oddania życia za kraj, za bezpieczeństwo całej wspólnoty narodowej. Żołnierz nie jest maszyną do zabijania, lecz obrońcą wartości wyższych. Celem żołnierza jest obrona ojczyzny, czyli narodu i terytorium. A to jest spełnieniem obowiązku wynikającego z wiary. Miłość chrześcijańska oznacza, że mamy większe obowiązki wobec bliskich niż wobec obcych. Nie ma skutecznej obrony bez posłuszeństwa. Nikt nie może powoływać się na swoją wolę, swoje przekonania czy swoje poczucie wolności. Wolność prywatna nie może być stawiana ponad obronę dobra wspólnoty, zwłaszcza podczas wojny. Człowiek jest wolny, ale to nie oznacza, że może robić to, co chce – ma jednak obowiązki. Obowiązek jest podstawą każdej etyki w każdej cywilizacji, bo bez obowiązków nie ma praw. Kościół

Wobec zagrożenia bytu państwa wszyscy stają się żołnierzami, mają obowiązki. Katolicy także

nie bierze udziału w życiu politycznym, ale katolicy mają swe obowiązki doczesne wobec kraju. Jak wskazuje św. Tomasz – życie doczesne człowieka to jest droga do zbawienia poprzez dążenie do dobra wspólnego, a nie przez satysfakcję z zajmowania postawy indywidualnej.

Bycie dobrym dla obcych nie może się odbywać kosztem bezpieczeństwa innych. To nie pojedynczy obywatel prowadzi po swojemu politykę migracyjną, lecz władze państwowe. Mam wrażenie, że wiele osób zaangażowało się w pomoc migrantom tylko dlatego, by kontestować decyzje nielubianego rządu. Jak wiadomo, jest nakazem obecnej opozycji, by kwestionować wszystko, co postanowi obecna władza. Nie o humanitaryzm tu zatem idzie.

Dziwię się osobom, które swoje działania na granicy usiłują tłumaczyć katolicyzmem. Nie można być naiwnym i udawać, że się nie widzi ataku hybrydowego na polskie państwo. Nie można wykorzystywać jednego cytatu, np. z Katechizmu Kościoła katolickiego, by uzasadnić zwalnianie polityki władz państwowych. Bo trzeba taki cytat rozumieć, biorąc pod uwagę cały kontekst sytuacji. Nie można żołnierzom mówić, że obowiązuje ich tylko przykazanie miłości, bo wtedy od dwóch tysięcy lat żadna służba żołnierska nie byłaby możliwa.

GRZECH ZANIECHANIA

Jest zjawiskiem przykrym, że – jak pokazują sondaże – 26 proc. obywateli żyje w państwie, z którym się de facto nie identyfikuje, gdyż neguje obronę jego granic. Takie osoby nie stają się bohaterami, ale dają dowód tego, że nie rozumieją ani wiary, ani prawa. Ludzie ci myślą, że w ten sposób walczą z nie lubianym rządem, lecz w rzeczywistości kwestionują sens demokracji i istnienie państwa polskiego.

Niektórzy uważają, że skoro aż taki procent obywateli nie popiera obrony granicy przez państwo, to sytuacja jest bardzo zła. Inni oceniają, że to wynik całkiem dobry, i przypominają, że np. w Armii Krajowej było zaangażowanych kilkaset tysięcy obywateli plus ich rodziny, zatem większość społeczeństwa była bierna. Aktywnymi pa-

triotami nigdy nie jest większość. Problem moim zdaniem nie leży w liczbie postaw negujących polską państwowość. Idzie dziś raczej o to, że takie postawy są popularne wśród elity, wśród celebrytów, czyli tych, którzy są wzorem dla wielu innych.

Chociaż katolicyzm jest religią miłości bliźniego, to katolik nie ma być osobą bezbronną czy naiwną. Ma nie tylko prawo, lecz także obowiązek bronić swoich bliskich przed zagrożeniem. Przykazanie „Nie zabijaj” w pełnej wersji brzmi: Nie morduj, czyli nie zabijaj niewinnego. Zatem w obronie wspólnoty katolik może i powinien się zdobyć na obronę.

Fałszywy jest pogląd, że ten, kto nie pomaga migrantom, grzeszy. Słuszną rzeczą jest niechęć do zabijania i chęć pomagania cierpiącym. Lecz kiedy ktoś jest agresorem lub sam prowokuje swoją krzywdę, nie może oczekiwać naszej pomocy. Natomiast jest grzechem zaniedbanie troski o dobro wspólnoty, w której żyjemy. Wielka szkoda, że biskupi i kapłani Wojska Polskiego, wypowiadając się o migracji lub o obronie ojczyzny, nie korzystają z publikacji Józefa Marii Bocheńskiego pt. „De Virtute Militari”. Nie należy rozstrzygać bieżących dylematów przez operowanie pojedynczymi cytatami z kościelnych dokumentów bez głębszej analizy ich kontekstu i pogłębionego zbadania bieżącej sytuacji.

Duże ideowe zamieszanie w sprawie migrantów wynika często ze słabej wiary i braku pokory wobec chrześcijańskiego dziedzictwa u pewnych osób w sytuacji braku silnego autorytetu w Rzymie. Jest dziś tendencja, by wszystko traktować lekko i zgodnie z modą. Zanika dążenie do traktowania serio swojego zawodu, powołania, obowiązków. Bez względu na to, czy ktoś jest lekarzem, nauczycielem, adwokatem, żołnierzem czy duchownym, każda z tych dróg życiowych wymaga powołania i poważnego traktowania zobowiązań. Wymienione tu przykłady to nie są zwykłe zawody. Każdy z nich to raczej misja życiowa obarczona dodatkowymi etycznymi wymaganiami. Tymczasem jest moda na to, by być trochę lekarzem, trochę nauczycielem, trochę adwokatem, trochę duchownym, a poza tym żyć tak jak inni. Uważam, że są takie drogi życiowe, które wymagają specyficznego poświęcenia i nie mają sensu w wersji light.

Wierni oczekują od teologów i duchowieństwa komentowania Pisma Świętego. Niestety, w kościołach słyszą często to, co piszą media. To jest nieporozumienie, nie od tego jest kazanie.

Szukając autorytetów, zapominamy, że jest wiele wielkich postaci w historii Kościoła i z nich warto brać przykład, z ich dorobku. Nie jest sprawą Kościoła rozwiązywać problemy doczesne, bo jest instytucją, która ma prowadzić ludzi do zbawienia. Zamieszanie w głowach osób wierzących bierze się z tego, że kiepskie obyczaje z życia świeckiego przenosi się na grunt kościelny (np. to, że każdy ma swoją prawdę, że każdy robi, co chce, że wolność polega na tym, iż nie ma obowiązków, tylko roszczenia i prawa). Niektórzy uważają zatem, że każdy sam może decydować o doktrynie wiary, ignorując tradycję i dorobek takich zasłużonych jak św. Tomasz, kard. Wyszyński, ks. Blachnicki, o. Woroniecki, abp Tokarczuk, nie wspominając o św. Janie Pawle II, którego dorobek jest coraz częściej zapominany. Skoro głos Rzymu jest słabo uzasadniony lub dotyczy banalnych spraw doczesnych, to powstają próby indywidualnego rozstrzygania kwestii teologicznych przez zdezorientowanych biskupów, księży czy teologów. W rezultacie wśród wiernych powstaje chaos.

Katolicyzm to religia uniwersalistyczna. To jedna religia, chociaż jest wyznawana

przez różne narody i Kościoły w różnych krajach. Katolicy mają wyznawać te same dogmaty wiary i takie same sakramenty oraz liturgię. Kościoły różnią się natomiast metodami duszpasterstwa, w zależności od lokalnych warunków. Dziś jest moda, by wszystko zmieniać, poprawiać, uwspółcześniać. Uważam, że są granice możliwej interpretacji wiary, poza którymi jest już odstępstwo, czyli herezja.

Tendencja, by Kościoły w poszczególnych krajach same zmieniały doktrynę wiary, jest wielkim błędem. To nie ma nic wspólnego z demokracją czy wolnością myślenia. Oznacza zerwanie ciągłości z całą wspólnotą chrześcijańską na świecie, a w skrajnej postaci – przekształcenie katolicyzmu, który dziś opiera się na jednej doktrynie, w luźną federację chrześcijańskich Kościołów narodowych. Żaden biskup, ksiądz czy wspólnota wiernych nie mogą uzurpować sobie uprawnień, które należą do soboru powszechnego.

Sytuacja, w której episkopat jednego kraju (np. w Niemczech) chce mieć własną doktrynę i narzucać ją innym Kościołom, jest nie do przyjęcia. To przejaw szowinizmu, który jest obcy postawie katolika. Doktryna jest jedna i należy ją interpre-

tować w świetle tradycji z pominięciem osobistych przekonań. Nie można wiary traktować jak menu z restauracji, gdzie każdy wybiera, co lubi, i doprawia po swojemu. Takie postępowanie jest rozbijaniem Kościoła pod hasłem źle rozumianej demokracji i wolności, jest przejawem świeckiego zarozumiałstwa, a nie wiary.

Kiedy wchodzimy do budynków wielu Kościołów, widzimy tam najczęściej wiele kaplic i wszystkie razem z głównym ołtarzem tworzą świątynię. I taka ma być relacja Kościołów w poszczególnych krajach i Rzymu. To nie jest przypadek, że na wielu kościołach przy wejściu jest tablica z napisem „Kościół rzymskokatolicki”. Kościoły są także pod różnymi wezwaniami, lecz jest jedna wiara katolicka. Nawet władze Kościoła w Rzymie nie mogą zmieniać Dekalogu ani credo. Nie takie jest zadanie wiernych, obojętnie świeckich czy duchownych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższe poglądy autor przedstawiał podczas debaty na temat „Kryzysu granicznego w ujęciu chrześcijańskim” zorganizowanej w styczniu 2022 r. przez zespół „Nowej Konfederacji”.

Autor jest politykiem, publicystą, socjologiem, byłym ministrem obrony narodowej.

REKLAMA



NAJNOWSZA KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO

SYSTEM DIABŁA BLOG Z PIEKŁA RODEM



PATRONAT MEDIALNY:



KSIĄŻKA
DO KUPIENIA NA:
WWW.XLM.PL

Pobożność źle widziana



Paweł Chmielewski

**Rzym wydał wojnę tradycyjnej liturgii.
Czy pójdą na nią także biskupi w Polsce?**



FOT. WATIKAN/POOL/GETTY IMAGES

Watykan prowadzi coraz ostrzejszą walkę z liturgią przedso-borową. Motu proprio „Traditionis custodes” było jedynie pierwszym uderzeniem wymierzonym przez Stolicę Apostolską w tradycyjną pobożność. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Rzym zadał kolejny cios. Nie ma żadnych wątpliwości, że papież wraz ze swoim najbliższym otoczeniem dąży do zupełnego wyniszczenia środowisk przywiązanych do mszy trydenckiej. Okazuje się, że synodalność i pastoralne „towarzystwo owcom” nie obejmują bynajmniej wszystkich uczniów Chrystusa.

Gdy w lipcu 2021 r. Franciszek ogłosił motu proprio „Traditionis custodes”, duża część katolickiej opinii publicznej nie kryła zdziwienia: oto papież, który mówi nieustannie o dialogu i bliskości duszpasterskiej, bez żadnych zapowiedzi podejmuje niezwykle autorytarne decyzje w delikatnej materii liturgii. Odwołuje decyzje poprzedników, wprowadza chaos i niepokój we wspólnotach gromadzących setki tysięcy katolików – a wszystko

to w przededniu synodu o synodalności, który ma doprowadzić do wypracowania w Kościele nowego modelu podejmowania decyzji, bardziej uwzględniającego głos i potrzeby wiernych.

RADYKALNE OGRANICZENIA

Mimo powszechnej krytyki Rzym nie zmienił kierunku, wprost przeciwnie: jeszcze go zaostriżył. 18 grudnia wytyczne do „Traditionis custodes” ogłosiła Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Dykasterią kieruje Anglik abp Arthur Roche, uczeń kard. Cormacka Murphy’ego-O’Connora, jednego z najważniejszych członków liberalnej grupy z Sankt Gallen, która doprowadziła w 2013 r. do wyboru kard. Bergoglio na papieża. Wytyczne ukazały się w formie responsa ad dubia – odpowiedzi na główne wątpliwości zgłaszane pod adresem motu proprio. Dokument Kurii Rzymskiej w swojej apodyktycznej surowości wykroczył daleko poza „Traditionis custodes”, nie pozostawiając żadnych złudzeń co do ostatecznej woli papieża:

katolicy związani z liturgią przedso-borową powinni po prostu wymrzeć.

Responsa abp. Roche’a zostały zaakceptowane przez Franciszka, nie ma więc mowy o żadnej samowoli szczególnie niechętnego tradycyjnej liturgii arcybiskupa. Dokument doprecyzował kilka kwestii, które „Traditionis custodes” pozostawiło nierozstrzygniętymi, oczywiście na niekorzyść przedso-borowej pobożności. Biskupi nie mogą już na przykład udzielać dyspens od zakazu sprawowania mszy trydenckiej w kościołach parafialnych. Całkowicie zakazane jest udzielanie sakramentów w rycie trydenckim, chyba że rzecz dotyczy parafii personalnej – w Polsce takich jednak w ogóle nie ma. Wprowadzono też radykalne ograniczenie, zakazując sprawowania kapłanowi w niedzielę i święta mszy trydenckiej, jeżeli tego samego dnia sprawowałby mszę nową. To oczywiście tylko najbardziej spektakularne ograniczenia. Pomniejszych, niezwykle uciążliwych restrykcji jest więcej; w dodatku kanoniści wciąż głowią się nad inter-

pretacjami niektórych szczegółów, stąd możliwe są w przyszłości kolejne watykańskie „wyjaśnienia” spornych kwestii. Pełne zastosowanie responsa ad dubia przez biskupów oznaczałoby w praktyce radykalne pogorszenie sytuacji wspólnot tradycyjnych, które w wielu wypadkach mogłyby zostać z dnia na dzień pozbawione dostępu do tej formy liturgii, z którą są tak głęboko zżyte.

Restrykcyjny charakter responsa ad dubia odpowiada dobrze intencjom, które Franciszek wyjawiał przy okazji ogłoszenia „Traditionis custodes”. W pierwszym punkcie lipcowego dokumentu zadeklarował, że odtąd to posoborowe księgi liturgiczne są „jedynym wyrazem” prawa modlitwy w rycie rzymskim. To oznaczało zepchnięcie ksiąg przedsoborowych do jakiejś nieokreślonej szarej strefy pomiędzy tym, co legalne, a tym, co zakazane; nadanie im nieformalnego statusu muzealnego eksponatu, w prawdziwym życiu Kościoła ledwie tolerowanego. Nawet to zresztą tylko do czasu: w liście dołączonym do motu proprio Franciszek wskazał, że biskupi powinni dołożyć wszelkich starań, by doprowadzić wszystkich (sic!) wiernych związanych z liturgią przedsoborową do liturgii nowej. W sumie stanowiło to wyraźną deklarację: liturgia przedsoborowa ma zniknąć. Surowe responsa ad dubia są zatem naturalnym dopełnieniem poprzedniego dokumentu.

LITURGIA SPYCHANA NA MARGINES

Nie sposób prognozować, jakie dokładnie efekty przyniesie niszczycielska polityka Watykanu. Z jednej strony nie ulega żadnej wątpliwości, że na całym świecie wielu jest biskupów, którzy tylko czekali na wręczenie im przez Rzym tego rodzaju pałki na katolików przywiązanych do liturgii trydenckiej. Będą mogli teraz bezlitośnie jej używać, niszcząc wspólnoty, które pięknie rozwijały się przez ostatnie kilkanaście lat.

Tak już się zresztą dzieje; z całego świata od miesięcy dochodzą informacje o pospiesznych, represyjnych działaniach hierarchów, którym przedsoborowe nauczanie Kościoła szczególnie przeszkadza. Po responsa ad dubia będzie tego tylko więcej, bo przecież narzędzia mogące posłużyć do pacyfikacji są jeszcze doskonalsze. Jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem responsów surowe restrykcje ogłosił na przykład wikariusz

generalny diecezji Rzymu, kard. Angelo De Donatis, antycypując dokument abp. Roche’a. Z kolei zaledwie kilka dni po responsach drakońskie ograniczenia w archidiecezji Chicago wprowadził kard. Blase Cupich, de facto prawa ręka papieża Franciszka w Stanach Zjednoczonych.

W Polsce sytuacja wygląda bardzo różnorodnie. Na razie w dużej części diecezji utrzymuje się status quo powstały po publikacji „Traditionis custodes”. To oznacza, że sprawy wyglądają tak, jak ułożone zostały na gruncie „Summorum pontificum” Benedykta XVI. Msze w rycie przedsoborowym są dalej sprawowane, a księża nie odmawiają udzielania chrztu czy pierwszej komunii świętej według dawnych ksiąg liturgicznych. Wydaje się, że relatywnie duże grono biskupów nie jest skore do rozbijania niesprawiających żadnych kłopotów wspólnot, tym bardziej że w wielu przypadkach miałyby to swój skutek jedynie w przeniesieniu się związanych z nimi wiernych do kościołów i kaplic Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X.

Oczywiście po „Traditionis custodes” nie brakowało też działań represyjnych. Przykładowo w Krakowie czy Toruniu zapadły nieumotywowane niczym decyzje ograniczające zakres celebracji liturgii przedsoborowej. Szczególnym radykalizmem antytradycyjnym wykazała się archidiecezja warszawsko-praska, gdzie bezpośrednio po ogłoszeniu „Traditionis custodes” wręcz ponizono katolików tradycyjnych, wskazując im wyjątkowo mało reprezentatywne miejsce celebracji. W kolejnych miesiącach, prawdopodobnie z powodu nagłośnienia skandalu w mediach społecznościowych, ostrość podjętych środków została tam nieco złagodzona. Po responsa ad dubia sytuacja może się jednak pogorszyć. W Pelplinie bp Ryszard Kasyna wydał w połowie stycznia skrajnie restrykcyjny wytyczny, spychając liturgię trydencką na całkowity margines życia kościelnego w diecezji. Co ciekawe, bp Kasyna w stosownym dekrete zapewnił, że grupy tradycyjne w jego diecezji nie kwestionują nauczania Kościoła, ale mszy trydenckiej i tak niemal całkowicie zakazał.

WSZYSTKO W RĘKACH PASTERZY

Stanowiska Episkopatu jako całości nie ma. Po wizycie ad limina Apostolorum kard. Kazimierz Nycz przekonywał, że Watykan zamierza wykonać krok wstecz,

bo w Kurii Rzymskiej zauważono, iż „Traditionis custodes” wprowadziło duże podziały; metropolita warszawski działał zgodnie z tym rozpoznaniem, nie wprowadzając żadnych restrykcji. Wcześniej metropolita warmiński abp Józef Górzyński opracował dla biskupów wewnętrzne wytyczne, w których zalecał maksymalną wstrzeźliwość i interpretowanie dokumentu Franciszka na korzyść wspólnot tradycyjnych tam, gdzie to tylko możliwe. Rozsądny i spokojny kierunek przyjęty przez obu hierarchów natrafił teraz na poważną przeszkodę. Po responsa ad dubia abp. Roche’a miejsca na łagodną interpretację „Traditionis custodes” już nie ma. Można jedynie udawać, że dokumenty te po prostu nie istnieją.

Zwykli księża i wierni świeccy mają ograniczone możliwości działania. Okazją, by upomnieć się o godne miejsce dla ponad tysiącletniej rzymskiej tradycji liturgicznej, mógłby być trwający synod o synodalności. Oczywiście nie w skali globalnej; z racji struktury i ram czasowych danych synodowi nie ma szans, by jakkolwiek postulat niebędący w pełnej zgodności z rewolucyjną linią watykańskiej „góry” został rzeczywiście uwzględniony. Można jednak zwracać się do biskupów na spotkaniach, które organizowane są w parafiach i diecezjach. Czy prośby w obliczu bezlitosnej surowości postawy Rzymu cokolwiek dadzą? Wszystko w rękach pasterzy, którzy powinni pamiętać, że jedność liturgicznej nie da się osiągnąć przemocą. Autorytarny unitaryzm Franciszka zrodzić może tylko kolejne podziały.

Papież stał się bowiem autorem samospełniającej się przepowiedni. Przed „Traditionis custodes” księża i wierni świeccy wiązali się z liturgią przedsoborową przede wszystkim z powodu urzeczenia jej pięknem i bijącą ze wszystkich obrzędów doktrynalną jasnością. Po decyzjach papieża uczestnictwo w mszy trydenckiej staje się niejako kościelno-polityczną deklaracją – a przecież właśnie z tym chciał jakoby walczyć Franciszek, wprowadzając swoje ograniczenia. Sądzę, że to zamierzony efekt. Awangardziści eklezjalnej rewolucji chcą napiętnować wszystkich, którzy nie dotrzymują im kroku w marszu ku nowemu. Historia uczy jednak, że to tylko pierwszy etap. Po napiętnowaniu przyjdzie jeszcze czas na próbę eliminacji. Nie wolno na to pozwolić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą i dziennikarzem portalu PCh24.pl.

Watykańska koncentracja władzy



Tomasz Rowiński

Zmiany w watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary spowodowały liczne spekulacje na temat tego, co planuje papież Franciszek



Arcybiskup Giacomo Morandi przestał być sekretarzem Kongregacji Nauki Wiary. Został przesunięty do diecezji Reggio Emilia-Guastalla

FOT. PONTIFICIA UNIVERSITÀ GREGORIANA

Usunięcie 10 stycznia z Kongregacji jej faktycznego numeru dwa – sekretarza abp. Giacomo Morandiego – i przesunięcie tego hierarchy do niewielkiej, podrzędnej, włoskiej diecezji Reggio Emilia-Guastalla było aktem, który nie mógł przejść niezauważony.

Reggio Emilia-Guastalla nie jest nawet archidiecezją, ale częścią kościelnej me-

tropolii Modena-Nonantola. Morandi, owszem, otrzymał prawo, by zatrzymać tytuł arcybiskupa, ale ma on teraz charakter osobisty („ad personam”), a nie urzędowy. Takie posunięcie papieża trzeba potraktować jako degradację dotychczasowego ważnego współpracownika. Za oznakę niełaski można by uznać już sam fakt zatrzymania kościelnej kariery Morandiego na stanowisku, które jest postrzegane

raczej jako punkt wybicia do większych jeszcze odpowiedzialności i zaszczytów. Dla przykładu – gdy pochodzący ze Sri Lanki abp Malcolm Ranjith, w latach 2005–2009 sekretarz Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, gorący zwolennik propagowania w Kościele liturgii trydenckiej, w wyniku kurialnych rozgrywek został usunięty ze swojego stanowiska przez Benedykta XVI, nie tylko otrzymał, jako pewnego rodzaju rekompensatę, kapelusze kardynalski, lecz także najważniejszą stolicę biskupią w swojej ojczyźnie, czyli Kolombo. Dla stosunkowo młodego Morandiego (urodził się w roku 1965) twarde lądowanie na kościelnej prowincji jest z pewnością sygnałem, że za pontyfikatu Franciszka nie może się już spodziewać pracy na poważniejszym stanowisku. Czy będzie to możliwe w przyszłości? Dziś trudno powiedzieć, ale kariera kurialna ma swoją specyfikę, liczne nominacje pochodzą z naboru wewnętrznego. Obecny prefekt KNW kard. Luis Ladaria Ferrer wcześniej był właśnie jej sekretarzem. Aby Morandi wrócił do Rzymu, musiałby tego prawdopodobnie osobiście chcieć przyszły papież.

SCHEMAT FRANCISZKA

Ponieważ Franciszek prowadzi dość jednoznaczną politykę kadrową, także tę decyzję komentatorzy wpisali w pewien schemat. Jak wiadomo, papież przez cały okres trwania swojego pontyfikatu nie nominował na kardynała żadnego duchownego o bardziej tradycyjnym stanowisku. Konsekwentnie też przez lata pozbywał się ludzi niewygodnych w kongregacjach. Tak stało się z kard. Gerhardem Müllerem, byłym już prefektem KNW, który zresztą zdecydował się opowiedzieć mediom, że papież potraktował go obcesowo. Ten niemiecki hierarcha i uczeń Ratzingera był jednym z głównych przeciwników papieskiej kampanii na rzecz udzielania Komunii Świętej rozwodnikom pozostającym w nowych, cudzołożnych związkach. Papież rozstał się z Müllerem w roku 2017. W zeszłym roku także kard. Robert Sarah, wspierający ruchy tradycyjne w Kościele, opuścił urząd prefekta Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Odejście kard. Saraha stało się sygnałem do rozpoczęcia przez papieża i ludzi z jego wewnętrznego kręgu rozprawy z tradycjonalistami za pomocą motu proprio „Traditionis

custodes". W dodatku w sierpniu 2021 r. ordynariuszem starożytnej, ale maleńkiej diecezji tortońskiej został mianowany ceremoniarz liturgii papieskich abp Guido Marini. Jego posługa za czasów Benedykta XVI była symbolem próby głębszego zakorzenienia w tradycji nowego rytu rzymskiego, czyli tego, który jest odprawiany dziś w każdym Kościele katolickim obrządku zachodniego.

Jest zatem jasne, że Franciszek nie działa przypadkowo, dlatego usunięcie abp. Giacomo Morandiego powiązano z dwiema pogłoskami. Po pierwsze, Morandi miał być krytycznie nastawiony do restrykcyjnego stosowania „Traditionis custodes”, którego celem jest wyrugowanie z życia Kościoła starodawnej rzymskiej liturgii łacińskiej.

Inny domysł, który spopularyzował jezuicki magazyn „America”, mówi, że Morandi stał za głośnym dokumentem KNW z marca 2021 r., który wykluczył możliwość błogosławienia związków homoseksualnych. „America” nie jest oczywiście bezstronnym graczem na rynku katolickich mediów w Stanach Zjednoczonych, ale ważnym publikatorem propagującym relatywizację nauczania katolickiego. Jezuicki magazyn, w opublikowanej na swoim portalu analizie Nicole Winfield, rzymskiej korespondentki Associated Press, przypomina, że już po pojawieniu się stanowczego w treści dokumentu KNW Franciszek wykonał kilka gestów skierowanych do „wspólnoty LGBTQ+”. Najgłośniejszym z nich był list do s. Jeannine Gramick, założycielki organizacji New Ways Ministry, która zajmuje się lobbym na rzecz relatywizacji kościelnego nauczania moralnego o homoseksualizmie. W zeszłym roku minęło 50-lecie jej działalności. W przeszłości Gramick była upominana przez Stolicę Apostolską za swoje zaangażowanie. Winfield twierdzi także, że choć watykański respons w sprawie homoseksualizmu miał być opublikowany za wiedzą Franciszka, to papież był zaskoczony jego wpływem na opinię publiczną.

Czy taki był papieski scenariusz? Karne zesłanie Morandiego kwestionuje Andrea Gagliarducci, piszący z Rzymu dla Catholic News Agency. Twierdzi on, że jego źródła zaprzeczają narracji, która byłaby bardzo na rękę relatywistom. Nowy biskup Reggio Emilia-Guastalla miał być lojalnym wobec papieża pracownikiem KNW. „Przy decyzji o przeniesieniu abp. Morandiego mogły również

Koniec kadencji Morandiego mógł być dobrym pretekstem do przeformułowania sposobu funkcjonowania całej Kongregacji

zaważyć pewne plotki na temat jego konserwatywnego stanowiska. Jednak w to wątpię. Morandi nigdy nie był konfrontacyjny i nie rzucał się w oczy. I nigdy nie był też nielojalny wobec papieża” – cytuje swoje źródło bliskie KNW Gagliarducci.

RELATYWISTYCZNA REWOLUCJA?

Jakie mogły być zatem inne powody działania papieża? Koniec pięcioletniej kadencji pracy Morandiego w KNW mógł być dobrym pretekstem do wprowadzenia zmian powiązanych ze spodziewanym przeformułowaniem sposobu funkcjonowania całej Kongregacji. Niezależnie, czy miałyby to nastąpić w ramach zbliżającej się reformy Kurii Rzymskiej czy realizacji pewnych pomysłów dotyczących samej KNW. Odejście Morandiego otwiera bowiem drogę do stanowiska sekretarza Kongregacji ordynariuszowi Malty abp. Charlesowi Sciclunie. Scicluna, kiedyś bardzo wojtyliański w sprawach wiary i moralności, za pontyfikatu Franciszka ujawnił się jako jeden z pochlebców papieża i gorący propagator relatywistycznej rewolucji. Scicluna zarówno promował Komunię Świętą dla cudzołożników po publikacji adhortacji „Amoris laetitia”, jak i stał się orędownikiem politycznego ruchu homoseksualnego w Kościele. Na razie na pełny etat posługuje w La Valetcie, ale to może się zmienić.

Co więcej, dość rozpowszechniona jest pogłoska, że reforma KNW ma polegać – paradoksalnie – na powrocie do dawnego zwyczaju, kiedy to sam papież był równocześnie prefektem KWN. Urząd papieski i urząd prefekta odpowiedzialnego za strzeżenie czystości wiary został rozdzielony przez Pawła VI w roku 1968. Franciszek z pewnością chciałby mieć u boku swojego człowieka, gdyby wziął odpowiedzialność za działania najważniejszego kościelnego ministerstwa.

Jeśli powyższe spekulacje są prawdziwe, to oznacza to, że kwestia oceny homoseksualizmu może mieć jednak jakiś związek z odejściem Morandiego.

Franciszek od początku pontyfikatu dąży do takiego wzmocnienia swojej realnej władzy, by móc podejmować nawet takie decyzje, które są uznawane w Kościele za podważanie autorytetu Objawienia i najbardziej czcigodnych tradycji. Temu służy, rozszerzany w kolejnych latach, wpływ kontrolowanej przez Franciszka praktyki synodalnej. Również powrót do „trydenckiego” modelu sprawowania władzy nad Kościołem i doktryną – poprzez reformę KNW – dałby papieżowi narzędzie do ręcznego sterowania całą instytucją i łamania oporu, który wciąż jest stawiany relatywistycznej rewolucji, którą Argentyńczyk przeprowadza.

Gdyby okazało się, że to zmiana nauczania moralnego o homoseksualizmie miałaby się stać głównym tematem ogólnosiwiatowego synodu, który trwa od jesieni 2021 r., papież będzie potrzebował wiele politycznej mocy. A presja, by tak się stało, jest widoczna, nie tylko na poziomie np. relacji Stolicy Apostolskiej z Kościołem w Niemczech. Wystarczy zobaczyć lub popytać, kto jest szczególnie aktywny podczas spotkań synodalnych, które organizowane są w Pałacu Arcybiskupów Warszawskich. Aktywizacyjna zachęta bp. Piotra Jareckiego skierowana w zeszłym roku do lobby homoseksualnego okazała się bardzo skuteczna.

Bez wątpienia jednak, jeśli Franciszek chciałby przeprowadzić odrzucenie trwającej od czasów Izraela nauki moralnej o sprzecznym z naturą charakterze aktów homoseksualnych, musiałby mieć w swoim arsenale coś, co moglibyśmy analogicznie do świata polityki określić mianem „opcji atomowej”, narzędzie zdolne zdusić każdy sprzeciw. Nie da się ukryć, że pierwszą przeszkodą w zduszeniu katolickiego buntu przeciw relatywizmowi mogłoby się okazać prefekt KNW i jego ludzie. Ten sprzeciw oglądaliśmy po tym, jak pojawiły się relatywistyczne interpretacje adhortacji „Amoris laetitia”, jednym z jego liderów był kard. Müller, wówczas prefekt KNW. Analogiczny charakter miało wystąpienie prefekta ds. kultu bożego i dyscypliny sakramentów, kard. Roberta Saraha razem z papieżem emerytem przeciwko próbom rozmontowania dyscypliny celibatu kapłańskiego. Być może Franciszek wyciągnął wnioski.

Od tego czasu władza papieża jeszcze urosła, ale też wzrosło uzasadnienie dla niepokojów, czy taka inflacja mocy jest czymś dobrym dla Kościoła.

Otrzymała na chrzcie imiona Maria Rozalia (Róża), ale od wczesnej młodości, z powodu jej smukłości, nazywano ją pieszczotliwie z francuska „Bichette” (Biszet), czyli „Sarenką”. Z wiekiem zmieniła się tak bardzo, że rodzina jakby zapomniała, skąd wziął się jej przydomek. Biszeta była jedną z dwóch córek zmarłego w sile wieku Władysława hr. Branickiego, dziedzica dóbr Biała Cerkiew w guberni kijowskiej, i ukochaną córką Marii z ks. Sapiechów. Fortuna, która miała jej przapaść w udziale, była niebotyczna (niezależnie od spłacenia siostry Zofii, włoskiej księżnej Strozzi, sumą 5 mln rubli w złocie tytułem zrzeczenia się praw do majątku).

Odebrała domowe wychowanie i skończyła zaledwie szkołę średnią w zgromadzeniu zakonnym w Paryżu. Pomimo wdzięku i temperamentu była uważana w kręgach arystokratycznych za „niezbyt ułożoną” z powodu domowego zepsucia i lekkomyślności. Jednak ze względu na posag już jako 20-latka została wydana za mąż za pruskiego oficera Jerzego ks. Radziwiłła (1860–1914), przyszłego ordynata na Nieświeżu. Młodzi pławili się na wzór paryski w luksusie, mimo że przebywali w surowej atmosferze berlińskiej rezydencji książąt Radziwiłłów. Ich życie bulwersowało również polskich arystokratów, traktujących parę jako małżeństwo Prusaka z Francuzką.

Kiedy wskutek długów karcianych i wyścigowych książę musiał opuścić wojsko, matka Biszety kupiła dla nich dom w Warszawie przy Al. Ujazdowskich (obecne miejsce to ambasada USA). Było to też związane z koniecznością zamieszkania księcia w granicach Rosji ze względu na przyszłe objęcie ordynacji w Nieświeżu. Po blisko 20 latach od ślubu używający dotąd życia na najwyższych obrotach współmałżonek zapadł na postępujący paraliż. Odtąd ubezwłasnowolniony książę przemieszczał w swojej wiedeńskiej willi otoczony lekarzami. Początek tej choroby zbiegł się ze śmiercią jego ojca, pruskiego generała. Wtedy wybiła dla Biszety, wówczas matki sześciorga małoletnich dzieci, chwila życiowej próby.

PANI NA NIEŚWIEŻU I BIAŁEJ CERKWI

Biszeta stanęła na wysokości zadania, uczestnicząc w zarządzie nad dwoma

Maria Rozalia z Branickich Radziwiłłowa od wczesnej młodości zwana była „Bichette”, czyli „Sarenką” FOT. ARCHIWUM AUTORA



ordynacjami rodowymi Radziwiłłów liczącymi ok. 150 tys. ha. Drugi opiekun radziwiłłowskiej fortuny, polityk kresowy Edward Woyniłowicz, nie mógł wyjść z podziwu, jak osoba mało obeznana w sprawach ekonomicznych potrafiła w sposób łatwy i rozsądny objąć ogrom obowiązków.

Życie Biszety, dzięki dochodowi około miliona rubli z dóbr ukraińskich, upływało pomiędzy Paryżem, gdzie miała swoją rezydencję, i ulubioną willą w Rzymie a ukochanym dworem w Lipkach pod Białą Cerkwią. Jej matka, dama światowej klasy, której zdanie w sprawach ukraińskich cenił zarówno car, jak i papież, rezydowała w Olivetto koło Nicei. Salony na francuskiej Riwierze były pełne koronowanych głów i ary-

wspominanie o nich nie jest już obmową". Bardziej jednak znany okres, gdy małżeństwo jej straciło już swój blask. W opublikowanej kronice rodu Branickich wymieniono dwie nieślubne córki Biszety ze związków z dwoma arystokratami z południa Europy: markizem José de la Gandara i markizem Francesco Marignoli. Były to Maria hr. Plater-Zyberk (1901–1979), późniejsza Kazimierzowa Rzewuska, i bliżej nieznana Maria Zdąnowicz. Córki te zostały wpisane do akt stanu cywilnego jako dzieci innych małżeństw, co było praktyką często stosowaną w przypadku takich wydarzeń.

Po roku 1914 Biszeta przebywała początkowo w Nieświeżu, gdzie zapewniła liczny członkom rodziny i krewnym, którzy znaleźli się w jej zamku z powodu

dencji wielki ślub z ordynatem birzańskim Alfredem hr. Tyszkiewiczem. Był to ostatni już wielki zjazd polskiej i rosyjskiej arystokracji z przedstawicielami domu Romanowów. Sama Biała Cerkiew znalazła się na granicy frontów wojny światowej, ale księżna wraz z matką czuły się bezpieczne w pałacu i nie obawiały się okolicznych mieszkańców. Jednak wraz z rewolucyjnym wrzeniem dotarły tam bandy maruderów, które okradły i zniszczyły pałac. Cudem ocalone, dzięki inicjatywie własnego szofera, mieszkanki pałacu znalazły schronienie u życzliwych mieszkańców miasta. Na początku 1918 r. wyjechały do Kijowa, gdzie po pokoju brzeskim w 1918 r. wkroczyli Niemcy. Biszeta planowała jeszcze powrót do Białej Cerkwi, która stała się kolebką formowania ukraińskich siczowych strzelców, i odbudowę zdewastowanego przez pogrom pałacu. Jednak wskutek wypadków na Ukrainie, zwłaszcza walk pomiędzy Ukraińcami i bolszewikami, okazało się to niemożliwe. Po śmierci matki, jesienią 1918 r., Biszeta ostatecznie opuściła Kijów. Na dworcu poprosiła sympatycznie wyglądającego żołnierza, aby pomógł jej wnieść do pociągu ciężką, wypakowaną klejnotami wielką torbę. Wkrótce wyjechała do swego rzymskiego pałacyku Villino.

OD RZYMU DO NIEŚWIEŻA I Z POWROTEM

„Tante Bichette”, jak ją powszechnie nazywano, była bowiem ciotką dla wielu ze swojej sfery, z wiekiem nabrała wydatnej tuszy o wyglądzie „beczki dobrego wina”. Przeszkadzało jej to we wsiadaniu do pociągu, a i jazda samochodem była możliwa po przeróbce konstrukcji pojazdu, o powozach nie wspominając. Jednak choć ważyła ponoć 150 kg, w niczym nie ujmowało jej to elegancji. Mawiano, że Bóg stworzył Biszetę, nie zobowiązując jej do unikania siedmiu grzechów głównych...

Majestatyczna, zawsze ubrana była na czarno, niekiedy z nutką fioletu i z białym kołnierzykiem. Na szyi miała kilka sznurów pereł wielkości orzeszków. Czoło wysokie i szerokie, a na głowie kokarda. Plotkowano, że z rysów urody przypomina swoją praprababkę carycę Katarzynę II, której naturalną córką miała być Aleksandra z Engelhardtów Branicka (legenda o tym pochodzeniu jest dziś kwestionowana przez historyków). Maria z ks. Radziwiłłów hr. Potocka

Arystokratka ponad wszystko



Tomasz Lenczewski

Najbogatsza kobieta wśród polskiej arystokracji przed pierwszą wojną światową i dama wielkiego serca, którego życie mieniło się wieloma barwami

stokratów z całej Europy, dostojników kościelnych i dyplomatów. Właśnie tam przyszła dziedziczka białocerkiewska weszła w wielki świat i zyskała wpływowych przyjaciół.

W okresie pierwszych 12 lat małżeństwa urodziła swojemu mężowi sześcioro dzieci, w tym trzy córki i trzech synów, z czego troje pierwszych przyszło na świat rok po roku. Ksiądz Walerian Meysztowicz na kartach swoich emigracyjnych pamiętników zapisał grzecznie: „O przygodach Biszety w jej młodości mówiono tak wiele, że dziś w ogóle

wojennych wypadków, „miłą i wesołą gościnność”. W 1915 r. na życzenie matki wyjechała do Białej Cerkwi, gdzie formalnie przejęła dobra liczące przeszło 100 tys. ha. Ordynację nieświesko-klecką objął jej najstarszy syn, Albrecht. W Kijowie, gdzie życie towarzyskie toczyło się w okazałych apartamentach hr. Branickiej, księżna wraz ze swoją najmłodszą córką, Elżbietą, przywdziały strój sióstr miłosierdzia. Obie, jak było to w zwyczaju najwyższej arystokracji, niosły pomoc ofiarom wojny. W 1916 r. urządziła tejsze córce w swojej białocerkiewskiej rezy-



Radziwiłłowie w Nieświeżu w 1927 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

■ wspominała: „Jej charme rozbrajał wszelkie krytyki. Prostota, serdeczność i dobroć jej naturalna tworzyły [...] dookoła niej jakby antytezy tego snobizmu, który tak często spotyka się u ludzi nawet wykwintnych”. Z rozbrajającym uśmiechem potrafiła powiedzieć to, na co nikt nie mógł sobie pozwolić: „Ty nie wiesz, co to jest żyć między brzuchem a pupą”. Umiiała się bawić w każdym towarzystwie, ale wolała się nudzić wśród arystokracji niż w towarzystwie szewca. Nic dziwnego, że zabójca Rasputina, syn stałej bywalczyń jej rzymskiego salonu, ks. Feliks Jusupow napisał dla niej wiersz-dedykację: „Masz 60 lat i wszystko Ci wolno. Masz prawo do młodych miłości i do starych przyjaciół”.

W nowej rzeczywistości politycznej Włoch stała się entuzjastką Benita Mussoliniego, którego fotografia z własnoręczną dedykacją polityka znalazła się na jej biurku. A i on sam zainteresował się księżną i po dyskretnym wywiadzie o jej stanie majątkowym podobno planował udzielić jej pomocy finansowej lub nawet to zrobić.

Nawet na emigracji nie potrafiła zrezygnować z luksusowego życia i ograniczyć swoich wydatków. Choć straciła rodowe dobra, to przy rozsądnym gospodarowaniu resztki fortuny wystarczyły jej na spokojne życie. Jednak nawet po rewolucji otaczała ją gromada ludzi, których utrzymywała. Niektórzy, zwłaszcza emigranci rosyjscy, byli ofiarami przewrotu dziejowego i potrzebowali pomocy, ale inni żerowali na jej dobroci.

Posiadane przez nią legendarne klejnoty ze słynnym rubinem „la Mer Rouge” rozplynęły się, a europejskie nieruchomości zostały sprzedane. Doszło nawet do tego, że nie miała czym uregulować w Rzymie swoich długów u mleczarza czy piekarza.

Była osobą wierzącą, a z wiekiem stała się wręcz bigotką i prawie codziennie uczestniczyła w nabożeństwach. W Rzymie wstąpiła do dwóch rycerskich zakonów: maltańczyków i lazarystów. Jeden z jej synów, ks. Leon, ostatni ordynat nieświesko-klecki, starał się sprowadzić ją do Nieświeża, gdzie czekały na nią zamkowy apartament i skromne apanaże. Jednak matka nie chciała opuszczać ukochanego Rzymu, choć zmuszona tam była zamieszkać w hotelu. W końcu udało się tyle, że na lato zaczęła przyjeżdżać do rodziny. I tak wybuch drugiej wojny światowej zastał ją w Nieświeżu.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich rodzina jej została deportowana, a jej pozwolono zostać w rezydencji na specjalnych prawach. Księżnej wyznaczono rolę żywego eksponatu muzealnego. Podczas zwiedzania zamku przez wycieczki miała w jednym z salonów nie przerywać swego ulubionego pasjansa. Została nawet opisana w sowieckiej „Prawdzie”. Zilustrowano to stosownym jej wizerunkiem, mającym pokazać sowieckim ludziom, jak wygląda polska arystokratka, która żyła w dobrobycie. Tak doczekała interwencji dworu włoskiego i na osobiste zaproszenie bliskiej jej włoskiej monarchini wyjechała jesienią 1939 r. do

Rzymu. Wspominała, że eskortujący ją do granicy sowieccy żołnierze nazywali ją „naszą matuszka kniahini”.

Curzio Malaparte opisał Biszetę czekającą w Warszawie wraz z córką Betką na pociąg do Berlina. Kiedy stały wśród deszczu na peronie Dworca Głównego, oficer niemiecki zlitował się nad sędziwą damą i przyniósł jej krzesło. Biszeta odpowiedziała z czarującym uśmiechem: „Dziękuję bardzo, ale grzeczności przyjmuję tylko od przyjaciół”.

W Rzymie królowa Helena, pamiętając o ich dawnej przyjaźni, urządziła ją w hotelu, a później znalazła dla niej niewielki apartament. Tutaj zrujnowana już arystokratka przyjmowała licznych gości na koszt królowej. Znow próbowała powrócić do dawnej aktywności, usiłując dzięki swoim stosunkom pomagać Polakom w miarę swych skromnych możliwości. Widać, że mocno wierzyła w odmianę losu, bo w podyktowanym testamentie wyszczególniła dokładnie swe dobra leżące już na sowieckiej Ukrainie, zapisując je poszczególnym dzieciom. Dokuczało jej jednak serce i po niedługiej chorobie zgasa jesienią 1941 r., kiedy niemieckie zagony pancerne wkroczyły już do Białej Cerkwi. Zgodnie z jej ostatnią wolą podczas pogrzebu trumna stała na ziemi, a nie na katafalku. Ten teatralny gest mógł być formą ekspiacji za błędy życiowe.

Została znaczne długi, których spadkobiercy nie zamierzali płacić. Tym bardziej że ocalały jeszcze po niej w depozytach różne ruchomości w postaci obrazów, mebli czy dywanów, które przejęli różni członkowie rodziny. Nieliczne książki z jej księgozbioru, z tzw. kalwińskiej „Biblii Radziwiłłowskiej”, po latach zostały sprzedane do Biblioteki Watykańskiej.

Współcześnie zastanawiali się, czy „Bichetta” prowadząca kosmopolityczne życie była Polką? Urodziła się w Paryżu i była poddaną cesarza rosyjskiego, mieszkała w Niemczech, Rosji, we Francji i we Włoszech, najmniej w odrodzonej Polsce. Mówiła przeważnie po francusku i choć władała zarówno rosyjskim, jak i polskim, to wtrącała doń francuskie frazy. Najtrafniej ujął to Walerian Meysztowicz: „Czy była Polką? Niewątpliwie tak, nigdy się swej braniczkiej i sapieżyńskiej polskości nie wyrzekła. Ale była przede wszystkim związana z własną rodzinną ziemią i gdyby ją pytać o jej ojczyznę, to powinna była właściwie wymienić Białą Cerkiew i Nieśwież”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Lekcja Realpolitik

Dlaczego Wielka Brytania i Stany Zjednoczone walczyły z III Rzeszą? Jeżeli wierzyć wojennej alianckiej propagandzie – powielanej do dziś przez Hollywood – o prawa człowieka, wolność i demokrację. Wielka Brytania i USA biły się z Hitlerem, bo był wrednym dyktatorem i masowym mordercą.

My jednak oczywiście nie wierzymy propagandzie i pustym frazesom, które mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Wielka Brytania i USA w rzeczywistości walczyły z Hitlerem w imię własnych, egoistycznych interesów. Rosnąca w siłę, sięgająca po kontynentalną hegemonię III Rzesza kruszyła europejską równowagę sił. A co za tym idzie – zagrażała ekonomicznym i geopolitycznym interesom mocarstw anglosaskich.

Dowód? Gdyby rzeczywiście Churchill walczył o demokrację i wolność, musiałby wypowiedzieć wojnę nie tylko Hitlerowi, lecz także Stalinowi. On tymczasem zawarł ze Stalinem sojusz. A z samym Stalinem się zaprzyjaźnił.

Właśnie o tej szorstkiej przyjaźni opowiada ciekawa książka „Churchill i Stalin. Toksyční bracia”. Autorzy policzyli, że obaj

przywódcy w trakcie wojny wymienili 500 listów. Churchill dwa razy był w Moskwie. Ze Stalinem rozmawiał podczas konferencji tzw. wielkiej trójki. Mimo zgrzytów i nieporozumień panowie darzyli się sympatią, a stworzona przez nich koalicja przetrwała.

Czy Churchill – jak twierdzą nasi romantycy – popełnił „fatalny błąd” lub „splamił się moralnie”, zawiązując sojusz ze Stalinem? Sojusz, na którego ołtarzu złożył interesy Polski? Podobne zarzuty są niepoważne. Romantycy zapominają, że Churchill był premierem Wielkiej Brytanii, a nie Polski.

Jego obowiązkiem było dbać o interesy swojej własnej ojczyzny, a nie cudzej. Armia Czerwona wiązała 80 proc. sił Wehrmachtu. Front wschodni przełamał kręgosłup maszyn wojennej III Rzeszy, co zaoszczędziło olbrzymią ilość krwi Anglosasom.



★★★★★
**GEOFFREY
ROBERTS I INNI**
**„CHURCHILL
I STALIN.
TOKSYČNI
BRACIA”**
BELLONA

W tej sytuacji Churchill musiałby być szaleńcem, żeby zerwać Wielką Koalicję z powodu interesów małej i słabej Polski. Że to niemoralne? No cóż, zawsze to powtarzam: Anglicy podczas wojny dali nam brutalną lekcję Realpolitik. Żadnych przyjaciół – tylko interesy. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Literat smakoszem

Nie bez powodu Bolesław Prus w swoich powieściach często wspominał o piwie, uważa lektura jego tekstów sugeruje bowiem, że pisarz był wielbicielem dobrej kuchni. Może nie wypijał siedmiu kufli piwa podczas jednej wizyty w lokalu jak stary subiekt Rzecki, ale na pewno lubił bardzo dobrze

łączyć „jadał i sypiał jak wielkolud”, lecząc się „jedzeniem i wyborym powietrzem”. W ogóle lubił posiłki „tłuste i czubate”.

W swoich kronikach zwracał często uwagę nie tylko na fatalną jakość piwa, lecz także innych produktów spożywczych. Najwyraźniej fałszowanie żywności nie jest wynalazkiem czasów nam współczesnych, gdyż już w epoce Prusa rozcieńczano mleko (oczywiście wodą z Wisły), a do tego dochodziły jeszcze „pneumatyczne operacje wydymania cięlciny” i fatalna jakość chleba. Fałszowano nawet herbatę, dosypując do niej jakieś suszone zielsko. Nic zatem dziwnego, że uważał, iż przy takich produktach o żadnej przyjemności jedzenia nie mogło być mowy.

Prus zresztą zawsze uwielbiał prezenty kulinarne, a szczególnie przesyłane ze wsi „smaczne masło i chleby” i „wyborne rydze”. Do końca życia zachowywał się jak dawny głodny student, który gdy dostał wreszcie pieniądze, cieszył się na myśl, że zaraz kupi salcesonu „za 20 groszy”, co go wreszcie „wzmocni”. I planował, że będzie w ten sposób się wzmacniał codziennie, co zapewne miało miejsce. Czy jego zamiłowania podzielała żona, Oktawia Trembińska, którą poślubił 14 stycznia 1875 r., pozostaje tajemnicą. Podobno zresztą ta pani bardziej gustowała w Sienkiewiczach, który był bardziej stonowany w sprawach kulinarnych. ©©

Bolesław Prus zawsze uwielbiał prezenty kulinarne

zjeść, co potwierdza wręcz nieprawdopodobna liczba kulinarnych porównań przez niego stosowanych.

Zatem pojawia się „chleb powszechny szacunku” i „pierniczki uwielbień”, a także „szampan cynizmu”. Jeden z bohaterów „Lalki” miał mieć własności zbliżone do „starego sera, co to podnieca chore żołądki, ale prosty smak może pobudzić do wymiotów”. Od tego już niedaleko do kobiet „traktujących ludzkie serca jak poledwice” czy mężczyzn chcących „zjeść ładną kobietę jak ostrygę”.

Analiza prywatnej korespondencji pisarza powoduje, że kulinarne porównania przestają dziwić. Prus zawsze bowiem wychodził z założenia, że nie można „żałować na jedzenie, bo to grunt, przyjemności także są niezbędne i na to wcale nie szkoda pieniędzy”. Podczas pobytów na kuracji w Na-

Odnowiciel i męczennik



Piotr Tylus

García Moreno wyznawał zasadę, że bez Boga nie można zapewnić społeczeństwu bezpieczeństwa i nie można zbudować trwałych, solidnych instytucji prawnych

W wigilię Bożego Narodzenia minęło 200 lat od urodzin Gabriela Garcíi Moreno (1821–1875), prezydenta Ekwadoru, brutalnie zamordowanego przez rewolucję. Rocznicy nikt nie obchodził, gdyż jest to postać dzisiaj zapomniana, choć wyjątkowa na tle przywódców państw ówczesnego świata. Niegdyś jego imię było na ustach wszystkich, jednak został zepchnięty w otlęcia zapomnienia przez wrogów Kościoła. Sylwetkę Garcíi Moreno przybliżyła nam publikacja wydawnictwa Andegavenum: „Gabriel Garcíi Moreno. Odnowiciel ojczyzny – męczennik za cywilizację”, stanowiąca tłumaczenie z języka francuskiego książki wydanej po raz pierwszy w ostatniej ćwierci XIX w., napisanej przez redemptorystę o. Augustina Berthe, który przez pewien czas pełnił funkcję sekretarza tego wielkiego człowieka z rasy herosów pojawiających się w Herbertowskim „Przesłaniu Pana Cogito”. Książka nie jest po prostu biografią, lecz napisaną w sposób niezwykle barwny powieścią historyczną, którą czyta się w zasadzie jednym tchem – lektura na dwa wieczory.

Kim był Garcíi Moreno? Czym wyróżniało się jego życie? Co takiego czynił, że zapisał się w historii złotymi zgłoskami?

CZŁOWIEK WIELKIEGO FORMATU

Ekwador wyłonił się z założonej przez Simóna Bolívara Republiki Wielkiej Kolumbii (dzisiejsze Kolumbia, Wenezuela, Panama i Ekwador). Był to twór powstały w wyniku rewolucji, które przetoczyły się

przez Amerykę Południową na początku XIX w., a których celem było oderwanie ogromnej części tego kontynentu nie tylko od korony hiszpańskiej, lecz także od religii katolickiej (z tego właśnie powodu obecnie są to tereny misyjne).

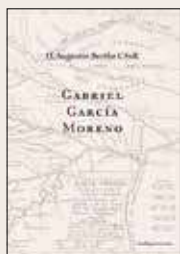
Bolívar niewątpliwie był idealistą, wierzył w ideały demokracji, jednak radykalny przewrót, którego był współautorem, doprowadził jedynie do przejęcia władzy i strefy wpływów przez ludzi, którzy wprawdzie mieli usta pełne frazesów, ale demokracja była dla nich wyłącznie kluczem czy wytrychem do wielkiej konsumpcji. Pod koniec życia Bolívar – Libertador (Wyzwoliciel) – wypowiedział następujące słowa: „Rodacy! Zdobyliśmy niepodległość, ale ze wstydem malującym się na moim czole wyznaję przed wami, że straciliśmy wszystkie inne dobra”.

Zatem Republika Ekwadoru powstała w chwili, kiedy rozpadła się Wielka Kolumbia, w roku 1830. Przez trzydzieści pierwszych lat istnienia tego państwa rządził nim ludzie, którzy dbali jedynie o swe prywatne interesy i bogacili się, łupiąc społeczeństwo. Wyłoniła się wówczas opozycja i Ekwador stał się terenem niezwykle krwawych, bratobójczych walk. Na jej czele w końcu stanął Gabriel Garcíi Moreno – doktor prawa, błyskotliwy adwokat i bardzo niebezpieczny dla swych wrogów polemista, który zrozumiał, że jego kraj „odnajdzie pokój dopiero wtedy, gdy demokratyczne instytucje zostaną podporządkowane najwyższej władzy Chrystusa”. Tak, ten człowiek miał zastosować w każdej sferze życia społecznego integralną naukę społeczną Kościoła; można powiedzieć, że jego życie było doktryną katolicką w praktyce.

Najpierw wyzwolił swój kraj z rąk ludzi, którzy stosowali wszelkie możliwe środki, byleby tylko utrzymać się przy władzy, włącznie z angażowaniem obcych mocarstw w konflikty wewnętrzne. Jego celem nie była prezydentura. Został po raz pierwszy prezydentem w roku 1861, ale tylko dlatego, że go o to usilnie proszono. Widziano w nim bowiem czło-



FOT. DOMENICA PUBLIKAZA



**AUGUSTIN BERTHE
„GABRIEL
GARCÍA MORENO.
ODNOWICIEL
OJCZYZNY
– MĘCZENNIK ZA
CYWILIZACJĘ”
ANDEGAVENUM
2021**

wieka wielkiego formatu, który nie ugnie się pod żadnymi naciskami, zdolnego odnowić ojczyznę, wyprowadzić ją z otchłani rozpacz, z ogólnego chaosu, z nędzy i upokorzenia, nie za cenę zgubnych kompromisów, bo nie był on człowiekiem kom-

promisu, pragnącym zadowolić wszystkie wyklucza-

jące się frakcje, ale za cenę niezbędnych, kluczowych reform.

„Aby docenić jego dzieło jako reformatora – czytamy we wspomnianej książce – należy

sobie przypomnieć zasadę

po stokroć potwierdzoną faktami. Otóż stronnictwo rewolucyjne, ten złowrogi rój brzęczących i żarłocznych szerszeni, stawia przed sobą jeden tylko cel: konsumować, nie wytwarzając. Jeśli stronnictwo rewolucyjne chwytą w szpony jakiś kraj, czy to w wyniku aktu siłowego, czy też z powodu głupoty wyborców, to celem tegoż stronnictwa nie jest poprawa bytu obywateli, ale jest nim życie na ich koszt.

Jego taktyka polega na miażdżeniu Kościoła, aby nie mógł on krzyczeć: łapać złodzieja. Ponadto z administracji usuwa ludzi uczciwych i sumiennych, ponieważ pożąda zajmowanych przez nich stanowisk lub boi się ich spojrzeń. Następnie, kiedy wszystkie pszczoły robotnicze zginą od żądła tych pasożytów, rozpoczyna się wielkie żarcie. Szerszenie urządzają się w ministerstwach, w prefekturach, w merostwach, w armii, w sądach, w bankach, w instytucjach finansowych – wszędzie, gdzie można się utuczyć. Tam żrą, ile wlezie – dopóty, dopóki inny rój braci i przyjaciół nie każe im się stamtąd wynieść.

Po 15 czy 20 latach takich rządów dany naród, jakkolwiek by był bogaty, jest wyżarty do samych kości. Pewnego pięknego ranka budzi się i widzi, że został odarty z religii i honoru. Nie ma już kredytu zaufania, nie ma rolnictwa ani przemysłu, ani handlu, ani finansów publicznych, ma za to miliardy długów i bankructwo pukające do drzwi. Aby pocieszyć tego biednego Hioba, grube i tłuste szerszenie brzęczą mu do ucha jakąś starą, monotonną śpiewkę na cześć postępu i wolności. Taki właśnie był stan nędzy i rozpacz, do którego rewolucja do-

prowadziła Ekwador. Pierwszym celem, jaki García Moreno przed sobą postawił, było zastąpienie szerszeni pszczołami”.

KATOLICKA KONSTYTUCJA

Tak więc przystąpił do dzieła. Oczywiście miał swoich przeciwników, którzy podburzali naród. Gdy w roku 1869 został prezydentem po raz drugi, ulice jednego z ekwadorskich miast przemierzały manifestacje, a na sztandarze widniał napis „Konsty-

tucja”. García Moreno niezmiennie powtarzał, że konstytucja jest dla narodu, a nie naród dla konstytucji, podobnie jak lekarstwo jest dla chorego, a nie chory dla lekarstwa. Ponieważ konstytucja nie gwarantowała narodowi pomyślności i bezpieczeństwa oraz nie była osadzona na trwałych zasadach, jak również nie zapewniała władzy wykonawczej możliwości skutecznego działania, postanowił ją zmienić. Doprowadził do uchwalenia konstytucji katolickiej, opartej na nauce społecznej Kościoła, w przekonaniu, że taka ustawa zasadnicza jest jedynym sposobem na „przywrócenie w tym kraju moralności poprzez zdecydowane karanie występku oraz solidną edukację młodych pokoleń, a także jedynym sposobem na ochronę świętej religii przodków oraz na przeprowadzenie reform, do których ani rząd, ani istniejące prawa same przez się doprowadzić nie mogą”.

García Moreno wyznawał zasadę, że bez Boga nie można zapewnić społeczeństwu bezpieczeństwa i nie można zbudować trwałych, solidnych instytucji prawnych. Trudno nie porównać go do Karola Wielkiego, który również był człowiekiem wiary, zawsze cechowała go wola zapewnienia ładu i pokoju – warunków koniecznych, w jego przekonaniu, aby każdy tu, na ziemi, mógł pracować nad swoim zbawieniem. Trudno też nie porównać go do św. Ludwika IX, króla Francji, który podobnie jak on dbał nie tylko o zbawienie swoich poddanych, lecz także o ich dobrobyt doczesny. Jeśli chodzi o ten drugi aspekt, to rozwiązania przyjęte przez ekwadorskiego prezydenta, np. w sferze podatkowej, do złudzenia przypominają działania św. Ludwika, który zmniejszył podatki, a niektóre (tzw. złe podatki) zupełnie zlikwidował. Dzięki temu posunięciu jeden i drugi przyczynili się do znacznego ożywienia gospodarki. Nie byli to politycy krótkowzroczni, którzy troszczą się jedynie o zaspokojenie doraźnych potrzeb, drenując kieszenie

podatników. Za rządów Garcíi Moreno intensywnie rozwijał się przemysł, podobnie jak rolnictwo, zbudowano sieć dróg, które wcześniej w Ekwadorze praktycznie nie istniały, a szkolnictwo rozkwitało na wszystkich poziomach. Społeczeństwo rozwijało się pod względem intelektualnym, moralnym i materialnym – tworzyła się prawdziwa cywilizacja. Później owoce działalności tego człowieka zostały w dużej mierze zniszczone przez ludzi postępu.

Doprowadził do zawierzenia Republiki Ekwadoru Przenajświętszemu Sercu Jezusa – intronizacja podobna jak niedawno u nas, a jednak inna. Inicjatywa wyszła od niego. To właśnie na jego prośbę trzeci sobór biskupów Ekwadoru postanowił dokonać tego aktu, nadając swojej decyzji rangę dekretu soborowego. Podobny dekret na wniosek prezydenta został uchwalony przez obydwie izby parlamentu. Następnie arcybiskup Quito w otoczeniu wszystkich biskupów spotkał się w katedrze z prezydentem, któremu towarzyszyli wszyscy członkowie rządu oraz najwyżsi rangą oficerowie. Akt zawierzenia Republiki Przenajświętszemu Sercu najpierw został odczytany w obecności ludu przez arcybiskupa reprezentującego władzę duchowną, a następnie przez prezydenta jako najważniejszego przedstawiciela władzy świeckiej.

Dodajmy na koniec, że Gabriel García Moreno jako jedyny przywódca państwa głośno zaprotestował przeciwko inwazji na Rzym w roku 1870 i likwidacji Państwa Kościelnego w jego ówczesnej postaci, a jego sprzeciw odbił się szerokim echem w obu Amerykach i w Europie.

„BÓG NIE UMIERA!”

Gdy po raz trzeci został przez naród wybrany na prezydenta, jego wrogowie, którzy jednocześnie otwarcie występowali przeciwko Bogu i Kościołowi, postanowili go zgładzić, za nic mając demokratyczne wybory. W chwili, kiedy wychodził z kościoła, zaatakowała go grupa spiskowców. Herszt tej bandy siekał go maczetą, gdy pozostali strzelali z rewolwerów, a na koniec rzucił mu w twarz: „Umieraj, kacie wolności!”. „Dios no muere!” (Bóg nie umiera!) – wyszeptał konający prezydent i były to jego ostatnie słowa.

Kongres Ekwadoru przyznał mu pośmiertnie dwa dostojne tytuły: Odnowiciela Ojczyzny i Męczennika za Cywilizację. García Moreno był wprawdzie odnowicielem swojej ojczyzny, ale poniósł męczennską śmierć za naszą chrześcijańską cywilizację.

Mniejszy rachunek za prąd? To możliwe

Od początku roku obowiązują nas wyższe stawki za energię. Nasze rachunki częściowo ochroni Rządowa Tarcza Antyinflacyjna, ale warto też dokładnie przemyśleć swoje nawyki, by płacić mniej – przypomina Polski Komitet Energii Elektrycznej

W wyższe ceny towarów i usług, których doświadczyliśmy już w 2021 r., to w mniejszym lub większym stopniu pochodną zawirowań w światowej gospodarce spowodowanych pandemią i rosnącymi cenami paliw. Nowy rok to kontynuacja tych zjawisk, które odbijają się także na rynku energii, która jest ważną praktycznie dla każdej branży. Dlatego rząd przygotował pakiet działań i pracuje nad kolejnymi, które mają częściowo ulżyć naszym portfelom. Warto jednocześnie wiedzieć, że za wyższe ceny energii nie

ponoszą odpowiedzialności ani rząd, ani sprzedawcy energii. Skąd w takim razie biorą się wyższe stawki?

NIERÓWNOWAGA ETS

Unijny system handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS) jest kluczowym elementem polityki UE na rzecz walki ze zmianą klimatu oraz podstawowym narzędziem do zmniejszania emisji gazów cieplarnianych. Jest to pierwszy i dotychczas największy na świecie rynek uprawnienia do emisji dwutlenku węgla. Problemem jest występująca w nim nierównowaga.

Polska gospodarka rozwija się dynamicznie i potrzebuje więcej uprawnień niż te, którymi dysponujemy. Borykamy się z deficytem o szacowanej wartości ponad 13 mld zł. Opłaty od polskiej energetyki za uprawnienia trafiają bowiem nie tylko do polskiego budżetu, lecz także do budżetów państw członkowskich, które dysponują nadwyżkami.

Deficyt uprawnień dotyka gospodarek tych państw, które poniosą najwyższe koszty transformacji energetycznej. Tymczasem to one właśnie pośrednio finansują transformację energetyczną w państwach, które już mają duży udział OZ. Dotyczy to m.in. Polski, gdzie ok. 70 proc. wytwarzanej energii pochodzi z elektrowni węglowych, które muszą kupować uprawnienia do emisji CO₂.



Problem ten potęguje gwałtowny wzrost ceny uprawnień. Każda zmiana w tym zakresie to podwyższenie uśrednionych stawek energii elektrycznej, a przecież w 2021 r. mieliśmy do czynienia z trzykrotnym wzrostem kosztów emisji CO₂, który obecnie wynosi ok. 90 euro za tonę. W 2014 r. było to 6 euro...

PRAWDZIWY KOSZT ENERGII

Koszt wytworzenia energii to kilka składowych, z czego obecnie aż 59 proc. to cena uprawnień do emisji CO₂, a tylko 25 proc. to tzw. pozostałe koszty związane z produkcją energii.

Kolejne 8 proc. to koszty OZE i efektywności energetycznej, które również mają bezpośredni związek z polityką klimatyczną Unii Europejskiej. 6 proc. to koszty własne sprzedawców energii, ta-

kie jak obsługa klienta czy zatrudnienie pracowników. Ostatnie dwie składowe to: akcyza – 1 proc. i marża sprzedawców energii, która wynosi 1 proc.

Oprócz tego istotnego czynnika napędzającego wzrost cen mamy przy okazji do czynienia ze wzrostem cen surowców, przy jednoczesnym zwiększeniu zapotrzebowania na energię związanym zżywieniem gospodarczym.

Biorąc pod uwagę powyższe, nieuprawnione jest przerzucanie winy za podwyżki na rząd ani na firmy energetyczne, bo wspomniany 1 proc. marży to niewielkie pole manewru.

Założenia ETS są słuszne, pieniądze pozyskane z zakupu emisji mają wspierać zieloną transformację. Gorzej jednak z praktyką, gdyż – jak się okazuje – szczytna idea została wypaczona.

W Europie trwa ożywiona dyskusja na ten temat, a polski rząd bierze w niej aktywny udział. Mimo szeroko zakrojonej akcji dyplomatycznej na razie nie udaje się przekonać Komisji Europejskiej ani kluczowych państw członkowskich do pochylenia się nad problemem nierównowagi ETS. Warto wspomnieć, że deficyt uprawnień to nie tylko problem Polski. Dotyczy on również Hiszpanii, Niemiec, Włoch, Holandii i w nieco mniejszym stopniu Grecji i Czech. Ostatecznym efektem jest wzrost cen energii w całej Europie, niezależnie od tego, czy w danym kraju dominuje węgiel, gaz, czy atom.

Na początku stycznia Polska złożyła do KE wniosek o kompleksową reformę systemu handlu uprawnieniami do emisji CO₂ w systemie ETS. Na efekty tych starań musimy jeszcze poczekać.

O ILE WYŻSZE RACHUNKI?

W grudniu prezes Urzędu Regulacji Energetyki zatwierdził nowe taryfy dla gospodarstw domowych, zarówno dla sprzedaży energii, jak i taryf dystrybucyjnych. Zaczęły one obowiązywać od 1 stycznia.

Według wyliczeń Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej miesięczny rachunek przykładowej rodziny 2 + 2 w grupie taryfowej G11 zużywającej 1,8 MWh prądu miesięcznie wzrośnie średnio o ok. 21 zł. Rząd już wcześniej przygotował rozwiązania, które mają złagodzić nagły wzrost cen. Dzięki obniżeniu akcyzy i stawki podatku VAT przez pierwsze trzy miesiące podwyżka wyniesie tylko ok. 6 zł.

Dodatkowo na wsparcie rządu w tym trudnym czasie mogą liczyć gospodarstwa o średnich i niskich dochodach, które zostaną objęte działaniami osłonowymi w ramach Tarczy Antyinflacyjnej. To nawet do 1437,50 zł rocznie, w zależności od wielkości gospodarstwa i dochodu w przeliczeniu na osobę oraz rodzaju ogrzewania. Stosowny wniosek należy złożyć w gminie lub przez Internet, najlepiej do końca stycznia, bo wtedy wsparcie trafi do nas najszybciej.

Pamiętajmy jednak, że jak zawsze wysokość rachunku zależy będzie od naszego indywidualnego podejścia. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej warto dokładnie przemyśleć swoje codzienne nawyki pod kątem możliwości oszczędzania prądu.

JAK OSZCZĘDZAĆ?

Ekspert nie ma wątpliwości, że to nie koniec podwyżek prądu. Surowce energetyczne drożeją, a jeśli reforma ETS nie dojdzie do skutku, to ceny uprawnień do emisji CO₂ utrzymają się na tak wysokim poziomie. Szczególnie że będzie ich coraz mniej na rynku. Jednocześnie Polska będzie ponosić wysokie koszty inwestycji w odnawialne źródła energii oraz w modernizację istniejących sieci przesyłowych.

Tym bardziej warto uświadomić sobie, że o ile nie mamy wpływu na podwyżki, o tyle już na zużycie prądu tak. Wiele z naszych nawyków ma wpływ na to, jak zachowują się cyferki na liczniku energii. W pierwszej kolejności sprawdź na rachunku swoją taryfę. Może się okazać, że płacisz mniej za prąd zużywany w nocy i w weekendy. Jeśli tak, to warto na ten czas zaplanować np. pranie czy zmywanie. A skoro mowa o praniu, to pamiętaj, że wyższa temperatura to nie tylko wyższy pobór prądu, lecz także mniejsza trwałość ubrań. Spójrz na swoje urządzenia elektryczne i zastanów się, czy faktycznie z nich korzystasz. Zwróć przy tym uwagę na te, które niepotrzebnie na okrągło się ładują.

Kupując nowe sprzęty, zwracaj uwagę na ich klasę energetyczną, inwestycja w droższą, ale bardziej energooszczędną lodówkę na pewno się opłaci. To samo dotyczy zmiany oświetlenia na LED.

Chcesz dowiedzieć się, jak jeszcze możesz zaoszczędzić? Wejdź na stronę: www.liczysieenergia.pl, przygotowaną przez Polski Komitet Energii Elektrycznej.

JAN BOGATKO: Cieszę się bardzo, że znalazł pan czas dla nas w tej jakże trudnej sytuacji, wymienimy najważniejsze wydarzenia, jak afera Telegram (wezwanie do zabójstwa szefa rządu w Saksonii, przeszukania mieszkań w Dreźnie), COVID-19 i tak dalej. Okropne, jednym słowem...

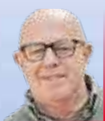
MICHAEL KRETSCHMER: To prawda. Ale dla mnie to zaszczyt udzielać wywiadu tak znanej polskiej gazecie. Przejdźmy zatem do rzeczy.

W mediach niemal codziennie widzimy informacje, ilu to migrantów z Azji i Afryki z terytorium Białorusi przez polską granicę przybywa do Saksonii. Czy pana to niepokoi?

Na wstępie chcę powiedzieć, że wstrząsają mną zdjęcia – to są biedni ludzie, których ściągnięto pod fałszywymi obietnicami, którzy wydali swój ostatni grosz i przylecieli jako turyści do Białorusi w nadziei, że otrzymają azyl w Europie. Tymczasem jest jasne, jak słyszymy ich historie, że nie uzyskają oni azylu w Europie. Wstrzymanie tej katastrofy humanitarnej jest dla nas wyzwaniem. Oczywiście, jeśli staną oni u nas, na naszym progu, to będą należycie traktowani, co do tego nie ma wątpliwości. Jednak Polska wyświadcza Unii Europejskiej ogromną przysługę, powstrzymując zagrożenie ze strony białoruskiego dyktatora Łukaszenki. Za to jestem bardzo wdzięczny stronie polskiej. Polska policja i żołnierze, pełniący służbę na granicy z Białorusią, nie mają bynajmniej łatwego zadania. Tam chodzi o cywilów, także dzieci. To jest szantaż. Nikt nie chciałby się zamienić z tymi, którzy zabezpieczają dzisiaj tę granicę Unii Europejskiej.

Szefowa MSZ Niemiec Annalena Baerbock była niedawno w Warszawie i też poruszyła ten temat. Czy nowy rząd kanclerza Olafa Scholza uregułuje problem migracji inaczej, niż było to w czasach kanclerz Angeli Merkel?

Tego nie wiem, ale w każdym razie jest inaczej niż w czasach, kiedy ci koledzy znajdowali się jeszcze w opozycji. Teraz ponoszą oni odpowiedzialność za Europę. Mianowicie przez tę operację Unia Europejska miała być podzielona, a na Niemczech spoczywa ważne zadanie udaremnienia tego podziału. A przeciwdziałanie dyktatorowi Łukaszence polega na sankcjach dla linii lotniczych oraz rozmowach w krajach pochodzenia migrantów. Musi to także znaleźć wyraz w poparciu dla Polski dla zabezpieczenia granic.



Z premierem Michaeliem Kretschmerem, szefem rządu krajowego Saksonii, politykiem CDU, który był jednym z pierwszych niemieckich liderów opinii popierających działania Polski na granicy z Białorusią rozmawia Jan Bogatko



FOT. FLORIAN GAERNER/PHOTOTHEK/GETTY IMAGES

W „Neue Zürcher Zeitung” przeczytałem artykuł autorstwa Fatini Keilani, która pisze, że nowy rząd Niemiec musi dostosować politykę imigracyjną do realiów, inaczej zagrozi ona nie tylko pokojowi we własnym kraju. Jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

Absolutnie słuszna uwaga. Polityka rozpoczyna się od oceny realiów. W Niemczech jesteśmy zdani na imigrację wykwalifikowanej siły roboczej. To jest wielkie zadanie i społeczna akceptacja tego kroku nastąpi jedynie wtedy, gdy ograniczy się nielegalną imigrację.

Ta nielegalna migracja stanowi wyraz wojny hybrydowej, nowej formy prowadzenia wojny

Nic nie usprawiedliwia tego postępowania Łukaszenki. Jest ono złe. To, że my, Unia Europejska, dzisiaj partycypujemy w zaopatrzeniu ludzi na Białorusi, także w organizacji i w kosztach transportu do krajów pochodzenia, to jest to wielkie wyjście naprzeciw problemowi. Jeśli chcemy rozwiązać ten konflikt, to musimy wyjść naprzeciw sobie. Oczywiście nie może to polegać na tym, że przyjmujemy w Europie ludzi, którzy z turystyczną wizą przylecieli na Białoruś, lecz na zorganizowaniu dla nich humanitarnego powrotu do krajów pochodzenia. Mając na uwadze to, że chodzi tutaj o ludzi, jest to moim zdaniem absolutnie usprawiedliwione.

Świadczeniami socjalnymi, wspólnymi zasadami z zakresu integracji, regułami podejmowania pracy, ale nie ma gotowości w Europie do porozumienia się w tej kwestii. Możemy o tym mówić i do tego dążyć, ale status quo jest także wystarczające, by na jego bazie pracować nad rozwiązaniem problemu migracji. My mamy porozumienie z Dublinem o readmisji (odsyłaniu nielegalnych migrantów), mamy porozumienie o strzeżeniu zewnętrznych granic UE. Jeżeli kraje członkowskie nie są tego w stanie wykonywać w pojedynkę, to inne kraje członkowskie muszą im w takich zadaniach pomagać.

Broniącym granic trzeba pomóc

między Białorusią, względnie Rosją w kontekście zagadnienia kijowskiego, a Unią Europejską. Szantaż wobec Zachodu, Unii Europejskiej?

Unia Europejska jest szantażowana i do tego za pomocą absolutnie antyhumanitarnego instrumentu. Rzeczywiście biednych ludzi – także w porównaniu ze standardem życia w Polsce – doprowadza się do tego, by sprzedali wszystko, co posiadają w krajach afrykańskich czy arabskich, by postawili wszystko na jedną kartę, polecili na Białoruś jako turyści, wierząc w to, że w Europie uzyskają azyl. Już tylko te okoliczności same w sobie składają się na to, że ludzie ci nigdzie nie uzyskają azylu i na 99 proc. będą musieli wrócić do krajów pochodzenia. Jakie cierpienia wywoła to u tych ludzi?! To jest okropne i przeciwne naszym wszystkim europejskim wartościom. Dlatego musimy położyć kres działaniom tego dyktatora.

Z moralnego punktu widzenia niesłychane nieszczęście tych ludzi jest oczywiste. A zatem zrozumiałe, że wielu obywateli chce pomóc tym ludziom. Ponadto jednak Unia Europejska przyznała finansową pomoc migracyjną Białorusi, a pieniądze te wpadają do kieszeni dyktatora.

Gazeta „NZZ” jest zdania, że przesadne i błędne oczekiwanie migrantów co do Niemiec obudziło rząd federalny w czasach kanclerz Angeli Merkel. Tak było?

Nie. Uważam, że chodzi tutaj o coś innego. Jest niewiele państw europejskich, które w znacznym stopniu wspierają ludzi mających roszczenie do uzyskania azylu lub otrzymania statutu uznanego uchodźcy. Tu trzeba wymienić Szwecję, Danię czy Republikę Federalną Niemiec. I te wszystkie finansowe świadczenia, a także możliwości integracji socjalnej przeznaczone są – podkreślam to – dla prawnie uznanych uchodźców i osób ubiegających się o azyl. W wielu krajach to przedstawia się błędnie i przesadnie. Czasem używa się tego jako argumentu przeciw zajmowaniu się tym wspólnym zadaniem, jakim są sprawy azylowe. No bo skoro ci ludzie i tak chcą wyjechać do Danii, Szwecji czy do Niemiec... Tak do tego podchodzić jednak nie można. W Niemczech mamy inny poziom dochodów niż na przykład w Polsce, dlatego też pomoc jest u nas nieco wyższa niż tutaj. Ostatecznie wiele przemawiałoby za wspólną europejską polityką azylową, także za wspólnymi

Czego konkretnie oczekiwałby pan w tej kwestii od polskiego rządu?

Polski rząd robi dużo. Te doświadczenia mogą być bardzo przydatne do wspólnego, mocniejszego zajęcia się kwestiami readmisji migrantów, a także gotowości do przyjęcia naprawdę uznanych prawnie uchodźców i osób ubiegających się o azyl. Uważam, że Polska, która stanęła wobec szczególniego wyzwania, powinna postawić także następny krok. Jesteście bardzo chrześcijańskim krajem i w pewnym zakresie powinniście udzielić schronienia ludziom prześladowanym z powodu wyznawanej religii, kobietom prześladowanym wskutek emancypacji, które chcą uciec przed tymi prześladowaniami, czy też ludziom prześladowanym z powodu orientacji seksualnej. Zapewnienie im przyszłości byłoby jak najbardziej zgodne z chrześcijańskimi zasadami. To oczywiście, że możliwości w Polsce są znacznie skromniejsze niż w Republice Federalnej Niemiec, ale większa otwartość zwiększyłaby dodatkowo, jak myślę, znaczenie Polski jako partnera w Unii Europejskiej.

100 sekund do zagłady



Jacek Przybylski

– Ponowna inwazja na Ukrainę będzie katastrofą dla Rosji. Putin nigdy nie widział takich sankcji, jakie mu obiecałem – oznajmił prezydent USA, przekonując jednocześnie, że rosyjski przywódca nie ma innego wyjścia niż zaatakować. Joe Biden zaznaczył też, że „mniejsze wtargnięcie” rosyjskich wojsk na Ukrainę nie będzie niosło ze sobą aż tak poważnych konsekwencji. Ukraińcy są zszokowani i przerażeni

Trwa coraz bardziej nerwowe odliczanie do inwazji rosyjskich wojsk na wschodnią Ukrainę. Kijów alarmuje, że wzdłuż ukraińskiej granicy na rozkaz Władimira Putina czeka w gotowości już nie 100 tys., lecz co najmniej 127 tys. żołnierzy, a Rosja dostarcza na zachodnie rubieże kraju kolejne oddziały oraz ciężki sprzęt wojskowy. Ukraińcy mają się więc czego bać. – Proszę mi wierzyć, że pojutrze ta liczba może sięgnąć 210 tys., a za tydzień 780 tys. Rosja ma ku temu wszelkie możliwości – oznajmił w ubiegłym tygodniu naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy Wałerij Załużny. – Mamy do czynienia

z armią Federacji Rosyjskiej, która liczy obecnie niemal milion wojskowych – podkreślił ukraiński oficer. – Rosja zgromadziła 100 tys. żołnierzy przy granicy z Ukrainą i wkrótce ta liczba może zostać podwojona – mówił zaś w Kijowie szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken. Na początku lutego do Kijowa ma jeszcze przybyć prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, który deklaruje chęć pośredniczenia w rozmowach między Rosją a Ukrainą.

W pobliżu Ukrainy jest już kilkadziesiąt wyrzutni rakiet Iskander o zasięgu aż 700 km, a więc zdolnych do niszczenia celów nawet w Kijowie. Są także jednost-

ki rozpoznania elektromagnetycznego, ponad tysiąc czołgów, 2 tys. dział, 3 tys. bojowych wozów piechoty, a do tego kilkaset myśliwców i śmigłowców.

ZIELONE ŚWIATŁO DLA PUTINA?

I chociaż wciąż nie wiadomo, czy decyzja o ataku rzeczywiście już zapadła, to wydaje się, że Władimir Putin posunął się już zbyt daleko w publicznym straszeniu Zachodu, aby teraz mógł z twarzą wycofać się z groźby ataku na Ukrainę.

Przekonany o nieuchronności rosyjskiej inwazji wydaje się amerykański prezydent. Joe Biden nie ukrywał tego nawet podczas konferencji prasowej



Polski i Rumunii. – Mamy święty obowiązek wynikający z artykułu 5 do obrony tych krajów, które są członkami NATO – podkreślił Joe Biden, odpowiadając na pytanie o to, czy Ameryka zgodzi się na wycofanie swych oddziałów z Europy Wschodniej, czego zażądała od Waszyngtonu Moskwa.

Prezydent Ameryki podczas oficjalnej konferencji zdradził, że wbrew zapewnieniom swoich dyplomatów i państw NATO Waszyngton jest gotów obiecać, iż sojusz długo nie przyjmie do swojego grona Ukrainy. Zasugerował również, że Putin może uniknąć straszliwych sankcji, jeśli ograniczy się do „mniejszego wtargnięcia”, które skończyłoby się kłótnią wśród sojuszników, „co robić w odpowiedzi, a czego nie”.

Ukraińcy słowami amerykańskiego prezydenta są zszokowani i przerażeni – obawiają się, że ponad ich głowami Biden jednak dogadał się z Putinem w sprawie podziału Ukrainy. W najlepszym zaś razie prezydent USA zapomniał, że to tajemnica, i z tego powodu zdradził publicznie, iż Zachód wcale nie jest tak bardzo zjednoczony w sprawie surowych sankcji wobec Rosji i gdyby rosyjskie wojska rzeczywiście zajęły kolejną część Ukrainy, to zwłaszcza Niemcy mogą szybko zapomnieć o obiecanych bezprecedensowych sankcjach wobec Moskwy. Za „dziwaczną” i niebezpieczną wypowiedź prezydenta uznali też republikańscy senatorowie. „Czyli jeśli [Putin] zajmie tylko część Ukrainy, to nasza reakcja będzie mniej dotkliwa, niż gdyby zajął całą?” – pytał na Twitterze Marco Rubio.

Biały Dom wkrótce po środowej konferencji oficjalnie oznajmił więc, że jakakolwiek napaść na Ukrainę będzie dotkliwie ukarana politycznie i gospodarczo. Dzień później sam Biden również podkreślał, że chodziło mu np. o cyberatak, który spotkałby się z podobną niemilitarną reakcją – jeżeli „jakiegokolwiek rosyjskie oddziały przekroczą ukraińską granicę, to jest to inwazja i spotka się z poważnymi i skoordynowanymi sankcjami gospodarczymi, które w szczegółach omówiliśmy z naszymi sojusznikami”.

Mimo całego zamieszania Władimir Putin zapewne nie spodziewał się, że o tym, iż nie ma innego wyjścia, jak zaatakować swoich sąsiadów, będących przy okazji sojusznikami USA, usłyszy kiedyś z ust amerykańskiego prezydenta. Jako oportunistą, który doskonale wykorzystuje okazje, gospodarz Kremla na pewno zdaje sobie jednak sprawę, że po

Bidenie Ameryka długo nie będzie mieć aż tak słabego przywódcy.

INWAZJA W KILKU ETAPACH

Kiedy dojdzie do ataku? – Jesteśmy teraz na etapie, w którym Rosja może przeprowadzić atak na Ukrainę w każdej chwili – oznajmiła sekretarz prasowa Białego Domu Jen Psaki. Wywiad USA sądzi z kolei, że na terytorium Ukrainy już znajdują się dywersanci, którzy mają przeprowadzić akty sabotażu we wschodniej części kraju, mające posłużyć Moskwie jako pretekst do nowej inwazji (od 2014 r., gdy Rosja zajęła Krym, w wyniku walk między wojskami rządowymi a separatystami na wschodzie kraju zginęło ponad 14 tys. osób).

Rosyjscy hakerzy po fiasku rozmów z NATO i USA zaatakowali również serwery ukraińskiej administracji i – zdaniem specjalistów – umieścili na nich złośliwe oprogramowanie, które przyda się do kolejnych ataków. Jedną z koncepcji zachodnich strategów przewidywała zaś wielki cyberatak na Ukrainę, w tym na jej banki, sieci energetyczne etc., w połączeniu z eskalacją konfliktu na wschodzie kraju opanowanym przez prorosyjskich bojówkarzy.

Według zachodnich ekspertów do militarnego ataku może dojść w najbliższych tygodniach. Z informacji agencji wywiadowczych wynika, że rozpocznie się on mniej więcej do połowy lutego. Dziennik „New York Times” poinformował w ubiegłym tygodniu, że Rosja jeszcze przed oficjalnymi rozmowami z USA i NATO zaczęła powoli ewakuować swoich dyplomatów z Ukrainy. Według dziennika rosyjski personel powoli opuszcza placówki dyplomatyczne w Kijowie i we Lwowie. Już od 5 stycznia trwa zaś ewakuacja dzieci i żon dyplomatów. Może to być kolejny dowód na zbliżającą się wojnę lub następny element gry prowadzonej przez Kreml z zachodnimi stolicami. Oczywiście oficjalnie Kijów i Moskwa zaprzeczają, ale ukraińskie media podają, że wyjechało już kilkadziesiąt osób, głównie tych, które nie mają immunitetu dyplomatycznego czy konsularnego.

Według ekspertów Putin może czekać z decyzją o inwazji tak długo, jak długo na terenach wschodniej Ukrainy jest zamknięty grunt, bo tylko w takiej sytuacji możliwe jest operowanie w tym rejonie ciężkiego sprzętu. Zgodnie z planami przechwyconymi przez CIA, gdy padnie już rozkaz do ataku, szturm na Ukrainę przypuszczają jednocześnie od południa jednostki stacjonujące na okupowanym

z okazji pierwszej rocznicy swoich rządów. Oznajmił niespodziewanie, że sądzi, iż Putin „wkroczy na Ukrainę”, bo nie ma już wyboru i „musi coś zrobić”. Jak zauważa „New York Post”, fatalna składnia gospodarza Białego Domu nie daje wprawdzie stuprocentowej pewności, że o to właśnie Bidenowi chodziło, ale Ukraińcy i tak są tą wypowiedzią przerażeni. Zwłaszcza że – to już na pewno – Joe Biden dodał, iż Rosja wygra tę wojnę, choć zastrzegł, że Putin słono za to zwycięstwo zapłaci. Biden zaznaczył także, że jeżeli Putin zaatakuje Ukrainę, to Stany Zjednoczone wyślą więcej żołnierzy do krajów Europy Wschodniej, w tym do

FOT. WOLFGANG SERRAVALLO/AGENCYJNY IMAGES

przez Rosję Krymie i wojska mające zająć obszary na wschodzie i północy Ukrainy. W razie potrzeby do ataku Moskwa może wykorzystać również podległą jej Białoruś, otwierając kolejną linię frontu i jeszcze bardziej zmniejszając szansę Ukraińców na skuteczną obronę. Rosja już ogłosiła, że w lutym wyśle do tego kraju swoje oddziały z Dalekiego Wschodu na „duże manewry wojskowe” z armią Łukaszenki.

Jak pisał jeszcze w grudniu niemiecki „Bild”, Władimir Putin planuje rozbić inwazję na trzy etapy. Każdy z nich mógłby być ostatnią fazą operacji, jeśli Kreml uznałby, że reakcja Zachodu czyni kolejne etapy zbyt kosztownymi. Najważniejszą zdobyczą z punktu widzenia Kremla są obszary południowej Ukrainy – ich okupacja pozwoli zmniejszyć koszty logistycznej obsługi Krymu, a przy okazji odetnie Ukrainę od jakichkolwiek dostaw dokonywanych drogą morską. Według informatora „Bilda” desant zostanie przeprowadzony na wschód od Odessy między miejscowościami Fontanka i Koblewe. Jednocześnie w okolicy położonego nad rzeką Dniepr miasta Chersoń mają uderzyć komandosi ze specnaz. Zaraz po nich Rosjanie rozpoczęliby ostrzał artyleryjski oraz inwazję z użyciem jednostek pancernych, wspieranych przez okręty wojenne, myśliwce, bombowce i rakiety balistyczne, co pozwoliłoby im zająć miasta Dniepr oraz Połtawę.

Dopiero później rosyjskie siły mają rozpocząć marsz w kierunku Kijowa i zapewne to w tej fazie operacji Rosjanie zaatakowałby również z terytorium Białorusi. Według planów zdobytych przez zachodnie agencje wywiadowcze i opisanych przez „Bild” celem Rosji byłoby zajęcie dwóch trzecich terytorium Ukrainy i zmuszenie Kijowa do ogłoszenia kapitulacji. Również CNN – powołując się na informatorów w Białym Domu – twierdzi, że z informacji wywiadu wynika, iż Rosja planuje zajęcie Kijowa i obalenie obecnych prozachodnich władz. Grupa Conflict Intelligence Team poinformowała zaś w ubiegłym tygodniu, że rosyjskie wojska zaobserwowano na Białorusi w odległości 200 km na północ od ukraińskiej stolicy. Nie powinno ich tam być, bo manewry teoretycznie zaplanowano w innych miejscach.

„Wall Street Journal” zauważa z kolei, że Kreml konsekwentnie stara się przygotowywać rodzimą gospodarkę na ewentualne zachodnie sankcje, które mają zostać nałożone w odpowiedzi na



Prezydent Joe Biden nie ukrywał podczas konferencji prasowej, że spodziewa się, iż Władimir Putin dokona inwazji na Ukrainę. FOT. SUSAN WALSH/AP/EAST NEWS

kolejne akty agresji wobec sąsiadów. Jednocześnie Moskwa cieszy się z bez troski zachodnich Europejczyków, którzy coraz bardziej uzależniają się od rosyjskich dostaw błękitnego paliwa. Ostatnie działania Rosji nie pozostawiają bowiem złudzeń, że Kreml chce odzyskać całą dawną strefę wpływów, i podporządkowanie Białorusi czy podbicie Ukrainy może Putinowi wcale nie wystarczyć. Pewne jest także, że rosyjski przywódca musi dbać o to, aby świat bał się Rosji i aby zwykli Rosjanie bali się gospodarza Kremla. Aby nagle odwołać wojska do baz, Putin musiałby wymusić na Zachodzie poważne ustępstwa. Ponieważ w oficjalnych negocjacjach nie dostał nic, to jest to kolejny argument za inwazją. Zwłaszcza że rosyjska gospodarka pomimo wysokich cen surowców energetycznych nie rozwija się w tak dynamicznym tempie, jak można by oczekiwać, biorąc pod uwagę efekt niskiej bazy. Prognozy przewidują wzrost PKN w 2022 r. na poziomie 2–3 proc., ale dynamika popytu wewnętrznego powoli hamuje, a ceny szybko rosną.

NAJBLIŻEJ WOJNY OD 30 LAT

Ukraińcy nie mają szans z rosyjskim agresorem. Nie zamierzają jednak poddać kraju bez walki.

W szybkim tempie dozbrają ich więc niektóre kraje NATO – np. Wielka Brytania przekazała Ukrainie lekkie systemy obrony przeciwpancernej – co budzi niepokój np. wśród prorosyjskich niemieckich polityków. Prawdopodobnie są to m.in. wyrzutnie NLAW o zasięgu do 1 km. Ukraińcy mają również amerykańskie pociski przeciwpancerne Javelin – o zasięgu 2,5 km – oraz tureckie drony Bayraktar. Na wysłanie amerykańskich rakiet i innego uzbrojenia w ubiegłym tygodniu zezwolił Litwie, Łotwie i Estonii Departament Stanu

USA. Sami Amerykanie obiecali władzom w Kijowie dostarczenie defensywnego uzbrojenia o wartości 200 mln i podkreślili, że wartość tej pomocy jeszcze wzrośnie w przypadku rosyjskiej inwazji.

W czwartek 20 stycznia został zaktualizowany czas na prowadzonym od 1947 r. symbolicznym zegarze zagłady (ang. Doomsday Clock). Wskazówka pokazuje nadal 100 sekund do północy, co nie jest dobrą wiadomością, bo to wciąż najgorszy wynik w historii tego symbolicznego wskaźnika. Naukowcy przypominają, że wskazówki w tym zegarze mogą się cofać, co miało miejsce na przykład w roku 1991, gdy po zakończeniu zimnej wojny wskazówka cofnięto do 17 minut przed północą. Jeszcze w 2018 r. zegar wskazywał dwie minuty do północy. W 2020 r. wskazówki znów drgnęły do przodu. Niestety, również w tym roku eksperci uznali, że wskazania zegara powinny służyć niczym sygnał alarmowy dla świata, i utrzymali symboliczny czas na poziomie 100 sekund do zagłady. Na tak niebezpieczną sytuację wpływa między innymi ryzyko wojny jądrowej. „Stosunki USA z Rosją i Chinami pozostają napięte, a wszystkie trzy kraje są zaangażowane w wiele działań na rzecz modernizacji i ekspansji nuklearnej” – alarmują naukowcy. Rosja utrzymuje niemal tysiąc ładunków jądrowych gotowych do wystrzelenia w ciągu zaledwie kilku minut, swoje arsenały modernizują również Amerykanie, a także takie kraje jak Chiny, Indie, Korea Północna czy Pakistan. Wojna nuklearna mogłaby zaś doprowadzić do katastrofy lub wręcz do końca ludzkości. Czy do niej dojdzie, nie wiadomo. Wiadomo jednak, że tak blisko poważnego konfliktu zbrojnego Europa – na własne życzenie poważnie rozbrojona – nie była ani razu przez ostatnie 30 lat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE 818

Kompaktowy rozmiar, znakomita jakość nagrań w dobrym oświetleniu, ostrzeżenia przed fotoradarami i odcinkowymi pomiarami prędkości, a także funkcje zwiększające bezpieczeństwo jazdy – to największe zalety wideorejestratora ze średniej półki Mio MiVue 818.

Po wejściu w życie przepisów o dużo wyższych mandatach (maksymalny wynosi już 5 tys. zł) dobrze jest samemu zbierać nagrania, które w razie czego mogą posłużyć jako materiał dowodowy. Nie tylko w razie wypadku czy kolizji, lecz także w razie obcierki na parkingu lub wątpliwości policjantów z drogowki, czy przejechaliśmy na „półnym żółtym” i czy na pewno piesi byli już tak blisko pasów, że trzeba było ostro hamować. Testowana kamera może zwrócić się jeszcze szybciej, ponieważ oferuje funkcję ostrzegania przed fotoradarami, a także odcinkowymi pomiarami prędkości.

Kamera z obiektywem o przysłonie f/1.8, rzeczywistym kącie widzenia 140 stopni nagrywa w rozdzielczości 2K z prędkością 30 kl./s lub w opcji Full HD z prędkością 60 kl./s. W celach dowodowych lepsza wydaje się opcja Full HD, bo obraz nadal jest wystarczająco ostry, a łatwiej jest odczytać tablice rejestracyjne. Dzięki matrycy Sony CMOS jakość nagrań w dobrym świetle jest znakomita. Obraz jest ostry i czytelny. Zazwyczaj łatwo można również odczytać tablice rejestracyjne samochodów. Technologia Night Vision pomaga w poprawie jakości obrazu po zmroku. W przypadku słabszego oświetlenia trudniej już jednak odczytać tablice, choć jakość obrazu wciąż jest dobra.

Obraz wyświetlany jest na kolorowym wyświetlaczu LCD o przekątnej 2,7 cala. Obsługa niewielkiej kamerki jest zaś wyjątkowo prosta. Kamera wyposażona jest w GPS oraz w trzysiosowy czujnik przeciążeń G-Sensor, dzięki któremu w razie kolizji nagranie jest chronione przed nadpisaniem. Gadżet ma też wbudowany moduł wi-fi, który ułatwia zarówno przenoszenie nagrań z kamerki do pamięci smartfona, jak i darmową aktualizację bazy danych o fotoradarach.

Dodatkowo model 818 oferuje funkcje zwiększające bezpieczeństwo kierowcy i pasażera, takie jak przypomnienie o włączeniu świateł po zapadnięciu zmroku czy też ostrzeżenie o zjechaniu z pasa ruchu lub o grożącym ryzyku kolizji z o wiele wolniej jadącym pojazdem poprzedzającym. Oczywiście funkcje te nie działają tak samo dobrze jak fabrycznie montowane w nowych samochodach, ale mogą się przydać posiadaczom starszych aut. Dzięki aplikacji MiVue Pro w testowanej kamerce pojawiły się też takie nowe funkcje jak „znajdź zaparkowany pojazd” – co może się przydać na zatłoczonych parkingach przed centrami handlowymi – czy „raport przebiegu”, co przyda

się zwłaszcza tym użytkownikom, którzy odliczają 100 proc. VAT od kosztów obsługi samochodu służbowego.

Wady? Producent chwali się inteligentnym trybem parkingowym i rzeczywiście kamera obsługuje tę funkcję, ale podtrzymywanie urządzenia na baterii wymaga już dokupienia niewielkiego Mio SmartBox III za ok. 180 zł. A poza tym? Kąt widzenia to tylko 140 stopni, choć w niektórych modelach



Mio jest o 10 stopni więcej. Tak czy owak, 818 pozwala jednak rejestrować nie tylko to, co się dzieje na jezdni, lecz także na poboczu, chodniku czy ścieżce rowerowej. Lepszy mógłby być uchwyt – dwustronna taśma jest bowiem mniej praktyczna niż tradycyjny uchwyt na przyssawkę.

Mimo tych drobnych minusów testowany model jako standardowy wideorejestrator sprawdza się bardzo dobrze. Cena: 649 zł. ©©

Jacek Przybylski



ROBOT DO ODŚNIEŻANIA

Pogoda za oknem nie rozpieszcza. Śnieg powrócił, więc dozorczy w blokach i mieszkańcy domów jednorodzinnych poranki i wieczory znów muszą spędzać z łopatą przy odśnieżaniu podjazdu, podwórka lub chodnika. Na szczęście inżynierowie doszli do wniosku, że skoro istnieją roboty do sprzątnięcia podłóg i mycia okien, to warto też stworzyć autonomiczną

maszynę do odśnieżania. Snowbot S1 został wyposażony w skrobak, szczotkę obrotową oraz w liczne czujniki, a także w radar LiDAR, dzięki czemu może samodzielnie wykrywać przeszkody i wyznaczać najlepszą trasę przejazdu. Użytkownik w aplikacji może wybrać, na jaką odległość robot ma wyrzucać zbierany śnieg, a także prędkość odśnieżania. Według producenta ważący 65 kg robot potrafi pracować 1,5 godz. na jednym ładowaniu. Cena wynosi 2999 dol., czyli równowartość ok. 12 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIERŚCIEŃ, KTÓRE LECZĄ?

Zaprezentowany na targach w Los Angeles inteligentny pierścień Movano Ring ma za zadanie nieustannie monitorować stan zdrowia osób przewlekle chorych. Noszony na palcu gadżet ma zbierać informacje o tętnie, poziomie natlenienia krwi, temperaturze ciała, jakości snu, czasie spędzonym na ćwiczeniach etc. i informować użytkownika o tym, jaki wpływ mają jedne czynniki na drugie, np. o wpływie ćwiczeń na jakość snu. Dokładne dane zbierane są w aplikacji, dzięki czemu można udostępnić je lekarzowi. Premiera gadżetu planowana jest na drugą połowę obecnego roku. W podobny sposób działa również pierścień Oura, który również zbiera dane dotyczące stanu zdrowia użytkownika i który – według zapewnień producenta – jest w stanie wykryć np. zakażenie koronawirusem nawet 24 godz. przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby. ©©

Jacek Przybylski

Nole



Dominika Ćosić z Brukseli

Gdyby Novak Djoković zdecydował się teraz na przejście do polityki, wygrałby w Serbii wszelkie możliwe wybory. Od lat jest symbolem sukcesu: sportowego, życiowego i zawodowego, chyba najbardziej znanym serbskim sportowcem na świecie, a także symbolem człowieka, który doskonale wie, skąd pochodzi, i demonstruje przywiązanie do korzeni

Po historii z Australia Open Novak Djoković – nazywany Nole – stał się także symbolem walki z segregacją sanitarną i jednocześnie stereotypem Serba, który buntuje się przeciwko ograniczeniom wolności i walczy o swoją niezależność. Niewykluczone, że to będzie koniec jego sportowej kariery i początek kariery politycznej. Na razie jednak wszystkie opcje są jeszcze możliwe i wiele zależy od decyzji Novaka w najbliższych tygodniach.

„KOSOVO JE SRBIJA”

Rodzina Djokovicia ze strony ojca pochodzi z Kosowa. Ojciec tenisisty, Srdjan, sam także sportowiec, narciarz z sukcesami, urodził się w serbskiej rodzinie w północnej części Kosowa. I to w dużej mierze wpłynęło na postawę i poglądy Novaka. W 2008 r., kiedy Kosovo jednostronnie ogłosiło niepodległość

i w Belgradzie odbyły się masowe protesty przeciw tej decyzji, Nole przesłał protestującym nagranie wideo, w którym się z nimi solidaryzował: „Mamy prawo do obrony tego, co się nam należy. Kosovo to Serbia”. W Belgradzie słowa te wywołały aplauz, za granicą odwrotnie. Kiedy zagraniczni dziennikarze zaczęli go pytać, czy nie żałuje swoich słów i nie wycofa się z nich, powiedział jasno: „Stąd pochodzi nie tylko moja rodzina, lecz także historia Serbii. Nie żałuję swoich słów, bo chcemy po prostu prawdy, a prawdy nie da się wymazać”. Mało tego – na kilku meczach pojawił się w podkoszulce z napisem „Kosovo je Srbija” i serbską flagą, czym rozwścieczył Albańczyków i skonstronował część zagranicznych zawodników i dziennikarzy. Groziła mu dyskwalifikacja za upolitycznianie zawodów sportowych. Jego przywiązanie do Kosowa – historycznej przecież kolebki

Serbii i serbskiej państwowości – nie ogranicza się jednak tylko do słów.

Kiedy odwiedziłam północne Kosovo, miejscowi Serbowie opowiadali mi o pomocy materialnej, którą otrzymali i wciąż otrzymują od niego. Djoković dofinansowuje lokalne szpitale i szkoły. Odwiedzając te okolice, daje w dodatku Serbom nadzieję i pokazuje, że świat jednak o nich nie zapomniał. Już 10 lat temu był postrzegany jako symbol serbskości i patriotyzmu, odbierany jako ambasador serbskiego Kosowa, a także samej Serbii. Tak, jak pokazuje przywiązanie do Serbii, tak samo otwarcie mówi o swojej wierze, jest – podobnie jak większość Serbów – prawosławny. Trzecim elementem systemu wartości jest rodzina, żona Jelena, dzieci, rodzice i rodzeństwo. O tej triadzie warto dodać wrażliwość na cudzą biedę – Djoković od lat angażuje się w rozmaite akcje charytatywne i hojnie wspiera potrzebujących. Na całym świecie. Teraz przypomniano, jak przeznaczył około miliona dolarów na pomoc ofiarom pożarów w Australii.

Już wtedy, w 2008 r., jasno opowiadając się politycznie, stawał w kontrze do poprawności politycznej. Za granicą wzbudzało to kontrowersje, w Serbii – w większości pozytywne reakcje.

„AUSTRALIA CLOSED”

Wszystko to, czyli zaangażowane i kontrowersyjne wypowiedzi oraz

zachowania, to jednak było dopiero preludium do tego, co się stało wokół turnieju Australia Open. Inna sprawa, że każdy dzień przynosi nowe informacje. Najpierw była wiadomość, że Djoković, który się nie zaszczepił (w turnieju mogli wziąć udział tylko zaszczepieni zawodnicy), przedstawił zaświadczenie od lekarza, które zwolnić go miało z tego obowiązku. I uprzedził o sytuacji organizatorów, którzy to zaakceptowali. Później się jednak okazało, że organizatorzy wycofali się z ustaleń. Novak trafił do hotelu dla nielegalnych imigrantów. Jego odwołanie zostało najpierw uwzględnione, później jednak cofnięto wizę australijską. I zapadła decyzja o deportacji, motywowana tym, że w formularzu wypełnianym przed przylotem Novak podał nieprawdziwe informacje.

W całą aferę włączyli się politycy i australijscy, i serbscy. W negocjacje włączyli się także prezydent Serbii Aleksandar Vučić i premier kraju Ana Brnabić oraz wicepremier Ivica Dacić. Choć Bogiem a prawdą, ciężko to nazwać pozytywnym włączeniem się do negocjacji w sytuacji, gdy władze serbskie zaczęły obrażać Australijczyków. W Serbii błyskawicznie zaczęto powtarzać slogan, że Australię tworzyli skazańcy i przestępcy deportowani tu głównie z Wielkiej Brytanii, a tymczasem Nole, światowej sławy sportowiec, jest deportowany z Australii.

Jakby tego było mało, teraz okazuje się, że sprawa deportacji Djokovicia była elementem wewnętrznej walki politycznej w Australii między władzami stanu Victoria (liberałami) a socjalistycznym rządem. Władze stanowe były bardziej ugodowo nastawione do serbskiego tenisisty, wychodząc z założenia, że sam turniej to dla nich kura znosząca złote jajka i skandal nikomu się nie przysłuży. Inaczej to postrzegał premier Morrison, który teraz sprawę Djokovicia wykorzystuje do usprawiedliwienia swojej ostrej polityki covidowej i jednocześnie jako bat na swoich przeciwników politycznych.

Natychmiast pojawiły się też dowcipy związane z całą aferą. „Kiedy samolot był w powietrzu, do Novaka przychodziły SMS-y o treści: »Wracaj do domu, Kochamy Cię«. A kiedy samolot oddalił się już od przestrzeni powietrznej Australii, odbierano wiadomości: »Australio, jesteś już bezpieczna«”. W ten żartobliwy sposób Serbowie pokazywali różnicę w mentalności między nimi a Australijczykami, no i oczywiście sympatię do Novaka.

Sam jego powrót także zresztą stał się wydarzeniem. W dniu, w którym miał wrócić do Serbii, w Belgradzie na najwyższych wieżowcach pojawiła się iluminacja z napisem: „Nole, jesteś naszym bohaterem”. Na każdym etapie podróży czekali na niego serbscy fani. Na ulicach Belgradu i innych miast zaczęły się pojawiać dziewczyny w T-shirtach z jednym słowem – „Nole”. Dla większości Serbów stał się jeszcze większym bohaterem niż do tej pory. Widać to już było w Australii, gdzie jego aresztowanie wywołało ostre protesty serbskiej diaspory. Serbowie, którzy gromadzili się na ulicach, porównywali Novaka do wielkich bohaterów narodowych i śpiewali mu pieśń z czasów pierwszej wojny światowej „Tamo daleko” („Tam daleko”), symbol walk o niepodległą Serbię i zarazem tęsknoty za ojczyzną. Bardziej za granicą niż w samej Serbii także to wzbudziło kontrowersje – czy nie doszło do profanacji tak ważnej dla serbskiej tożsamości narodowej pieśni. Ale większości Serbów szalenie spodobało się, że chłopak z małego kraju gdzieś na Bałkanach sprzeciwił się światowemu systemowi. To bardzo pasuje do serbskiej mentalności.

BOHATER OPORU?

Można sobie zadać pytania: Po co mu było to wszystko? Jaki będzie bilans zysków oraz strat i czy zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego działania? Zablokował sobie udział w Australia Open na trzy lata, ale pewnie także w innych turniejach kierujących się podobnymi zasadami i wymaganiami. Problemy są już choćby z grą na Roland Garros, zwłaszcza po tym, jak we Francji wszedł w życie obowiązek posiadania tzw. paszportu szczepionkowego. Będą go w trakcie zawodów musieli posiadać i kibice, i zawodnicy. Pytaniem otwartym jest, czy w przypadku cudzoziemca będzie respektowany status ozdrowieńca. Można się spodziewać, że i inne turnieje mogą zacząć wprowadzać podobne ograniczenia. To z kolei oznaczać mogłoby przyśpieszony koniec jego kariery zawodowej.

Dobrze ktoś skomentował, że jest bodaj pierwszym sportowcem zdyskwalifikowanym nie z powodu dopingu lub niedozwolonych substancji, ale odmowy zaszczepienia się. Podaje się przykład choćby rosyjskiej tenisistki Marii Szarapowej, którą oskarżono o przyjmowanie niedozwolonych substancji, co doprowadziło do zawieszenia jej udziału

w turniejach. Na konsekwencjach sportowych jednak się nie skończy. Można się spodziewać, że jego sponsorzy lub firmy, które reklamuje, mogą się zacząć wycofywać z kontraktów. Jako pierwszy bodajże koncern Lacoste wydał komunikat, w którym odcina się od postawy Novaka i niemal sugeruje, iż kontrakt z nim stoi pod znakiem zapytania.

SYMBOL SPRZECIWU

Novak musiał wiedzieć, że może ponieść zawodowe i finansowe konsekwencje. Zbyt długo funkcjonuje w przestrzeni publicznej i biznesowej, by nie wiedzieć, jak ten system działa. Cemu nie zdecydował się na inny sposób wyrażenia protestu wobec sanitaryzmu? Na przykład ogłaszając publicznie, że nie weźmie udziału w Australian Open z powodu sprzeciwu wobec obowiązku szczepienia. No ale z kolei są wypowiedzi jego rodziców, a także i jego, że nie jest a priori przeciwnikiem szczepień. Podważa jednak prymat przymusu. Jego rodzice poszli nieco dalej, twierdząc, że szczepienia nie zapobiegają zakażeniom i zachorowaniom. Gdyby jednak przed turniejem wydał deklarację o powodach swojego wycofania się z turnieju, raz – że echo byłoby mniejsze, dwa – jednoznacznie określiłby się jako przeciwnik szczepień. Decydując się na takie zagranie, może liczył, że jednak się uda. A jeśli nie, to zyskał coś innego – stał się symbolem sprzeciwu wobec sanitaryzmu.

Teraz to wszystko zabrnęło tak daleko, że możliwe są tylko dwa rozwiązania. Pierwsze zakłada, że Novak posypie sobie głowę popiołem, złoży samokrytykę i ostentacyjnie się zaszczepi, namawiając swoich fanów do pójścia tym tropem. Wówczas mógłby liczyć na miłosierdzie ze strony systemu i po okresie karencji wróciłby do poprzedniej sytuacji. Drugie rozwiązanie to pójście w zaparte, co oznaczałoby, że to właśnie serbski tenisista stanie się międzynarodowym symbolem walki z dyktaturą sanitarną. Już teraz ludzie na całym świecie, zaniepokojeni odbieraniem zbiorowej i indywidualnej wolności pod sztandarem walki z pandemią, to właśnie Djokovicia postrzegają jako swojego przedstawiciela. Biorąc pod uwagę mentalność Serbów, której Nole zresztą nieraz dawał wyraz, teoretycznie bardziej realna jest opcja druga.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: Czy Muhammada ibn Salmana, potężnego następcę tronu Arabii Saudyjskiej, wciąż prześladowa widmo zamordowanego Dżamala Chaszukdżiego?

BRADLEY HOPE: Nagłośnienie sprawy mordu tego dziennikarza było wielkim ciosem dla reputacji Muhammada ibn Salmana (MBS). Wydaje się, że książę koronny nie przewidywał takiego rozwoju wydarzeń. W jednej chwili z wielkiej nadziei na pozytywną zmianę w Arabii Saudyjskiej MBS stał się w oczach światowej opinii publicznej czarnym charakterem. W ten sposób wpadł on do tej samej „ligi”, w której od lat gra m.in. Władimir Putin.

Zawsze już będzie kojarzony z poćwiartowanymi zwłokami swojego wielkiego krytyka?

Choćby nie wiem, jak zmienił Arabię Saudyjską, m.in. dając kobietom nowe prawa i odchodząc od ropy naftowej, to ciężko mi sobie wyobrazić, że w przyszłości przestanie być kojarzony z Dżamalem Chaszukdżim. Stwierdził wprawdzie, że skoro mordercami byli jego ludzie, to jest za to po części odpowiedzialny, ale nigdy nie wziął na siebie bezpośrednio odpowiedzialności za to zabójstwo i zaprzecza, by to on wydał taki rozkaz. Czy ktokolwiek jednak w to wierzy?

Co zmieniło w Arabii Saudyjskiej objęcie przez MBS stanowiska księcia koronnego?

Do tej pory w historii Arabii Saudyjskiej sukcesja była procesem dosyć łatwym i przewidywalnym. Królem zawsze zostawał jeden z synów założyciela obecnej dynastii Abd al-Aziza (zmarł w 1953 r.). W ciągu kilku dziesięcioleci spłodził on tylu synów, że różnica wieku między najmłodszym a najstarszym z nich wynosiła niemal dwa pokolenia.

Kiedy władzę przejął obecny król Salman ibn Abd al-Aziz Al Saud, Arabia Saudyjska zabrnęła w ślepią uliczkę. Król Salman to jeden z ostatnich żyjących synów założyciela państwa. Nie da się w nieskończoność wybierać na króla kolejnego syna założyciela kraju. Pytanie o przeskoczenie do trzeciego pokolenia wisiło nad Arabią Saudyjską od wielu lat. Różne frakcje rodziny prowadziły wokół tej sprawy polityczną grę, która momentami wyglądała jak wojna domowa. W grę wchodziły setki książąt, którzy mogli zostać następcami tronu. Kiedy więc król Salman wskazał swojego własnego syna na księcia koronnego,



Z Bradleyem Hope'em, współautorem książki „Ropa i krew. Walka o przywództwo w Arabii Saudyjskiej i wpływy na świecie” rozmawia Piotr Włoczyk



Potężny następca tronu Arabii Saudyjskiej Muhammad ibn Salman

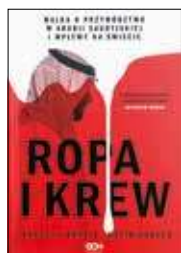
FOT. AITOR PEREIRA/EFE/FORUM

Ropa, krew i gniew

a nie któregoś ze swoich braci lub synów poprzednich królów, to zostało to przyjęte jako niespodziewana, głęboka zmiana. Więcej – w warunkach zastałej maszyny państwowej Arabii Saudyjskiej to istna rewolucja.

Wiele osób z saudyjskiej elity bało się – i wciąż się boi – objęcia przez MBS tronu. Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że ciągnie się za nim reputacja bardzo agresywnego człowieka. To, w połączeniu z jego młodością, a więc perspektywą wielu dekad



**BRADLEY HOPE,
JUSTIN SCHECK
„ROPA I KREW”
WYDAWNICTWO
SQN**

u steru, bardzo niepokoi sporą część saudyjskiej elity. MBS od początku zaczął zagarniać władzę w sposób, w jaki do tej pory nie zachowywał się żaden z jego poprzedników z tytułem księcia koronnego.

Czego dowodem było choćby zamknięcie rijadzkiego hotelu Ritz-Carlton w 2017 r. w luksusowy areszt dla niewygodnych członków saudyjskiej elity. Wiadomo, że wszystko odbyło się na rozkaz MBS...

To właśnie jeden z przykładów jego agresywnego, spektakularnego działania. Takie zachowanie było nie do pomyślenia w czasach poprzednich książąt koronnych. Dlatego wizja jego potencjalnie bardzo długich rządów wywołuje tak duży strach w szerokich kręgach saudyjskich elit. Z drugiej strony zwykli młodzi Saudyjczycy widzą w MBS swojego rzecznika. Uważają, że ogromna korupcja wzbogacała wszystkich poza nimi.

Wcześniej saudyjskie elity były nie do ruszenia. Trzeba było się dopuścić korupcji na gigantyczną skalę, żeby spaść w kłopoty.

Zgadza się. Od momentu, gdy MBS stanął bezpośrednio przy tronie, elity niczego nie mogą już być pewne.

Dlaczego król Salman postawił właśnie na MBS spośród tylu starszych potomków?

Kiedy urodził się MBS, Salman był już w takim wieku, że spokojnie mógłby być jego dziadkiem. I dlatego traktował go zupełnie inaczej niż swoje starsze dzieci. MBS był bardzo oddany ojcu, cały czas stał u jego boku. Inna rzecz, że Salman widział, iż MBS jest bardziej „saudyjski” od jego starszych dzieci, wykształconych na Zachodzie, i doszedł do wniosku, że to właśnie ten syn najlepiej zadba o zachowanie tradycji. MBS przedstawiał również ojcu mnóstwo ciekawych pomysłów na zreformowanie gospodarki kraju.

Jak duży jest majątek, którym dysponuje MBS?

W tym momencie, gdy jest już tak blisko tronu, jego prywatny majątek i majątek państwa stały się właściwie jednym i tym samym. Dysponuje on niewyobrażalnym bogactwem. W Arabii Saudyjskiej nie ma prawa, które mogłoby ograniczać wolę obecnego króla i jego syna. Mogliby oni jutro ogłosić, że majątek wszystkich obywateli królestwa przechodzi odtąd w ich ręce, i byłoby to w pełni legalne zarządzenie.

Choć trudno w to uwierzyć, to jeszcze nieco ponad dekadę temu MBS był – jak na standardy saudyjskich książąt – dosyć ubogim człowiekiem...

Jeszcze kiedy był nastolatkiem, zdał sobie sprawę, że jego ojciec nie jest zbyt dobry, jeżeli chodzi o zbijanie fortuny. Każdy z członków rodziny Al-Saud dostaje pensję, którą można tak zainwestować, żeby zgromadzić prawdziwe bogactwo. Salman nie przykładał jednak wagi do inwestowania. Na bieżąco wydawał swoją pensję. Do zaspokojenia ambicji wystarczyła mu posada gubernatora prowincji Rijad. Gałąź rodziny Salmana nie miała więc na kontach miliardów. MBS postanowił to zmienić. Zaczął bardzo agresywnie inwestować swoje pieniądze i szybko doszedł do olbrzymiego majątku.

Po Arabii Saudyjskiej zaczęły krążyć pogłoski o kopertach wysyłanych przez MBS, w których deweloperzy, początkowo niezbyt poważnie podchodzący do ofert młodego księcia, znajdowali pociski karabinowe.

Tak jak mówiłem – MBS zdobywał majątek bardzo agresywnie. I właśnie w ten sposób pomógł ojcu zostać królem.

Chce pan powiedzieć, że to syn zaprowadził swojego ojca aż na tron?

Tak. Nie zapominajmy, że w realiach Arabii Saudyjskiej trzeba przekazywać „prezenty” bardzo wielu przedstawicielom różnych gałęzi rodziny i poszczególnych plemion, by zyskać powszechną akceptację, dzięki której można zasiąść na tronie. Za sprawą talentów biznesowych MBS jego ojciec mógł zbudować sojusze, dzięki którym ostatecznie zasiadł na tronie. MBS jest nie tylko bardzo sprawnym biznesmenem, lecz także wyjątkowo zdolnym politykiem. Pracował niemal całymi dniami, by wspiąć się na szczyt.

Jak wygląda jego wizja Arabii Saudyjskiej? Głośno jest o lansowanym przez MBS projekcie zbudowania supermowoczesnego miasta Neom, kosztującego ponad 500 mld dol., szybkiego odejścia od ropy i przyznania obywatelom większych praw.

MBS chce sprawić, aby Arabia Saudyjska stała się jednym z wiodących państw świata. Trudno się dziwić, że książę koronny chce zerwać z wizerunkiem swojego kraju jako śpiącego, ultrakonserwatywnego pustynnego krezusa. Co ważne – nie chce przyjmować rozkazów z USA. Rozpoczęcie przez niego wojny w Jemenie było czymś

kompletnie nowym. Arabia Saudyjska nigdy sama nie rozpoczynała wojen. Książę koronny chciał w ten sposób pokazać, że kraj pod jego rządami będzie się zachowywał na arenie międzynarodowej zupełnie inaczej.

Co eksperci mówią o jego planach? Czy jego ambitny projekt odejścia od ropy rzeczywiście ma szanse na powodzenie?

Nawet ludzie z saudyjskiego rządu przyznają, że nie da się zrealizować tak ambitnych celów. Jeżeli jednak choćby połowę zamierzeń MBS udało się wdrożyć w życie, to Arabia Saudyjska byłaby zupełnie innym krajem. Utrzymywanie obecnego modelu musiałoby doprowadzić do bankructwa w nie tak odległej przyszłości, szczególnie wobec tak szybko przyrastającej liczby ludności.

Jak ciężko pisze się książkę o księciu koronnym, za którym ciągnie się sprawa poćwiartowania krytyka władz Arabii Saudyjskiej?

Chodzi panu o obawy naszych saudyjskich rozmówców? Cóż, to trudny temat. Ciężko zdobyć o nim informacje, pracując na miejscu, w Arabii Saudyjskiej. Paradoksalnie łatwiej było się spotykać z przedstawicielami saudyjskich elit w wielkich światowych metropoliach. Mimo wszystko MBS to wciąż dla mnie dosyć tajemnicza postać. Niestety, nie mam odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania, m.in. jak dokładnie doszło do mordu Dżamala Chaszukdziego.

Co po napisaniu tej książki może pan powiedzieć na temat „wagi” Arabii Saudyjskiej w dzisiejszym świecie?

Arabia Saudyjska odgrywa rolę strażnika Mekki i Medyny. To olbrzymia siła w świecie islamskim. Z kolei na resztę świata MBS oraz jego ojciec mogą oddziaływać za pośrednictwem ropy. Pod rządami MBS jego kraj inwestuje coraz większe sumy za granicą. Arabia Saudyjska staje się w ten sposób coraz poważniejszym graczem w gospodarce światowej i wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach „waga” tego kraju będzie tylko rostała.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Bradley Hope jest dziennikarzem „The Wall Street Journal”, współautorem (wraz z Justinem Scheckiem) książki „Ropa i krew. Walka o przywództwo w Arabii Saudyjskiej i wpływy na świecie”.



RZĄDOWE POPIJAWY W LOCKDOWNIE

Coraz gorzej wygląda premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. Najpierw stanowczo zaprzeczał, że gdy rodakom nałożono lockdown, to on z urzędnikami dalej się towarzysko bawili. Potem przeproszał. A teraz wyszło na jaw, że podczas koronawirusowych ograniczeń na Downing Street nie odbyła się jedna nieszczęsna impreza, tylko – jak ujawnił „Daily Mirror” – trwały tam regularne popijawy nazwane „winnymi piątkami”. Terminy imprez były wpisane w elektronicznych kalendarzach ok. 50 pracowników z otoczenia szefa rządu.

FOT. LEON NEAL / GETTY IMAGES

CHCIAŁA WRÓCIĆ DO ŻYCIA, A UMARŁA

Hanna Horka, 57-letnia znana (w Czechach) piosenkarka folkowego zespołu Asonance, nie chciała się szczepić, ale pragnęła – jak to wyrażała – „wrócić do życia społecznego”, czyli chodzić do teatru czy sauny. W związku z tym postanowiła, że zdobędzie status ozdrowieńca, i celowo zakaziła się koronawirusem. Artystka najpierw poinformowała na Facebooku, że już przechorowuje COVID-19 i ma to za sobą. „Życie jest tu dla mnie, dla Was także” – napisała do fanów. Dwa dni później zmarła na koronawirusa.

SPŁUCZKA KONTRA PRAWA CZŁOWIEKA

Włoski Sąd Najwyższy w ubiegłym tygodniu orzekł, że głośna spółuczka w toalecie godzi w prawa ludzi zapisane w Europejskiej Konwencji Praw

Człowieka. Chodzi o 18-letni proces między sąsiadami z miasta La Spezia. Jedni mają ubikację tam, gdzie drudzy za cienką ścianą sypialnię. No i ci drudzy, nie mogąc spać, pozwalają tym, u których głośno się splucuje. Ostatecznie według SN ludzie mają prawo do spania niezakłócanego przez spluczkę – dlatego sąsiedzi z głośnej toalety mają zapłacić po 500 euro zadośćuczynienia za każdy rok hałasu („straty moralne” i naruszenie prawa do wypoczynku) oraz mają rozwiązać ten problem (czyli zainstalować spluczkę, która tak bardzo nie hałasuje).

SYLWESTER Z MOLESTOWANIEM

Powtórka ze słynnego sylwestra w Kolonii odbyła się w tym roku w sylwestra w Mediolanie. Podczas imprezy na Piazza del Duomo grupy imigrantów wybierały sobie nastolatki, które następnie otaczały i w ten sposób odcinały od innych ludzi. Wówczas grupowo dopuszczano się molestowania seksualnego. Prokuratura ma już 50 takich zgłoszeń. Zatrzymano pierwsze osoby. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Fatalny rok Bidena

Przywódca Stanów Zjednoczonych demokrata Joe Biden rozpoczął oficjalnie drugi rok rządów. – Nie wierzę w sondaże – oznajmił arogancko w ubiegłym tygodniu, podczas rocznicowej konferencji prasowej. I trudno mu się dziwić. W sondażu Quinnipiac University poparcie dla Bidena spadło do marnych 33 proc. W badaniu dla CBS News połowa ankieterów stwierdziła, że ta prezydentura ich „rozczarowała”. Niemal trzy czwarte pytanych uważa, że Ameryka radzi sobie dziś źle lub bardzo źle, a tylko 26 proc. uważa, że ich kraj podąża właściwą drogą.

Skąd tak fatalna ocena obecnego gospodarza Białego Domu? Joe Biden sprawił, że niemal we wszystkich dziedzinach, które są ważne dla przeciętnego Amerykanina, sprawy mają się dziś gorzej niż przed rokiem. Inflacja jest najwyższa od czterech dekad, a jednym z tego powodów są gigantyczne pakiety stymulacyjne wprowadzone przez ekipę Bidena. W Ameryce powszechnym widokiem stały się więc puste półki w sklepach. Na ulicach coraz częściej dochodzi do aktów przemocy, a pandemia koronawirusa wciąż zbiera śmiertelne żniwo. Żle przyjęty został również plan obowiązkowych szczepień.

Do obrazu marnego pierwszego roku obecnego prezydenta można też dodać np. fatalną politykę zagraniczną, w tym tragiczne w skutkach zakończenie misji w Afganistanie. Do tego sztandarowe projekty obiecane podczas kampanii ugrzęzły w Kongresie. Oczywiście 46. prezydent przesaadził z obietnicami, był więc skazany na porażkę. Sam tego jednak nie przyznaje i uważa, że był w pierwszym roku rewelacyjny. Jest jednak nadzieja. Fatalne wyniki Bidena zwiększają szanse konserwatystów na dobry wynik w wyborach uzupełniających i uratowanie nie tylko Grand Old Party, lecz także całej wielkiej, starej Ameryki. © ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Kaźmierczak vs. Morawiecki

Polska chce walczyć z inflacją czy Polska chce zdusić, pokonać inflację? A czym się różni sposób na walkę z inflacją od sposobu na pokonanie inflacji? W dużym uproszczeniu mniej więcej tym, czym różnią się recepta na „walkę z inflacją” autorstwa premiera Mateusza Morawieckiego od recepty na „pokonanie inflacji” autorstwa Cezarego Kaźmierczaka, prezesa Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Otóż premier Morawiecki, który serią proinflacyjnych działań swego rządu, czyli rozhuśtaną poza granice wytrzymałości gospodarki polityką transferów socjalnych (dwukrotnie „500+”, „300+”, „Mieszkanie+”, „Wakacje+”, 13. emerytura, 14. emerytura – plus gigantyczna, najwyższa w stosunku do PKB w UE tarcza antykryzysowa związana z COVID-19 itd.) w niemałym stopniu sam się przyczynił do nakręcenia ponad miarę spirali inflacji w Polsce, teraz próbuje ją powściągać, obniżając – i słusznie – podatki. W tym obniżając podatki podniesione czy wręcz stworzone przez jego rząd. Niestety, po pierwsze – obniża tylko niektóre z nich, po drugie – obniża je tylko czasowo, a po trzecie i najważniejsze – w ślad za obniżeniem podatków nie obniża o odpowiednią sumę wydatków budżetowych; o sumę równą spadkowi wpływów do budżetu z obniżonych podatków. A to oznacza, że po pierwsze – po ponownym podniesieniu podatków inflacja znowu wybuchnie, a po

drugie – podatki te trzeba będzie wkrótce podnieść jeszcze bardziej, żeby spłacić dodatkowy dług, który pojawił się wskutek obecnego obniżenia podatków bez jednoczesnego obniżenia wydatków.

I tu właśnie tkwi istota różnicy między receptą Mateusza Morawieckiego a receptą Cezarego Kaźmierczaka. Bo Kaźmierczak mówi jasno: „To jest okazja i rząd powinien z tego skorzystać, by przeprowadzić korektę swojej polityki socjalnej”. „Już się wycofano z 14. emerytury, należy się wycofać z 13. emerytury, należy się wycofać z »500+« na pierwsze dziecko, a na drugie zostawić. To jest dobra okazja do tego, żeby te programy socjalne, na które nas nie stać, wycofać”. Rząd powinien wycofać się też „z tych dodatkowych instrumentów pomocowych” zapowiedzianych w Polskim Ładzie, ponieważ „państwo polskie nie ma obowiązku wysyłać kogoś na wakacje, natomiast państwo polskie ma obowiązek do tego, żeby dzieci nie chodziły głodne, i program »500 plus« na drugie dziecko ten pomysł realizuje”.

Taki program, i to pod warunkiem, że konsekwentnie realizowany, i w dodatku spójny z równocześnie prowadzonym przez RPP i NBP twardym zacieśnianiem polityki fiskalnej, mógłby zaowocować szybkim pokonaniem inflacji zamiast oferowaną nam dziś przez rząd długą – niekończącą się? – „walką z inflacją”.

Wszelako niestety, jak wiadomo, na razie nie zanoś się na to, by Cezary Kaźmierczak miał zostać premierem RP. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

I ty zostaniesz szpionem

Czy zdawali sobie państwo sprawę z tego, że o ile nie są państwo entuzjastami szczepionek na COVID (ale wcale nie antyszczepionkowcami), maseczek, lockdownów i różnego rodzaju restrykcji epidemicznych, o tyle najprawdopodobniej są państwo tym samym ruskimi agentami? Otóż informuję państwa o tym w imieniu redaktora Piotra Lisiewicza z „Gazety Polskiej”, który temu ważnemu zagadnieniu poświęcił sążnisty tekst, zatytułowany „Antyszczepionkowcy, czyli śmiertelna pułapka na dobrych ludzi. Konfederacja jak Michnik”.

Tekst Lisiewicza mógłby się spokojnie ukazać w „Newsweeku”, gdyby tylko okroić go trochę z peanów na cześć PiS

Lisiewicz posługuje się w swoim tekście rozumowaniem opartym na sylogizmie. Sylogizm to często wadliwy sposób rozumowania, z grubsza sprowadzający się do tego, że jeśli A = B, a B = C, to A = C. Lisiewicz poukładał to sobie tak, że skoro jedynie PiS jest w stanie uratować Polskę i jest to w ogóle najlepsze, co się Polsce zdarzyło od wieków, a PiS

wyznaje sanitaryzm, to przeciwnicy sanitaryzmu są przeciwnikami PiS, a tym samym są przeciwnikami niepodległości Polski. Czyli ruskimi agentami.

Przeczytawszy ten wywód, zorientowałem się, że ja to już skądś znam. To znaczy – znam sposób dowodzenia. Chwila zastanowienia i bingo – tak samo argumentuje zwykle Tomasz Piątek, któremu udało się już powiązać z Rosjanami Antoniego Macierewicza, Jarosława Kaczyńskiego, a ostatnio nawet Jacka Bartosiaka. Aczkolwiek w tym ostatnim przypadku Piątek stracił czujność, bo nie skojarzył, że siedziba think tanku Strategy & Future dr. Bartosiaka jest na Żoliborzu. A to nie może być przypadek (Żoliborz = Kaczyński, Kaczyński = Ruscy ergo Bartosiak = Ruscy).

To niejedyny podobieństwo. Tekst Lisiewicza mógłby się spokojnie ukazać w „Newsweeku” czy „Gazecie Wyborczej”, gdyby tylko okroić go trochę z peanów na cześć PiS. Ale już wątek o Ruskich mógłby zostać.

Spytają państwo: Po co zajmować się tekstem kogoś, kto deklarował, że na cześć szczepionek zmieni imię na „Szczepan”? Może i racja, ale serio mówiąc – robienie ruskich szpionów z osób, które mają prawo wyrażać swoje zdanie w mocno dzielącej Polaków kwestii, jednak na jakąś odpowiedź zasługuje. Akurat taką na 2,1 tys. znaków. ©



Tomasz Cukiernik

Ogromne wzrosty światowych cen gazu wynikają z prawa podaży i popytu, jakimi rządzony jest rynek tego paliwa

W grudniu 2021 r. Urząd Regulacji Energetyki zatwierdził nowe taryfy cen gazu, w wyniku czego rachunek dla klientów indywidualnych zostanie podniesiony w 2022 r. średnio o 54 proc. Natomiast nawet o kilkaset procent rosną ceny gazu dla odbiorców biznesowych, którzy korzystają z innych taryf. W tej trudnej sytuacji rząd zdecydował się na interwencję, ale niewiele ona pomoże, zwłaszcza firmom, którym w oczy zagląda bankructwo.

ILE WZROSŁY CENY GAZU?

Wysokie ceny gazu to nie tylko polski problem. Dwucyfrowe wzrosty rachunków za gaz dla gospodarstw domowych dotkną m.in. także mieszkańców Wielkiej Brytanii, Niemiec, Austrii, Beneluksu, Włoch, Czech czy Słowacji. Na przykład ceny gazu dla gospodarstw domowych we Włoszech wzrosną o 41,8 proc. Z zestawienia PGNiG wynika, że w innych państwach członkowskich UE ceny gazu są znacznie wyższe niż w Polsce (200,17 zł/MWh). I tak w Niemczech Vattenfall oferuje cenę 808 zł/MWh, a E.ON – 1253 zł/MWh. W Czechach ceny gazu dla gospodarstw domowych wahają się od 315 zł/MWh do 405 zł/MWh, we Włoszech jest to rząd 300 zł/MWh, w Austrii – ok. 500 zł/MWh, a w Holandii – ok. 800–900 zł/MWh. Natomiast – jak informuje PGNiG – biorąc pod uwagę, że ceny gazu dla odbiorców biznesowych zarówno w Polsce, jak i w innych krajach UE nie podlegają urzędowemu zatwierdzeniu oraz że są one pochodną hurtowych cen paliwa na jednolitym europejskim rynku energii, należy założyć, że te w Polsce są zbliżone do cenników w innych krajach UE.

Portal Izby Gospodarczej Gazownictwa coztymgazem.pl podaje, że w grudniu 2021 r. padł historyczny rekord: cena za 1 MWh gazu na holenderskiej giełdzie TTF wyniosła 180,27 euro, czyli ponad 1000 proc. więcej niż przed rokiem (16,95 euro). Podstawą do wyznaczania cen gazu w Polsce są notowania

Nasz (bardzo) drogi gaz



na Towarowej Giełdzie Energii (albo w efekcie kupna gazu na giełdzie, albo poprzez indeksowanie ceny w kontrakcie kupna-sprzedaży do wartości notowań gazu na TGE). Ceny te są ściśle powiązane z cenami światowymi, ponieważ ponad 80 proc. gazu zużywanego w naszym kraju pochodzi z zagranicy. Średnia cena gazu na TGE w grudniu 2021 r. wyniosła 537,53 zł/MWh, wobec 81,61 zł/MWh w grudniu 2020 r. Oznacza to wzrost o prawie 560 proc. (ceny na rynku spot).

SKĄD TE PODWYŻKI?

Światowa cena gazu jest ceną rynkową i wynika z wypadkowej siły podaży i popytu. W 2021 r. stało się tak, że obie strony równania (zarówno malejąca podaż, jak i rosnący popyt) napędzały ceny tego paliwa i składały się z kilku elementów. Po stronie podaży, po

pierwsze, zmniejszone były dostawy z Rosji. Gazprom, który odpowiada za ok. 43 proc. dostaw gazu do Europy, w ostatnich miesiącach dostarczał do Unii Europejskiej tylko tyle gazu, ile przewidują umowy długoterminowe, mimo że wcześniej wystawiał na przetargach dodatkowe ilości tego surowca. W pierwszych dniach października przez gazociąg Jamał do Europy Zachodniej płynęła jedna czwarta gazu w porównaniu z sytuacją miesiąc wcześniej. Rosyjska spółka tłumaczyła to tym, że musi najpierw napełnić własne magazyny przed zbliżającą się zimą. Zdaniem ekspertów Rosjanom z jednej strony chodzi o podbicie ceny, a z drugiej może to być sposób na wymuszenie certyfikacji gazociągu Nord Stream 2 oraz podpisywania długoterminowych kontraktów, które powodują, że Moskwa jest panem sytuacji na rynku gazowym.



Chin i innych krajów azjatyckich. A należy zaznaczyć, że Azjaci płacą za gaz wyższe ceny niż inni odbiorcy, więc dostawcom opłaca się najpierw zaopatrywać tamten rynek, zaniedbując rynek europejski. Firmy z USA i Kataru skierowały statki z gazem do Chin, Indii, Japonii czy Korei Południowej. – Na wschodzie mamy postpandemiczne odbicie gospodarcze. Chiny, Indie łykną każdą ilość energii, która się pojawi na rynku – potwierdza dr Piekarz. Po drugie, dłuższa niż zwykle zima 2020/2021 (czyli ogrzewanie budynków) oraz upalne lato (oznaczające intensywniejsze użycie klimatyzacji). Po trzecie, efektem utrzymującej się bezwietrznej pogody są mniejsze dostawy energii elektrycznej z elektrowni wiatrowych, m.in. w Niemczech, które trzeba było zastąpić elektrowniami gazowymi. Po czwarte, doszło do wstrzymania pracy kilku reaktorów atomowych we Francji oraz do zamknięcia elektrowni nuklearnych w Niemczech. Po piąte, na przełomie sierpnia i września wydobycie i transport gazu w USA zakłócał huragan Ida.

WYGRANY-PRZEGRANY ARBITRAŻ

W mediach pojawiły się insynuacje, że wysoka cena gazu w Polsce to wina PiS, ponieważ w wyniku wygranej z Gazpromem w sztokholmskim sądzie arbitrażowym w 2020 r. została zmieniona taryfa, na podstawie której wyliczana jest cena gazu. Otóż wcześniej zgodnie z podpisanym w 1996 r. pomiędzy PGNiG a Gazpromem kontraktem jamalskim ceny gazu w znacznym stopniu były powiązane z notowaniami ropy naftowej i produktów ropopochodnych. Odejście od tej indeksacji było przedmiotem wieloletnich sporów Gazpromu z klientami – nie tylko z PGNiG, lecz także z odbiorcami z innych państw europejskich. W marcu 2020 r. Trybunał Arbitrażowy w Sztokholmie wydał orzeczenie, którym ustanowił nową formułę obliczenia ceny, którą PGNiG płaci za dostawy gazu w ramach kontraktu jamalskiego. W odzwierciedleniu obserwowanych trendów rynkowych nowa formuła w znacznie większym stopniu niż wcześniejsza wiąże cenę kontraktową z notowaniami gazu w tzw. hubach gazowych, czyli największych i najbardziej płynnych rynkach gazu w Europie. Jest to rozwiązanie dominujące w rozliczeniach za gaz w UE. Skutkiem wdrożenia nowej formuły cenowej był zwrot przez Gazprom na rzecz PGNiG ok. 1,5 mld dol. nadpłaty

Po drugie, zapasy gazu w europejskich magazynach są wyjątkowo niskie, więc kupujący konkurują ze sobą o surowiec. Według danych Gas Infrastructure Europe 14 stycznia 2022 r. stan zapasów europejskich magazynów gazu spadł do 49 proc. Na przykład na początku stycznia br. magazyny w Holandii były zapełnione jedynie w 35 proc., co jest najniższym poziomem w historii. Jaka była tego przyczyna? Otóż – jak wyjaśnia serwis Izby Gospodarczej Gazownictwa – „niskie temperatury wiosną 2021 r. sprawiły, że większość krajów Europy Zachodniej zamiast napełniać swoje magazyny, skupiła się na zapewnianiu bieżących dostaw swoim odbiorcom. Niektóre magazyny w Niemczech, Holandii i Austrii należą do Gazpromu, który celowo nie napełnił magazynów, powodując zwiększone zapotrzebowanie na gaz w Europie Zachodniej”. W Niemczech magazyny gazu

są zapełnione w połowie, ale magazyny gazu w tym kraju, będące pod kontrolą Gazpromu – tylko w 15 proc. Polska i tak jest w dobrej sytuacji, bo w styczniu br. magazyny były zapełnione w 83 proc. Należy jednak pamiętać, że ich pojemność zapewnia tylko 20 proc. rocznego zużycia. Niemcom ich pełne magazyny wystarczą na ponad kwartał, a Ukraina może zmagazynować całe roczne zapotrzebowanie. – Rosja dramatycznie ograniczyła dostawy do Europy, dostawy do Niemiec, dość inteligentnie zawczasu nie zapełniając magazynów w Niemczech, których jest właścicielem – mówi dr Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica, ekspert ds. bezpieczeństwa energetycznego.

Po stronie popytu mamy również kilka elementów. Po pierwsze, po okresie spowolnienia związanego z lockdownami (kiedy ograniczano wydobycie gazu) doszło do ożywienia gospodarek, zwłaszcza

■ za dostawy gazu w okresie listopad 2014–luty 2020 r. – Mieliśmy do czynienia z sytuacją, kiedy przez długie ponad 10 lat przepłacaliśmy za gaz. Dlatego zarząd PGNiG chciał zrobić wszystko, by w sytuacji spadających cen na rynku płacić za gaz mniej. PGNiG dostał od Gazpromu wielkie odszkodowanie. Obniżono ceny gazu. Wtedy wszyscy byli zadowoleni – zaznacza dr Piekarz.

Z punktu widzenia profesjonalnego uczestnika rynku gazu indeksacja do ropy naftowej naraża kupującego na istotne ryzyko towarowe pomiędzy kosztem zakupu a ceną sprzedaży wyznaczaną na europejskich giełdach gazu. Kwota nadpłaty dobrze pokazuje skalę tego ryzyka. PGNiG tłumaczy, że „rynek ropy naftowej jest poddany wpływowi decyzji państw OPEC oraz krajów współpracujących z tą organizacją, w tym Federacji Rosyjskiej. Świadome dążenie do utrzymania historycznej indeksacji do ropy naftowej w nadziei na korzyść dla kupującego relację cen ropy – gaz byłoby nie tylko przeciwne do kierunku rozwoju rynku gazu, lecz także mogłoby zostać określone jako spekulacyjne”. – Po fakcie wszyscy są mądrzy. Pandemia przesunęła bieguny, przepływy strategiczne i dostaliśmy odłamkiem. Zapewne mogliśmy przewidzieć, ale nie przewidzieli Niemcy, nie przewidzieli Bruksela, cała Europa się tak naprawdę wystawiła na szantaż Rosji. W tej chwili można mówić, że to był błąd – ocenia dr Piekarz.

Jednak czy obecnie cena gazu powiązana z cenami ropy nie byłaby niższa? Pomijając fakt, że to nie PiS rozpoczął w 2014 r. arbitraż z Gazpromem, a rząd PO-PSL, ceny gazu liczone według starej formuły nie byłyby prawdopodobnie wiele niższe niż obecne. – Płacilibyśmy trochę mniej, ale bez przesady. Bo to nie jest tak, że w kontrakcie było napisane, że Rosja będzie sprzedawała gaz np. po 10 dol., niezależnie od tego, ile gaz będzie kosztował. Tam była różnica formuł cenowych. Przeszliśmy na formę płacenia cen rynkowych. Nowa formuła wynikająca z Jamału i tak jest niższa od cen rynkowych. Natomiast to nie oznacza, że nic by się nie zmieniło i mielibyśmy gaz w tej samej cenie, co przed dwoma laty – wyjaśnia dr Piekarz.

CZY NIE ZABRAKNIĘ GAZU?

Problem polega na tym, że jesteśmy członkami UE, która nie pozwoli na powrót do stosunkowo taniego węgla, bo to właśnie na rosyjskim gazie eksportowa-

nym do Europy prawdziwe kokosy teraz, po uruchomieniu Nord Stream 2, zaczęły zbijać Niemcy. Jednak należy podkreślić, że do zwiększenia eksportu gazu z Rosji do Europy nie jest potrzebny Nord Stream 2. Przepustowość już istniejącej infrastruktury przesyłowej, która w tej chwili nie jest wykorzystywana (m.in. gazociąg jamalski czy gazociągi na Ukrainie), jest nawet znacząco większa niż przepustowość Nord Stream 2. Biorąc to pod uwagę – zdaniem PGNiG – deklaracje rosyjskie o obniżce cen po uruchomieniu Nord Stream 2 mogą być obliczone na wykorzystanie obecnego kryzysu energetycznego w Europie, aby skłonić Unię Europejską i poszczególne państwa członkowskie (w tym przede wszystkim Niemcy) do wydania zgody na szybkie uruchomienie tego gazociągu wbrew obowiązującym przepisom. W listopadzie 2021 r. niemiecka Federalna Agencja ds. Sieci poinformowała o zawieszeniu postępowania certyfikacyjnego w sprawie operatora gazociągu Nord Stream 2. Przyczyną zawieszenia postępowania był fakt, że Nord Stream 2 AG (szwajcarska spółka Gazpromu, do której należy gazociąg Nord Stream 2 i która wystąpiła o certyfikację w roli operatora) nie spełnia kryteriów przewidzianych dla niezależnego operatora systemu przesyłowego, a konkretnie kryterium zorganizowania operatora w formie prawnej zgodnej z prawem niemieckim. – Ceny gazu unormują się, kiedy ruszy Nord Stream 2. Lekarstwo będzie gorsze od choroby. W tej chwili Niemcy poszli w absolutnie samobójczą politykę pt. „Co z tego, że Rosjanie zastosowali szantaż gazowy, my i tak uzależnimy się od nich” – komentuje dr Piekarz.

Kontrakt jamalski obowiązuje do końca 2022 r. Po tym terminie gaz rosyjski ma zostać zastąpiony gazem norweskim przesyłanym za pomocą Baltic Pipe. Gazociąg ma być gotowy w październiku br. Jak podkreśla PGNiG, istotną część gazu, który będzie przesyłany do Polski za pomocą Baltic Pipe, będzie pochodzić z własnego wydobycia GK PGNiG na Norweskim Szelfie Kontynentalnym (do 2,5 mld m sześć. rocznie). – PGNiG Supply & Trading GmbH podpisało umowę na zakup gazu ziemnego od duńskiej spółki Ørsted Salg & Service A/S, spółki zależnej Ørsted A/S. Kontrakt będzie obowiązywał od 1 stycznia 2023 r. do 1 października 2028 r., a jego całkowity wolumen to ok. 6,4 mld m sześć. gazu – mówi dr inż. Andrzej Sikora, prezes

zarządu Instytutu Studiów Energetycznych sp. z o.o., dodając, że nie poinformowano o warunkach cenowych umowy. – Spekulując, a biorąc pod uwagę uwarunkowania rynkowe, umowa powinna być w formule cenowej opartej na notowaniach gazu ziemnego na rynkach europejskich (np. notowania TTF), a nie w formule zależnej od cen ropy naftowej czy produktów ropopochodnych.

Według zapewnień Piotra Naimskiego, pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej, odpowiedzialnego za budowę Baltic Pipe, gazociąg ten zostanie uruchomiony w terminie. Ale co, jeśli z jakiegoś powodu nie ruszy, a Gazprom zgodnie z zakończonym kontraktem nie będzie już przysyłał gazu? Doktor Piekarz uważa, że nawet jeśli nie zostanie uruchomiony Baltic Pipe, to gazu i tak nie zabraknie. – Ze wszystkimi państwami sąsiadującymi mamy interkonektory, czyli połączenia z sieciami gazowymi. Nawet jakby Rosja nie sprzedawała gazu spot po to, aby realizować jakieś swoje cele polityczne, to i tak jesteśmy w stanie go kupić z dowolnego kierunku, więc takiego ryzyka nie ma. Jeżeli okazałoby się – hipotetycznie – że nie ma Baltic Pipe, Nord Stream 2, to cała Europa nie miałaby gazu i byłaby w potężnym kryzysie – wyjaśnia dr Piekarz.

Prezes Sikora mówi natomiast, że wybudowana i rozbudowywana w Polsce infrastruktura przesyłowa zapewnia wszelkie warunki do importowania nawet do 35–37 mld m sześć. gazu do Polski (przy aktualnym zużyciu na poziomie ok. 20 mld m sześć.). Jego zdaniem gorzej jest z odpowiednim zabezpieczeniem podziemnych magazynów gazu, których rozbudowa jest konieczna. – Polska infrastruktura importu gazu ziemnego (istniejąca i rozwijana wraz z PMG) nie stwarza przeszkód w dostawach gazu ziemnego do Polski ani dziś, ani w dającej się przewidzieć przyszłości. W chwili obecnej największym niebezpieczeństwem jest dostępność surowca na stosunkowo płytkim rynku, jego widoczna podatność na spekulacje i upolitycznienie dostaw. Problemem uzyskania odpowiednich wolumenów stanie się cena, jaką dany rynek jest w stanie zapłacić za ten surowiec, szczególnie wobec znaczącego wzrostu zapotrzebowania na zdecydowanie droższych, zwyczajowo lepiej płacących rynkach Azji – podsumowuje prezes Sikora.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tajemnica loży masońskiej pod Zamkiem Królewskim

Historia obiektu, który odnaleziono pod Zamkiem Królewskim w Warszawie w XX w., jest niezwykle.

Pojawiające się wokół tego odkrycia hipotezy, a czasem nawet zafałszowania, do dziś działają na wyobraźnię.

W 1952 r., w czasie kopania fundamentów pod barak na tarasie Zamku Królewskiego, natrafiono na nieznane pomieszczenie. Była to sala wzniesiona z cegły, o beczkowym sklepieniu, długa na 14 m, szeroka na 5, wysoka na 3,6 m

w najwyższym punkcie sklepienia. W ścianach bocznych usytuowano 12 wnęk, a ostatnia znajdowała się w krótszej ścianie – od

strony skarpy. Piwnica połączona była zamurowanym przejściem nie z Zamkiem Królewskim, ale z korytarzem w północnym skrzydle pałacu Pod

Blachą, który już w XVIII w. związany był z kompleksem królewskiego zamku. Stanisław August Poniatowski kupił go bowiem w 1777 r. od Lubomirskich i przebudował, umieszczając tutaj bibliotekę i bogate muzeum (o ile zrujnowany Zamek Królewski wysadzony został we wrześniu 1944 r. przez Niemców, o tyle pałac Pod Blachą ocalał, choć spalony, z powstania warszawskiego).

W czasie odbudowy Zamku Królewskiego pod skarpą odnaleziono wiele pomieszczeń i lochów. Jednak w niszach wspomnianego obiektu znajdowało się 13 posągów przed-

stawiających postacie mitologiczne: Aresa, Jowisza, Florę, Atenę, rycerza i starca w koronie, która została być może błędnie rozpoznana jako król Salomon. Wszystko to sprawiało niezwykle wprost wrażenie. Pikanterii dodaje fakt, że informacja o odkryciu sali pojawiła się w prasie warszawskiej dopiero po... 10 latach, i to z adnotacją, że obiekt odkopano w 1957 r. Dyrektor biura odbudowy Zamku Królewskiego – Aleksander Król, człowiek zasłużony dla rekonstrukcji zabytków Starego Miasta – uważał, że była to dawna loża masońska, a jej działanie należy wiązać z osobą Jerzego Wandalina Mnischcha, marszałka wielkiego koronnego, który był wolnomularzem i mieszkał właśnie w pałacu Pod Blachą. Nie bez znaczenia okazał się fakt, że w 1926 r. w pałacu Mnischchów w Dęblinie odnaleziono podobną salę, w której także rezydowali masoni.

Wiadomość przedostała się do prasy, budząc zrozumiałą sensację. Nie wzbudziła jednak aprobaty historyków, którzy doszukiwali się zupełnie innego przeznaczenia podziemnego pomieszczenia. Jak podaje Jerzy Gutkowski, na kolejnych sesjach naukowych i konferencjach stawiano coraz to nowsze hipotezy. Najpierw, że było to miejsce, w którym ogrzewano wnętrza pałacu. Potem – że jest to pozostałość po dawniejszej zabudowie i znajdowała się tam łaźnia używana przez Szwedów okupujących Warszawę w 1704 r.

Wreszcie postanowiono przyjąć się tajemniczym posagom. Ustalono, że mają one ślady działania warunków atmosferycznych, więc być może zostały umieszczone pod ziemią dla konserwacji. Zwłaszcza rzeźba starca w koronie oznaczona napisem: „Skalski 1818”.

Ostatecznie posagi rozpoznano jako pochodzące z przedwojennego gmachu Pałacu Rady Ministrów – obecnego Pałacu Prezydenckiego. Okazało się też, że w latach 20. ubiegłego wieku konserwatorem rzeźb zbiorów państwowych był prof. Jan Biernacki, który miał pracownię i atelier właśnie w północnym skrzydle pałacu Pod Blachą. Kiedy zatem w 1926 r. rozpadła się jedna z rzeźb zdobiących Pałac Rady Ministrów, przeniesiono pozostałe tutaj i oddano w ręce Biernackiego. Rzekoma loża masońska była wówczas po prostu magazynem pracowni konserwatorskiej.

Rozpoznanie i odtworzenie historii rzeźb niewiele mówi jednak o czasie powstania samej piwnicy. Być może została ona zbudowana w trakcie przebudowy pałacu Pod Blachą przez królewskiego architekta Dominika Merliniego – wówczas mogłaby być nawet pracownią alchemiczną Augusta Moszyńskiego, także masona. Jednak nie ma jej na planie z 1779 r. To dowód, że podziemna sala jest starsza niż budynek biblioteki królewskiej i być może powstała ok. 1730 r., podczas wznoszenia północnego skrzydła pałacu Pod Blachą. Zresztą, jak podaje Jerzy Gutkowski, zapiski pisarza zamkowego zawierają pod rokiem 1779 informację, że mularze rozpoczynający budowę biblioteki napotkali stare mury i sklepienia pod dawną oficyną pałacu.

Kto jednak ustawił rzeźby w niszach i kiedy zamurowano przejście z piwnicy do pałacu Pod Blachą? Czy zrobili to Niemcy? A może polskie władze, np. w 1939 r.? Pytanie tylko, po co, skoro w środku nie ukryto niczego wartościowego? Dziś warto zastanowić się nad tym, zwiedzając pałac Pod Blachą. ©©



FOT. DOMENICA PUBLICZNA



RYS. OBA

POLICZKI WOŁOWE W CZERWONYM WINIE

W moim menu nie może zabraknąć wołowiny. Często sięgam w swojej kuchni po elementy niezbyt popularne, np. żebro, policzki, rostbef itp. Zachęcam państwa do eksperymentowania w kuchni z wołowiną, ponieważ moim zdaniem jest jednym z najsmaczniejszych i najwykwintniejszych mięs. Dziś zachęcam do spróbowania przepisu, który stosuję od lat i sprawdza się wyśmienicie. Policzki wołowe przyrządzone według tej receptury z pewnością państwu zasmakują i pozytywnie zaskoczą domowników oraz gości.

Składniki (dla 4 osób):

- 800 g policzków wołowych
- 2 czerwone cebule
- 1 marchew
- pół selera
- 4 ząbki czosnku
- 1 gałązka świeżego rozmarynu
- 1 gałązka świeżego tymianku

- liść laurowy, ziele angielskie
- sól, pieprz
- butelka (0,7 l) czerwonego wytrawnego wina
- 1 l bulionu
- 50 ml oliwy

Przygotowanie:

Oczyszczone i umyte policzki wołowe przyprawiam solą i świeżo zmielonym pieprzem z obu stron, podsmażam na patelni na rumiano i przekładam do wysokiego garnka. Zalewam bulionem i wytrawnym winem, tak aby były zanurzone, dodaję pokrojone warzywa, zioła i przyprawy, duszę pod przykryciem na wolnym ogniu ok. 3 godzin, aż będą miękkie.

Policzki delikatnie wyjmuję łyżką cedzakową, a sos blenduję. Gotowe policzki podaję z klasycznymi kluskami śląskimi, z zasmażanymi buraczkami i polewam obficie sosem z czerwonego wina. ©©

oprac. raw

Paweł Szorek jest kucharzem, szefem kuchni Dworu Anna.



FOT. ARCHIWUM PAWEŁA SZORKA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wpadnij do mnie



JOANNA BOJAŃCZYK

Niedawno zdałam sobie sprawę, że coraz rzadziej rozmawiam ze znajomymi i przyjaciółmi. Coraz częściej wymieniam z nimi korespondencję elektroniczną wszelkiego rodzaju.

Bo kiedy dzwonisz, musisz trafić na właściwy moment u rozmówcy, a o to coraz trudniej. Kiedyś było mniej więcej wiadomo – na spokojną rozmowę dzwoni się wieczorem. Dzisiaj nie należy przeszkadzać oglądającym seriale, chociaż – jak wiadomo – w streamingu można je zatrzymać w każdej chwili. Dzisiaj wieczór to święta pora filmów. Bo kto jeszcze ogląda telewizję? Nie znam.

Na komunikatorze prowadzę długie dialogi z przyjaciółkami „na grupie”. Każda z nas trzech włącza się do rozmowy w dowolnym momencie. Pisz, kiedy może, a kiedy nie może pisać – milczy. Nie ma obligu. Wolność. Czasem nasze rozmowy ciągną się przez długie godziny, ale przez ten czas każda mogła wykonać wiele innych czynności i przemieścić się do różnych miejsc. Zresztą okazuje się, że w tych dialogach on-line do tego stopnia wyczerpałyśmy tematy, że w realu nie byłoby już o czym gadać. Więc spotykać się nie ma po co.

Kiedy 15 lat temu dzwoniłam do przyjaciółki pogadać, obie, każda w swoim domu, siadałyśmy przy telefonie (chyba jeszcze ze sznurkiem) i gadałyśmy przez godzinę, czasem więcej. I to było zobowiązanie: jej czasu poświęconego tylko mnie, mojego tylko dla niej.



FOT. ADAM STOK

Przy konwersacjach on-line zobowiązań nie ma. Komunikując się z ludźmi, robisz, co chcesz – jesteś w łazience, u fryzjera, w autobusie, w samochodzie. I tak możesz gadać. Już nie musisz swego czasu rezerwować na wyłączność dla kogoś.

To jest właśnie ten paradoks ułatwionej komunikacji, którą zapewniły Internet, komórki itp. Wszystko jest niby łatwiejsze. Tylko co z tego? Czy kontakt jest bliższy, głębszy? Raczej odwrotnie, powiedziałabym. Skażenie cyfrowe uwolniło nasze relacje od zobowiązań. Stały się częstsze, ale płytsze.

Już nie mówię o czasach, kiedy – żeby z kimś pogadać – trzeba było do niego pojechać. Nie tylko na drugi koniec miasta, czasem na drugi koniec świata. Albo chociażby te niedawne romantyczne czasy telefonu stacjonarnego, którego już dziś nikt prawie nie używa. Był jeden w domu (w PRL zresztą zdobycz bezcenna), a kandydatów do rozmów tyłu, ilu domowników. Żeby spotkać się z koleżankami, wołałyśmy do siebie wpaść, niż czekać, aż brat przestanie gadać z kolegą.

Wpaść do kogoś? Kto jeszcze wpada? Co to w ogóle znaczy? ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szef wyrzuconych z sań przemówił

Wdzienniku „Rzeczpospolita” przeczytałem ostatnio (ostatni?) wywiad z prof. Horbanem, szefem byłej Rady Medycznej przy premierze. Jest to wywiad z członkiem ciała pozasystemowego, jednak nieograniczonego w swej władzy, jeśli tę przekazał jej premier. Rada ustąpiła z powodu tego, że ten mechanizm (rekomendacja = decyzja) – z powodów politycznych – ustał. Czyli gdy się okazało, że superrządem nie jest (już nie będzie), podziękowała.

Mnie zainteresował jeden passus, bo reszta to przewidywalne nudy. Profesor Horban stwierdził, co następuje: „Dla czegoż czasopisma atakujące szczepienia mają reklamy od spółek Skarbu Państwa i jednocześnie reklamy programu szczepień?”. To ciekawe pytanie, które czasami się pojawia i jest prawie zawsze przegapiane. Wynika z niego, że reklamy są uznawane już oficjalnie za narzędzie wpływania na treść mediów. Wiem, że to dziś oczywistość, ale chciałem przypomnieć, że kiedyś to była największa obraza dla mediów. Teraz już nie. Horban ubolewa, że państwo daje reklamy takim, którzy piszą inaczej. Ba – państwo, spółki Skarbu Państwa też. To znaczy, że taki Orlen czy PGE nie mogą zareklamować się z promocją zimową w mediach, które prowadzą dyskurs w kluczowej społecznie sprawie.

A więc mamy nie tylko deklarację, lecz także opis istniejącego modusu. Tak jest, robią to nie tylko PR-owcy firm komercyjnych, lecz także – oka-

zało się – rząd, by promować swoje interesy (mam nadzieję, że społeczne też) i wpływać na treści medialne. Może to jest ten mechanizm powodujący, że wszystkie media covidowo grają na jedną nutę, przeliczują się w radykalizmie „pod sponsora”, wywalają pytających i eliminują dyskurs? Fajnie byłoby poznać strukturę takich wydatków, tak jak we Francji, gdzie jeden z „odszczepieńców” zaproponował, żeby każdy ekspert w mediach miał na sobie koszulkę z logo swego sponsora z Big Pharmacy, by było wiadomo, jaki jest kontekst jego wypowiedzi. Może media też by nałożyły takie „koszulki”?

Powoduje to ciąg stadny mediów do komercjalizacji COVID. Ponad politycznymi podziałami. Gdyby chodziło o siłę przekazu, to Horban robiłby odwrotnie. To właśnie w mediach antyszczepionkowych (gdzie one, gdzie?) powinno się publikować reklamy i teksty z ukrytym (droższym) przekazem. W myśl zasady, że nie ma co tracić kasy na przekonywanie już przekonanych. Czyli trzeba było szukać niedowiarów tam, gdzie się gromadzą, po tych piwnicach niszowych portalików i telewizyjek. W ujęciu Horbana tu nie chodzi więc o skorelowanie przekazu z odbiorcą (pal licha, że za publiczne pieniądze), ale o karanie nieprawomyślnych mediów.

A to, że dziennikarz nie pociągnął tego wątku, to już standard świadczący o tym, że (oby tylko potencjalnych) sponsorów nie przepytuje się z kwestii wrażliwych. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Déjà vu

Po opublikowaniu raportu Anodiny dotyczącego katastrofy smoleńskiej grono polskich naukowców, reprezentujących dyscypliny ścisłe, skupione wokół prof. Piotra Witakowskiego, wbrew oficjalnej narracji podjęło próbę samodzielnej analizy danych zawartych w raportach rosyjskim i komisji Millera. W sytuacji, gdy giną prezydent i 95 ważnych osób, bezkrytyczne przyjęcie raportów pełnych sprzeczności i publicystycznych też kompromitowało świat polskiej nauki. Profesor Piotr Witkowski zwrócił się o współpracę do najważniejszych polskich uczelni, ale spotkał się z milczeniem. W końcu udało się zwołać nieliczną grupę, która w październiku 2012 r. zorganizowała konferencję smoleńską.

Przywołuję historię sprzed dekady z poczuciem déjà vu. Od ponad roku, w obliczu nieracjonalnej polityki władz, grono lekarzy i naukowców z Ordo Medicus bada i upowszechnia wiedzę dotyczącą sytuacji w Polsce. Lekarze uznali, że wobec szkodliwych działań epidemiologicznych prowadzonych przez rząd nie mogą milczeć. W tym celu obok apeli do władz powołana została komisja śledcza złożona z prawników, naukowców, która od października 2021 r. prowadzi przesłuchania różnych specjalistów, transmitując je w sieci.

Dziesięć posiedzeń to ogromny materiał zawierający prezentacje, tabele, slajdy z wykresami. Najnowsze z nich to wystąpienie

dr. Marka Sobolewskiego, ekonomisty i statystyka z Politechniki Rzeszowskiej. Sobolewski, tylko na podstawie danych z ministerstwa i GUS, tworzy mapki oraz zestawienia. Tym, co przeraża w komunikatach władz, jest chaos, nagromadzenie absurdów i nieuprawnione konkluzje. Przykład pierwszy z brzegu: udział zgonów bez chorób współistniejących w ogólnej liczbie COVID-19. W województwie lubuskim – 62,1 proc., obok, w zachodniopomorskim – 3,7 proc. Już tylko ten wskaźnik pokazuje, ile warte są oficjalne dane ministerstwa.

Innie stwierdzenie, że na COVID umierają coraz młodsze, niezaszczepione osoby. Sobolewski pokazuje tabele z zestawieniem wieku zmarłych i nigdzie teza ta nie ma potwierdzenia. Albo informacja, że czeka nas fala zgonów w regionach najmniej zaszczepionych. Tymczasem stan faktyczny jest odwrotny. Im mniej zaszczepionych, tym mniej zakażeń i zgonów. W prezentacji widać też, jak spadek hospitalizacji, diagnostyki i zabiegów skorelowany jest z nadmiarowymi zgonami.

Podobnie jak w przypadku katastrofy smoleńskiej analizę kryzysu zdrowotnego i poszukiwanie prawdy bierze na siebie nieliczne grono wolontariuszy, a opłacani z budżetu eksperci siedzą cicho. Różnica jest w postawie dziennikarzy i mediów. Smoleńsk angażował liczne grono opozycyjnych dziennikarzy. Dziś wielu z nich albo milczy, albo uprawia propagandę. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Rewolucja zżera Kajdanowicza

Są trendy i z trendów wiadomo, co jest trendy. Gorącym tematem na Twitterze stał się redaktor Grzegorz Kajdanowicz. Po wywiadzie, który przeprowadził w TVN24 z Donaldem Tuskiem, jego nazwisko wymieniało tylu użytkowników TT, że zajęło pierwszą pozycję w trendach właśnie. Najgorętszy. Nie wiem, czy samemu redaktorowi o taką sławę chodziło, bo padł ofiarą brutalnej krytyki ze strony wielbicieli TVN i Donalda Tuska. Czemu? Ja to nie wiem, dla mnie wywiad jak wywiad, kolanowy nie był, w sumie dość normalny, ale zdaniem krytykantów przyzwyczajonych widocznie w tej stacji do innego rozkładania akcentów i sympatii wywiad i prowadzący byli zbyt obcesowi, a nawet niegrzeczni dla szefa PO. „Ten wywiad pokazał, że Kajdanowicz (niestety) jest słabym dziennikarzem. Tam powinien być Rafał Wojda, Radomir Witt lub Agata Adamek”, „Fatalny jest ten red. Kajdanowicz. I wkurzający”, „Kajdanowicz z tym głupim uśmieszkiem żenada” – to tylko niektóre wpisy. Cóż, rewolucja zżera własne dzieci. Myślę, że Kajdanowicz ma szczęście, Danton nie miał. Na razie nawet nie kazali mu komentować skoków narciarskich...

Zbigniew Ziobro z Romanem Giertychem chcą się wzajemnie aresztować. Ziobro poinformował, że chce aresztu dla adwokata, bo ten nie stawiał się do

prokuratury chyba ze 20 razy. Ziobro mówi przy tym, że „Giertych udaje wielkie panisko”. No, jak się nie stawiał ze 20 razy i nic, to chyba małym paniskiem nie jest. W chwili, gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, czy sąd uwzględni wniosek o tymczasowy areszt czy nie. Do tej pory, że się tak wyrażę, sądy nie traktowały Giertycha źle. Nawet uznały, że nie jest podejrzanym, a na to prokurator: „Ja tu decyduje, kto jest podejrzanym” i teraz są dwie szkoły, falenicka i Ziobrowa. Nie wiadomo. Natomiast Giertych chce aresztu dla Ziobry przez Trybunał w Hadze. Gruba historia. Haga. Tu sprawa raczej szybko się nie rozegra i w tym aresztowym pojedynku większe szanse ma póki co (uwaga, to rusycyzm) Ziobro, ale filmiki z Giertychem, że co on tam robi, jak się władza zmienia, ogląda się interesująco. Na dziś fantasy, raczej. Ale to dziś. Co będzie jutro, zobaczymy. Gdyby władza się zmieniła, Ziobro nie będzie raczej ulubieńcem sądów.

Posłowie chcą, żeby mundurowi, nauczyciele i medycy byli obowiązkowo szczepieni. Odrzucili jednak poprawkę, według której oni też musieliby być obowiązkowo szczepieni. Fala komentarzy na Twitterze powinna uśmiercić posłów hipokrytów. Przeżyli, widocznie mają naturalną odporność... ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Poproszę jedną inwigilację...

Małgośka – mówią mi – nie pisz tak agresywnie, szukaj porozumienia ze wspólnotą! Owszem, dobrze radzą mi życzliwi, aby łączyć skłóconych rodaków, zwłaszcza że w kupie rażniej wobec zagrożeń z zewnątrz. Problem jednak w tym, że my, Polacy, nawet wrogów mamy zupełnie różnych. Nie dość, że kruszy się odwieczne spoiwo narodu „Bóg Honor Ojczyzna”, to nawet wspólnego nieprzyjaciela nie mamy. Dowód?

Codziennie rzucam okiem na europejskie dzienniki, więc łatwo mi ocenić, co gnębi przeciętnego Europejczyka przez pryzmat tematów poruszanych w „Gazecie Wyborczej”, „Le Figaro”, „El Mundo”, „La Stampa” czy „Rzeczpospolitej”. I gdy w poprzednim tygodniu istniały tylko dwa tematy: pandemia i Putin, to dla naszych mainstreamowych dzienników liczył się tylko Pegasus. Na drugim miejscu był... Pegasus, na koniec zaś Pegasus i trochę pandemia. I niech mnie teraz ktoś przekona, że te dwa dzienniki są neutralne, obiektywne i że nie w głowie im obalać rząd. No, chyba że coś pomyliłam i to Hiszpanie, Francuzi dzielą miedzę z imperium Putina, a nie my.

Polski mainstream pnie Kaspirowski wpija oczy w odbiorcę, mamroli zaklęcia i odlicza czas do upadku rządu, zapowiadane zresztą co tydzień (od pięciu lat). Co tam imperializm Putina przy totalitaryzmie Czarnka?! Naprawdę

można było przeoczyć. Co tam ofensywa militarna Rosji przy rozmiarach inwigilacji w reżimie Kaczafiego? Czy Państwo czasem nie czują dumy, że przy tak żulczykowej lumpeninteligencji i totalnie zidiociałej opozycji, cała reszta narodu ma się całkiem dobrze, i to pomimo pandemii?

Otwieram sobotnie „El Mundo”, a tam artykuł o tym, że Łukaszenka oskarża nas o etniczne ludobójstwo Białorusinów w latach 1918–1939. I mimo że – dziękować Bogu – dziennikarz trzeźwy i sprawę nazywa konfabulacją, to przecież czytelnicy „El Mundo” przez dwa miesiące byli bombardowani wyznaniem Grupy Granica i naszych celebrytów o tym, że polscy żołnierze rzekomo polują na imigrantów. Dlaczego Hiszpanie nie mieliby uznać, że w tym ludobójstwie trochę jednak prawdy? No może również dlatego, że ja też staram się odrobinę występować w mediach hiszpańskich i mówić prawdę o wydarzeniach. Więc zgłaszam się na ochotnika, żeby rząd mnie inwigilował i odkrywał prawdę o mojej lobbystycznej i agenturalnej działalności za granicą. Proszę bardzo, nie mam nic do ukrycia, a wręcz „Ku chwale ojczyzny!”. Bo jeśli na kolejny Warsaw Summit znów wpuszczeni będą dziennikarze „Wyborczej”, TVN, ale nie ja z „Do Rzeczy”, to znak, że ten rządowy koń Pegasus ma jakieś kłapki na oczach. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Moment Rubikonu

O siemdziesiąt lat temu, 20 stycznia 1942 r., w jednej z rządowych rezydencji w berlińskim Wannsee odbyła się konferencja wysoko postawionych urzędników i funkcjonariuszy państwa niemieckiego. Przedmiotem narady była koordynacja przez różne agendy Rzeszy Niemieckiej dalszych etapów trwającej już ludobójczej eksterminacji ludności żydowskiej. Machina zbrodni już działała, a konferencja w Wannsee – choć jest nierozłącznie powiązana z Holocaustem – jednak nie może być traktowana jako wydarzenie inicjujące „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”.

Ono już trwało. Zabijanie na masową skalę Żydów rozpoczęło się w pierwszych tygodniach po agresji Niemiec

normą w niemieckim „państwie wodzowskim”.

Nie możemy wskazać konkretnego dnia, w którym kanclerz Rzeszy Niemieckiej podjął decyzję o fizycznej eksterminacji wszystkich Żydów, którzy znaleźli się w zasięgu niemieckiego „narodu kultury” (Kulturvolk). Czy było to wtedy, gdy z trybuny Reichstagu zapowiadał „zniszczenie rasy żydowskiej” w razie wybuchu nowej wojny światowej (styczeń 1939 r.)? Czy może wcześniej, gdy pisał „Mein Kampf” i planował stworzenie nowego typu imperium, „czystego rasowo” w oddanej pod niemieckie panowanie „przestrzeni życiowej” w Europie Środkowej i Wschodniej? A może jednak – jak twierdzi prof. Bogdan Musiał – to na przełomie września i października 1941 r. zapadł w Berlinie wy-

Rzeszy Niemieckiej, w ciągu tych trzech miesięcy zginęło ok. 91 tys. Żydów. Ogółem w ciągu tych kilkunastu tygodni z rąk niemieckich zginęło niemal 25 proc. wszystkich ofiar Holocaustu.

Osiemdziesiąt lat temu rozpoczął się również inny, krwawy rozdział „niemieckiej pracy kulturowej na Wschodzie” – krwawa pacyfikacja Zamojszczyzny. Pilotażowe stadium realizacji „Generalnego Planu Wschodniego”, zmierzającego do „zmiany struktury ludnościowej” (Umvolkung), jak planiści z SS eufemistycznie nazwali masową eksterminację ludności polskiej na obszarze przeznaczonym dla wzorcowej kolonizacji niemieckiej. Dla tysięcy Polaków, zwłaszcza dzieci oznaczonych jako „pełnowartościowe rasowo”, oznaczało to początek gehenny.

Jak to się mogło stać, że oprawcy w niemieckich mundurach mogli coś takiego zrobić? Nie w szale bitewnym, ale na zimno, systematycznie, dzień po dniu. Tomy już napisano, próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wydaje się jednak, że analizując to wyuzdane barbarzyństwo „kulturowego narodu”, nie dostrzega się dość wyraźnie roli momentu inicjacji, momentu Rubikonu we wprawianiu się „zwyczajnych Niemców” do ludobójczego rzemiosła.

Rubikon przekroczone na przełomie lat 1939 i 1940 w okupowanej Polsce. „Zbrodnia pomorska” pokazała, że jednak można mordować tysiące ludzi, dzień po dniu. Sceny kolarzone z Ponarami czy Babim Jarem – rozebrani ludzie stojący przed wykopanymi rowami w lesie i następnie rozstrzeliwani – najpierw wydarzyły się w Lasach Piaśnickich. Rozstrzeliwali „zwyczajni Niemcy”. Niejeden z nich był sąsiadem tych, którzy ginęli. ©

Osiemdziesiąt lat temu rozpoczął się krwawy rozdział „niemieckiej pracy kulturowej na Wschodzie” – krwawa pacyfikacja Zamojszczyzny

na Związek Sowiecki. Na „skrwawionych ziemiach” (T. Snyder) w lipcu i sierpniu 1941 r. rozpoczęły swoje mordercze działania specjalne oddziały (Einsatzgruppen) niemieckiej policji i SS. To nie urzędnicy obradujący w Wannsee podjęli decyzję o ludobójczej eksterminacji ludności żydowskiej. Decyzję podjął szef rządu i państwa niemieckiego – Adolf Hitler. Logika funkcjonowania III Rzeszy Niemieckiej, państwa rządzonego według „zasady wodzowskiej” (Führerprinzip), była taka, że kluczowe decyzje były przekazywane drogą nieformalną. Nie mogło być inaczej, skoro najwyższym prawem była wola „wodza narodu niemieckiego”. Brak formalnych reguł był

rok śmierci na Żydów przebywających na okupowanych ziemiach polskich. Zdecydowana większość z nich była obywatelami polskimi.

Osiemdziesiąt lat temu różne agendy państwa niemieckiego rozpoczęły w administrowanym przez siebie Generalnym Gubernatorstwie akcję „Reinhardt”, która była realizacją decyzji o wyroku śmierci na polskich Żydów z jesieni 1941 r. Jak wskazuje prof. Musiał, tylko od końca lipca do początku listopada 1942 r. w niemieckich obozach zagłady w Bełżcu, Treblince i Sobiborze zginęło ponad milion Żydów. W tym samym czasie Einsatzgruppen rozstrzelało ponad 300 tys. polskich obywateli żydowskiego pochodzenia. W obozie w Auschwitzu, który leżał na terytorium wcielonym bezpośrednio do

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Moja Mamusia była programistą w czasach, gdy komputery uczono raczkować.

Kiedy byłem małym chłopcem, bawiłem się w domu kartami perforowanymi z komputera, czyli dotykałem technologii, która powstała w USA w czasach drugiej wojny światowej. Polska była wtedy cofnięta technologicznie o jedno pokolenie w stosunku do USA. Teraz też jesteśmy o jedno pokolenie w tyle, lecz za Chinami. Uczymy się jednak szybko i zaczynamy stosować te same mechanizmy cenzury.

Wynalazcą koncepcji Internetu był Paweł Baran. Urodził się w Grodnie, wychował i wykształcił w USA – jego rodzice wyemigrowali z Polski w roku 1928, gdy miał dwa lata.

Po drugiej wojnie świat spodziewał się trzeciej wojny światowej. Armia USA zleciała więc stworzenie takiej sieci komputerowej, która będzie odporna na uderzenie w komputer centralny. Wszystkie wcześniejsze sieci wyglądały jak gwiazda – komputer centralny łączył pozostałe urządzenia. Wystarczyło więc rozwalić komputer główny i wówczas pozostałe trażyły ze sobą kontakt. Paweł Baran wymyślił system bez jednostki centralnej, który ostatecznie znamy jako Internet.

Wszystkie etapy pośrednie od pomysłu Barana do gotowego Internetu były tworzone na zamówienie wojska, finansowane przez wojsko (przynajmniej częściowo) i kontrolowane przez wojsko. Dopiero w roku 1991 uwolniono Internet do celów komercyjnych. Wtedy zaczął się bal idiotów, którzy twierdzili entuzjastycznie, że Internet to WYZWOLENIE – najbardziej wolna od wszelkiej



FOT. W. CEJROWSKI/UTD.JAKSAM.SUSZKIN

kontroli przestrzeni w historii świata; wolna od ingerencji rządów, biznesu i cenzury. Teraz im damy popalić!

Internet był wolny, ale krótko; 10–20 lat, zależnie od tego, czy za punkt początkowy Internetu o zasięgu powszechnym przyjmujemy pojawienie się Google, Facebooka czy YouTube.

Symboliczną datę końca wolności w sieci wyznaczyć łatwiej – ban dla Donalda Trumpa. Ban w kraju, który Internet wymyślił, stworzył, uruchomił i dał reszcie świata; ban w kraju chępiącym się wolnością słowa, ban w kraju wolnorynkowym. To było rok temu. Przeróżne konta, portale i osoby blokowano już wcześniej, ale „zniknięcie” Trumpa jest zjawiskiem symbolicznym, bo był urzędującym prezydentem i zniknął za poglądy – popełnił zbrodnię myśli, a nie czynu.

Wolność w sieci istniała krótko, i tylko po naszej stronie świata. A po drugiej? Internet nie istnieje wcale w Korei Północnej – obywatele nie mają urządzeń do odbioru. W Chinach też nie ma Internetu – zamiast niego istnieje... nawet nie wiem, jak to nazwać... intro-net, coś jak introwertyk. Chodzi o sieć powszechnie dostępną, ale wyłącznie wewnątrz Chin, bez wyjść na świat, bez połączeń z siecią inter-nacjonalną. Takie rzeczy jak Facebook są w Chinach zakazane.

Nieliczni RYZYKANCY korzystają z dziur w zapożyczeniach cenzury, stosując „tunele”, czyli programy typu VPN, które oszukują system, ale w tym celu musisz się najpierw skądś

dowiedzieć o istnieniu takich „tuneli”, a sama próba dowiadzywania się grozi karą. W Chinach kary są solidne – oni tam mają obozy koncentracyjne, a poza tym mają obozy pracy, obozy reedukacyjne, kolonie karne oraz zwyczajne chińskie więzienia i wyroki takie, jakie my znamy z czasów stalinowskich. No na przykład „10 lat bez przepustek i odwiedzin”. Jeżeli się ukorzysz i wygłosisz w telewizji samokrytykę, to mogą ci zmniejszyć karę na dożywotnią pracę dla systemu – zostajesz komunistycznym influencerem lub specjalistą od sieciowej cenzury lub trollem pracującym dla partii komunistycznej.

Chińska Partia Komunistyczna kocha sieć. To takie cudowne i skuteczne narzędzie kontroli. Można coś nadawać, można czegoś zabronić nadawać. Można coś i kogoś skasować lub lansować. Można WSZYSTKICH podsłuchiwać, a wybranym można podmieniać treści – oni coś piszą, a wyświetla się coś zupełnie innego. Można też spowodować zmianę faktów historycznych na zupełnie inne, bo chińską Wikipedię kontroluje Chińska Partia Komunistyczna, a do tej drugiej światowej Wikipedii dostępu nie ma.

Na granicy pomiędzy siecią chińską a resztą świata stoi Żłota Tarcza, czyli Wielki Chiński Firewall, a wewnątrz tego cybermuru zbudowano sieć WWW z odrębnym oprogramowaniem niezależnym od reszty świata i celowo niekompatybilnym. Gdyby partyjni cenzorzy zdecydowali dzisiejszej nocy o odcięciu połączeń na zewnątrz, większość ludności w Chinach nawet by się nie zo-

rientowała, że cokolwiek ubyło. W miejsce naszych Twitterów i Facebooków stworzyli własne odpowiedniki (np. WeChat i Weibo), gdzie partia komunistyczna może blokować wybrane osoby oraz pojedyncze hasła, frazy i słowa. My to znamy od niedawna – piszesz sobie coś o COVID, coś, co widziałeś na własne oczy, i dostajesz od Fejsa ban na 14 dni wraz z informacją, że „niezależni eksperci uznali twój wpis za nieprawdziwy”.

W Chinach jest od tego specjalny urząd – Cyberspace Administration of China, który zatrudnia cenzorów oraz całe gromady zawodowych trolli, a także rozsyła niepoprawnym blogerom urzędowe ostrzeżenia o tym, jak to „każdy człowiek ma obowiązek dbać o interesy państwa, czyli propagować wartości socjalistyczne”.

Jeśli jesteś uparty i nie propagujesz, to się tobą zajmą: przyjeżdża ekipa policyjna wraz z ekipą TV, wywlekają cię z domu, razem z rodziną, i jest z tego transmisja na żywo wraz ze stosownym komentarzem. Potem znikasz na jakiś czas, a następnie w TV pokazują seans płaczu, bicia się w piersi, rwania włosów z głowy i samokrytyki. W tej sytuacji w zasadzie nie potrzeba cenzorów – w Chinach każdy cenzuruje się sam. Robi to ze strachu lub przez ostrożność. Za zakłócanie porządku społecznego w sieci („rozsywanie plotek”, „wichrycielstwo”) grozi kara od dwóch do trzech lat więzienia.

Zastraszenie, cenzura, propaganda i likwidowanie kont oraz treści niezgodnych z linią przewodnią partii – oto narzędzia stosowane w Chinach i... u nas już też. Sieć jest kolejnym narzędziem kontroli obywatela. „Na WWW mogę czytać i robić, co tylko zechcę” – to stwierdzenie naiwne. Jest dokładnie na odwrót – na WWW to oni (władza) widzą wszystko, co robisz, czytasz i piszesz. Nie muszą cię brać na przesłuchanie – sam się wygadujesz. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK
„CZARNE BATALIONY 2.0”
„WIDZENIE ENEASZA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 276 zł

~~491 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9344bfc079

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

**ARDENY '44 – SENSACYJNY
WYWIAD Z WETERANEM
US ARMY**



- Soraya Kuklińska – **Kłusownicy z Waffen-SS w Warszawie**
Piotr Zychowicz – **Tajemnica śmierci Dirlewangera**
Arkadiusz Karbowski – **Płonąca stodoła w Chatyniu**
Mikołaj Iwanow – **Bierut kontra Gomułka**
Sławomir Koper – **Kobiety Papcia Chmiela**
Javier Olivera Ravasi – **Rzeź katolików w Meksyku**
Jacek Bartosiak – **Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Terror wielkich korporacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**